

JONATHAN LETHEM

Amnesia Moon

(T³umaczy³ Miros³aw P. Jab³oñski)

*Dla Karla Rusnaka,
i Giana Bongiorno*

Dzięki nowemu prawu Kellogga w kwestii w³asnoœci, Edge mia³ autostradê tylko dla siebie. Ca³a ta farba i asfalt to by³a teraz jego zabawka. „Po prostu musisz zdecydowaæ, co jest twoje”. Edge mia³ dryg do dok³adnego zapamiêtywania s³ów Kellogga. „To, co widzisz, jest tym, co masz, Edge”. Poziom adrenaliny rós³. Edge nacisn¹³ na akcelerator. Krajobraz ucieka³ do ty³u.

Jecha³ lew¹ stron¹, pasami prowadz¹cymi na zachód, mia³ d¹c ko³ami rosn¹ce w szczelinach nawierzchni usch³e trawy. Sam jestem sobie panem, pomysla³. Jadê autostrad¹ pod pr¹d. Moja autostrad¹. Zwiêkszy³ szybkoœæ, a¿ stary samochód wpad³ w wibracjê. Znaki przy drodze widzia³ od ty³u, ale wiedzia³, dok¹d zmierza. Poza Edge'em prawie nikt ju¿ nie jeŸdzi³ t¹ drog¹, poniewa¿ Edge by³ pos³añcem. „Nie strzelajcie do pos³añca”. W g³owie Edge'a panowa³ mêtlik myœli jego oraz Kellogga i czêsto te Kellogga wydawa³y siê silniejsze. Nie wycieka³y tak szybko.

Nikt nie jeŸdzi³ t¹ drog¹, poniewa¿ od czasów wojny Hatfork by³o chorym miastem, pe³nym mutantów i seksualnych dewiantów. Kellogg posy³a³ tu czasem swoich Rangersów z zaopatrzeniem, ale nigdy nie przyjecha³ osobiœcie. Nienawidzi³ Hatfork, nazywaj¹c je „pijawk¹ w boku, ciemni¹ w³apie” i „swoj¹ aborcj¹”. Edge myœla³ o nim jako o w³ochatym mieœcie. Ka¿da kobieta z Hatfork, któr¹ widzia³ rozebran¹ - a ogl¹da³ ich kilka - mia³a w³osy tam, gdzie nie powinna. Ka¿dy mê¿czyzna w Hatfork nosi³ brodê. Z wyj¹tkiem Chaosa.

Z piskiem opon przejecha³ zjazd z autostrady i musia³ siê cofn¹æ. Zje¿d¿anie podjazdem, skrêcaj¹cym w przeciwn¹ stronê, okaza³o siê trudniejsze, ni¿ s¹dzi³ i wpad³ kilka razy w poœlizg, ale nie mia³o to znaczenia. Nisk¹ estakadê zawia³o piaskiem i kurzem, co utrudnia³o rozrô¿nienie, gdzie koñczy³a siê autostra-da, a zaczyna³a pustynia; i jecha³o siê niemal tak samo, jak po pustyni.

Drogê do miasta wyznacza³y porzucone samochody. Mieszkañcy Hatfork, pomysla³ Edge, nie umieli dbaæ o swoje rzeczy. Pozostawiali je zawsze niczym statki na mieliŸnie, nie reperowane. A samochody nie ros³y...

Edge zmaga³ siê z tym zdaniem. Samochody nie spadaj¹ z nieba, u³o¿y³ je w koñcu. Kellogg powiedzia³by to lepiej, ale pieprzyæ to. Kellogga tutaj nie by³o.

Jad¹c przez miasto, widzia³ hatforczyków - g³ównie schowanych w domach i gapi¹cych siê spoza zas³aniaj¹cych okna przeœcierade³; ale je¿eli chcia³eœ rozpowszechniaæ jakieœ wiadomoœci, powinieneœ siê udaæ do Multiplexu, gdzie mieszka³ Chaos. To by³o zadanie Edge'a - rozpowszechniaæ nowiny. Przelecia³ przez œrodek miasta, obok wyschniêtego jeziora i przez promenadê, prosto do Multiplexu. Edge nie zazdroœci³ mieszkañcom Hatfork, z ich nasiennymi orgiami i patetycznym, zmutowanym potomstwem, ale czu³ zawieæ w stosunku do Chaosa, który pozostawa³ po w³acciwej stronie rzeczy i mia³ ch³odne miejsce do mieszkania. Najch³odniejsze, po prawdzie. Kiedy jecha³ promenad¹, po raz kolejny podziwiał sposób, w jaki Chaos bez koñca wypisywa³ swoje imiê czerwonymi, plastikowymi literami na tablicy Multiplexu - tam, gdzie dawniej znajdowa³y siê tytu³y filmów. Teraz w pierwszej sali grano CHaOs; w drugiej cHAOs, w trzeciej ChAoS. I tak dalej.

Kiedy przytoczy³ się przed front Multiplexu, zatr¹bi³ dwa razy, a potem wysiad³ i dla podkreślenia swej obecności zatrzasn¹³ drzwiczki. Nie widzia³ samochodu Chaosu. By³ tu sam.

Różne pomysły mieszały się w mroku jego głowy, podczas gdy szed³ do drzwi, a potem porusza³ z chrobotem klamki¹. Nic. Chaos by³ zbyt m¹dry, by pozwalał komukolwiek myśkować w swoich w³ościach.

Edge obszed³ olbrzymi budynek od ty³u, dochodząc do alei, która oddziela³ Multiplex od zdewastowanego, spl¹drowanego sklepu Yariety. Znajdowały się tam trzy zielone pojemniki na ości, powyginane i pomalowane sprayem. W¹chaj¹c nieruchome powietrze, Edge odniós³ wrażenie, że poczu³ coś smacznego, a kryjącego się we wnętrzu jednego z nich. Wspi¹³ się po kolei na każdą, zajrza³ do wnętrza, i w trzecim znalaz³ swój¹ nagrodę - warczące czarne muchy pokrywały stos ptasich ości, mieni¹cych się w s³ońcu zielono-fioletow¹ zgnilizn¹.

Edge zezlizgn¹³ się na zakurzon¹ ziemię. Znaleźli nie by³o wartość poniesionego zachodu. „Trzymaj się puszkowanej żywności”, to s³owa Kellogga. „Nie trać kalorii na poszukiwanie odpadków”. Edge pamięta³, jak Kellogg opowiada³ mu o jedzeniu, którego przeżucie zabiera więcej kalorii, niż samo ich posiada - jedzenie, którym możesz zag³odzić się na ościer. Ale rozpamiętuj¹c to teraz, Edge doszed³ do wniosku, iż owo stwierdzenie należa³o do tych nielicznych wypowiedzi Kellogga, które całkiem bezpiecznie można by³o zaliczyć do bzdur. Wszystko ma kalorie, powiedział³ do siebie. Drewno, papier, kurz - wszystko to ma kalorie. Wiem o tym z własnego doświadczenia. Wiem to - jak to mówi Kellogg? - „empirycznie”.

To by³o wielkie s³owo i Edge poczu³ zadowolenie płynące z przypomnienia go sobie wraz z tym, co oznacza. Nie jestem głupi, stwierdzi³. Tylko, kiedy próbuję z kimś rozmawiać, denerwuję się i zapominam, co chcia³em powiedzieć. Ludzie muszą być cierpliwi, kiedy dyskutuj¹ z nerwowymi osobami.

S³ońce dokona³o tymczasowego najazdu przez porann¹ mg³ę, rzucając s³abe cienie na chodnik. Edge zerkn¹³ na wst¹ęki czarnych chmur. Chyba, pomyśla³, mam nadzieję, że nie będzie padać. Lepiej znajdować się w jakimś wnętrzu na początku deszczu, nie wsiadać ani nie wysiadać z samochodu, byle nie zmoknąć. Ta przeklęta rzecz „kumuluje się”. To znaczy gromadzi.

Gmerając obojętnie w kieszeniach dżinsów, Edge powędrowa³ z powrotem w kierunku autostrady i zosta³ zaskoczony widokiem samochodu Chaosu, zatrzymującego się za jego wozem. Chaos wysiad³, ociskając w ramionach plastikow¹ torbę, i zagapi³ się na Edge'a, który podszed³ do niego niemal tanecznym krokiem.

- Cześć, Chaos - powiedział³. - Chcesz, żebym ci otworzył³ drzwi?

- Powinieneś zostawić auto na parkingu - odpar³ kwaśno Chaos.

Podniós³ wyżej swój bagaż, wy³owi³ z kieszeni klucze, otworzył³ drzwi i wst¹pi³ w mrok. Przeszed³ przez wejście s³ułkowe - ciemny, niski tunel, który bieg³, niczym szczyrzy korytarz na statku,

wewn¹trz oecian olbrzymiego, wy³ożonego dywanami hallu Multiplexu - do kabiny projekcyjnej. Chaos zdawa³ się unikać pomieszczeń przeznaczonych dla publiczności.

- Wygl¹da, jakby mia³o padać - powiedzia³ Edge, czêœciowo jako usprawiedliwienie, że za blisko zaparkowa³, a czêœciowo, aby zmieniać temat.

Szed³ w ciemności za ponuro milcz¹ym Chaosem, œledz¹c - kiedy jego oczy przyzwyczai³y się do mroku - malutkie, fosforyzuj¹ce znaki firmowe na podeszwach sportowych butów tamtego. Czu³ się nieco oburzony jego pretensjami - parking, spustynnia³e akry bezsensownych żó³tych strza³ek i linii, znajdowa³ się dobre œwier¹e mili od drzwi Multiplexu.

Kabina projekcyjna by³a niekszta³tnym, podzielonym na poziomy pomieszczeniem, z malutkimi okienkami wychodz¹cymi na szereg sal widowiskowych. Chaos usun¹³ projektory, ale urz¹dzenia do klejenia i przewijania taśmy pozosta³y, na sta³e przymocowane do oecian. Edge stercza³ w pobliżu drzwi, czekaj¹c, aż Chaos zapali œwiece. Projektornia wype³ni³a się sztucz¹n¹ s³odkoœci¹, za przyczyn¹ odœwieżacza powietrza i pachn¹cych owocowo œwiec. W rezultacie Edge poczu³ się g³odny. Wosk tak¹e ma kalorie.

- Okay, Edge - odezwa³ się Chaos. - Jak¹ masz tajemnicê? Wyrzu¹e j¹ z siebie.

Usiad³ na spleceni³ej sofie i zapali³ papierosa.

Edge opad³ na krzes³o i pochyli³ się wyczekuj¹co. Chaos pchn¹³ paczkê lucky strike'ów w poprzek stoj¹cego pomiêdzy nimi stolika i Edge wzi¹³ papierosa.

- Kellogg mówi, że powinniemy porozumieć się z królestwem zwierzt - powiedzia³, staraj¹c się przedstawiać to ³agodnie i wiarygodnie.

Zapali³ zapa³kê i przytrzyma³ j¹ przy końcu papierosa. Wiedzia³, że musi dalej wyjaœniać.

- „Wieloryby i delfiny, przede wszystkim”. Oto, co powiedzia³ Kellogg.

Chaos rozcœmia³ się.

- Jakie królestwo zwierzt? - zapyta³. - Jesteœmy na pustyni, Edge. Królestwo zwierzt wymar³o. Kellogg nabra³ ciê tym razem.

Edge zaci¹gn¹³ się g³êbiej lucky strikiem. Chcia³ przemówiać w obronie Kellogga, ale zamiast tego zakaszla³ spazmatycznie, wykrztuszaj¹c z p³uc dym.

- Nie marnuj moich papierosów na kas³anie - powiedzia³ Chaos.

- Przepraszam, cz³owieku. - Edge uœwiadomi³ siebie, że zaczyna skamleć, ale nie móg³ przerwać. - Naprawdê przepraszam.

Patrzy³, jak Chaos pali, i stara³ się naœladować jego technikê. Potem przypomni³ sobie resztê wiadomoœci.

- Przede wszystkim walenie i delfiny. Kellogg mówi, że s¹ one „drzeml¹cymi” inteligentnymi gatunkami na planecie.

- Co?

Edge podejrzewa³, że by³o co³e z³ego w znaczeniu nowego s³owa. Nienawidzi³ poprawiania już raz zrobionej rzeczy.

- Dominuj¹cymi? - zasugerowa³.

- Możliwe - stwierdzi³ obojętnie Chaos. Rozrzutnie zdusi³ spory niedopa³tek na talerzu poniewieraj¹cym się na stoliku i powiedzia³ cicho:

- Pieprzony Kellogg.

Edge miał już dosyć swego lucky strike'a, ale czu³, że pójdzie w ołady Chaosu i zgaszenie papierosa by³oby taktycznym b³ędem. Papierosy s¹ jak s³abe miejsce, pomyśla³. Ponieważ, każdy wydawa³ się pragn¹ać ich tak wściekle, zawsze s¹dzi³, że sprawi¹ mu przyjemno³ść. Ale nie sprawia³y, ani trochę. Postanowi³ jednak dla bezpieczeństwa wypalić peta aż do samych palców.

- Jestem pewien, że sam mógł³by wyjaśnić to lepiej - powiedzia³ do Chaosu. - Kiedy mówi³ do mnie, to miał³o sens. Wiesz, Chaos, że kiedy się zdenerwuj³e, to wszystko spieprz³e.

- W porz¹dku - stwierdzi³ tamten, bodaj pierwszy raz ze współczuciem. - Zacz³ęcie tego mog³oby okazać się drobnym b³ędem.

- Nie - zaprzeczy³ Edge, odzyskawszy odwag³e. - Powiniene³ by³ to s³ysze³. Gwiezdny horoskop Kellogga mówi, że powinniemy się „po³czy³ć” z wyższymi gatunkami. Pisces, dwie ryby. Jego gwiazdy tak mówi¹ - z desperacji przyprawia³ swój¹ przemow³e fragmentami cytatów z Kellogga.

- Gównu mnie obchodzi, co mówi¹ jego gwiazdy.

- Pos³uchaj - powiedzia³ Edge szeptem; zachowa³ decyduj¹cy fakt na koniec. - Wiedzia³ę, że delfiny chodzi³y kiedy³ po ziemi?

Chaos nic nie odpowiedzia³, a Edge pomyśla³, że zagna³ go w kozi róg.

- Kellogg sprawdzi³ to - ci¹gn¹³ wylewnie. - „Ich nozdrza”. Nieszczęście tutaj, na górze, zawróci³o je z powrotem do wody. Tak jak nas, rozumiesz? „Planetarna” katastrofa.

Przerwa³ i spojrz³a na niego znacz¹co.

- Rozumiesz to?

- Taaa... - stwierdzi³ Chaos oziębło; najoczywicz³ej pojmowa³ znaczenie wyrazu. - Rozumiem.

Godzinę później Edge'a już nie by³o, gdy³, w obawie przed deszczem popędzi³ z powrotem do swojego samochodu. Chaos zgasi³ po³ow³e oświec i wyci¹gn¹³ się na kanapie, krzy³uj¹c nogi na pod³okietniku. Wiatr wy³ cicho w rurach wentylacyjnych, a na suficie mruga³y nerwowe cienie. Zmarszczy³ nos; Edge pozostawi³ po sobie niecemia³¹ wizytówk³e swego zapachu.

Chaos czu³, że brakuje mu czegoś do szczęścia, czegoś sprzed wizyty Edge'a; nie dawa³o mu to spokoju, niczym déjà vu. Paczka, przypomni³ sobie. Podniós³ się, przyci¹gn¹³ j¹ do siebie i rozerwa³. W ośrodku znajdowa³y się trzy pojemniki z woskowanego kartonu, zaklejone czarn¹ ta³em¹ izolacyj¹. Na boku jednego by³a wydrukowana rozmazana czarno-bia³a fotografia m³odej dziewczyny, podpisana: ZAGINIONA. Nie ma już mleka, pomyśla³ Chaos. Nie będzie wosku ani papieru. A ona nadal jest

nieobecna.

Œcisnij¹c jeden z kartonów, opad³ ponownie na sofê. Oderwa³ taemê, szarpniêciem poszerzy³ postrzêpiony otwór i poci¹gn¹³ d³ugi, wolny haust pozbawionego smaku alkoholu, pozwalaj¹c czêœciowo sp³yn¹æ mu po podbródku, czuj¹c go niczym ognisty wodospad, wdzieraj¹cy siê do jego wyschniêtego, pustego brzucha. Jeden ³yk, drugi. Potem, chwilowo zaspokojony, pozwoli³ spocz¹æ mu w ³o³¹dku, ³ykn¹wszy powietrza zamiast popitki.

Pierwsze chrapniêcie rozbudzi³o go na tyle, ¼e odstawi³ karton na pod³ogê i zauwa¿y³ wci¹¿ p³on¹ce œwiece. Nie obeszc³o go to jednak na tyle, ¼eby wstaæ i je zgasiæ. Maj¹c nadziejê, ¼e upicie siê pozwoli mu nie œniaæ, unika³ snu przez dwa dni, czekaj¹c, a¿ Decal przedestyluje alkohol, i teraz nie by³ w stanie walczyæ z sennoœci¹ ani chwili d³u¿ej.

Sen okaza³ siê ostro zarysowany i tak realny, ¼e zdawa³ siê ogarniaæ Chaosa nawet wczêœniej, nim na powrót zasn¹³.

Znajdowa³ siê na otwartej przestrzeni, na solnej równinie, go³ymi rêkami kopi¹c dziurê w zwartym, suchym piasku. Tam pod spodem by³o coœ wa¿nego. Za plecami mia³ fioletowe od radiacji niebo. Grzeba³ w ziemi, zupe³nie zdesperowany, czuj¹c nieodparty przymus.

Bardzo szybko wierzchnia warstwa rozkruszy³a siê pod jego paznokciami, otwieraj¹c g³êbokie zapadlisko. Piasek osuwa³ siê do otworu i Chaos stara³ siê cofn¹æ, ale by³o za póŸno. Zosta³ nieub³aganie wci¹gniêty w ciemnoœæ. Wpad³.

Zanurzy³ siê w zimnej wodzie i otworzy³ oczy. Pogr¹¿a³ siê w podziemnej rzece i mimo przemokniêtego, ciê¿kiego ubrania, pêtaj¹cego mu ruchy, czu³ siê bezpiecznie. Pop³ynê pod ziemi¹, pomyœla³. Ufa³ swemu poczuciu orientacji. Wios³owa³ ramionami, utrzymuj¹c cia³o w równowadze. Mo¿e przep³ynie pod ziemi¹ ca³¹ drogê do Cheyenne.

Potem ponad nim wzniós³ siê jakieœ kszta³t, przes³aniaj¹c mu widok. Chaos spostrzeg³ z gorzkim rozczarowaniem, ¼e by³o to olbrzymie cia³o Kellogga, œmiesznie pluskaj¹cego siê w wodzie, jak zawsze z gigantycznym cygarem zaciœnietym w ucemiechnietych ustach. Wy³oni³ siê nad Chaosem niczym jakieœ podwodny zeppelin.

Widzia³ teraz, ¼e Kellogg ulega³ transformacji. P³etwy zamiast ramion, nogi zwê¿aj¹ce siê w szeroki, wios³uj¹cy ¼wawo ogon. Wyszczrzy³ siê do Chaosu, który wpad³ w panikê. Kellogg nadyma³ siê, rozci¹gaj¹c ponad nim jak chmura, zas³aniaj¹c dostêp do powietrza. Chaos spojrze³ w dół; g³êbia przeradza³a siê w ciemnoœæ.

Cholera. Sk¹pany we w³asnym pocie, znalaz³ siê z powrotem na kanapie. To dzia³a³o niczym mechanizm zegarowy; obsesje Kellogga promieniowa³y na zewn¹trz, naje¿d¿aj¹c sny Chaosu.

Kiedy Kellogg podnieca³ siê czymœ tak bardzo, ¼e wysy³a³ Edge'a jako herolda miejskiego, stanowi³o to chyba najgorsz¹ chwilê na sen, stwierdzi³. Albo mo¿e by³o na odwrót - Kellogg wys³a³ Edge'a, poniewa¿ czu³, ¼e Chaos od dawna nie ceni³.

Chaos pomyślał ponownie o zatankowaniu samochodu po dach i udaniu się na dźug¹ przejażdżkę. Jak daleko musiałby odjechać, aby móc cieszyć się zdrowym, nocnym snem? Czy powinien w ogóle wydostać się poza zasięg Kellogga? Zastanawiał się, czy jest jedynym, któremu to przeszkadza; czy reszta byłaby tak przyzwyczajona do snów Kellogga, że nikogo to nie obchodziło?

Pewnego dnia musiał to zrobić. Odkrył, co pozostało; jeżeli pozostało cokolwiek. Obawiał się, że czeka zbyt dźugo. Powinien był zrobić to wcześniej - czyli kiedy? Lata temu. Gdy działy wszystkie samochody.

Tylko Kellogg mógł teraz tego dokonać, nikt inny nie miał odpowiednich zasobów do przedsięwzięcia tak dalekiego wyjazdu. Kellogg miał możliwości, ponieważ każdy robił wszystko, cokolwiek mu kazał. Kiedy Kellogg wędrował wokoło, nazywając rzeczy od nowa, nikt nie usiłował go powstrzymać. Wzajemnie z nim samym; musiał to uczciwie przyznać. Teraz Chaos nie pamiętał już nawet, jak się dawniej nazywał. Przedtem.

Usiadł gwałtownie na kanapie i wytarł coś rękawem. Przeniknęło go skurcz głodu i wiedział, że musi zdobyć jakieś jedzenie. Musiał odwiedzić Siostrę Earskin bez względu na to, jak bardzo tego nie lubił. Nie znosił wychodzenia do Hatfork po którymś ze snów Kellogga - wszystko znajdowało się wówczas pod jego zaklęciem; nawet bardziej niż zwykle.

Siostra Earskin prowadziła dla genetycznie zmutowanych banitów z Hatfork sklep z artykułami mieszanymi. Handlowała głównie puszkowanymi żywnościami oraz używanymi przedmiotami z odzysku, przebranymi wcześniej przez Matkę Amerykę, gdzie Kellogg i jego Rangersi koordynowali dystrybucję. Swoją działalność prowadziła w starym Holiday Inn - mieszkała w jednym z bungalów, stojących w pustym, niebieskim basenie.

Chaos zaparkował na podjeździe i poszedł do głównego wejścia. Okolicę szpeczyły samochody; niektóre zaparkowane, inne porzucone. Chmury zniknęły; słońce prażyło, rozgrzewając chodnik i sprawiając, że Chaos czuł swobodę. Słyszał dobiegające ze środka głosu i pocieszyły w ich kierunku.

Na betonowych stopniach przed halle siedziała ubrana w szachmany dziewczynka, okryta od stóp do głów pięknymi, jedwabistymi włosami. Kiedy się zbliżył, zerknęła na niego. Uśmiechnęła się szeptem i powiedziała:

- Przepraszam.

Czuł się osłabiony z głodu.

Wewnątrz, na spleceniach kanap hotelowego hallu, siedzieli Siostra Earskin oraz rodzice dziewczyny - Gif i Glory Selfowie. Kiedy Chaos wszedł, przestali rozmawiać.

- Cześć, Chaos - powitała go radośnie Siostra Earskin. - Czuć, że się dzisiaj zobaczymy.

Jej pomarszczona twarz wykrzywiła się w wymuszonym uśmiechu.

- Znasz Selfów, Chaos, no nie? Gifford i Glory.

- Jasne - potwierdził Chaos, skinął głową. - Posłuchaj, co mogłoby dostać do jedzenia?

- No cóż - odparła Siostra Earskin. - Mam butelkowaną zupę...

- Konserwy - powiedziała Chaos. - Co masz w puszkach? Nie lubię zup starej kobiety: wodnistego bulionu z przerażającymi kawakami jakiegos zwierzęcia, które padło tego poranka.

- Nic - odparła niewyraźnie Siostra Earskin. - Ładnych puszek.

Gifford Self uniósł brwi.

- Wskazanie o tym mówiliśmy, Chaos, kiedy wszedłeś. Od tygodnia Kellogg nie przysłał żadnych konserw - stara się patrzeć Chaosowi w oczy, ale ten uciek wzrokiem na bok.

- Czy przejeżdżał wtedy dzisiaj rano jakimś samochodem? - zapytała Siostra Earskin; jej głos pełen był ukrytych znaczeń.

- Edge - odparł.

- Co...

- Każdy, kto pójdzie spać, dowie się, jakie są wieści - stwierdził Chaos. - Dzisiejsze związane są z wielorybami i delfinami. Nic na temat puszkowanej żywności.

Zapadło milczenie.

- Mielibyśmy nadzieję. Chaos, może pojechałbyś do Małej Ameryki i zamienił słowo z Kelloggiem - przerwała je z rozpaczą Siostra Earskin.

Gifford Self siedział, głośno szumiał brodem.

- Wiecie, co się stało, kiedy ostatnim razem pojechałem do

Małej Ameryki? - spytał Chaos. - Kellogg wsadził mnie do więzienia. Powiedział, że mam Marsa w ascendencji. Albo w opozycji do ascendentu. Coś w tym rodzaju.

Czuł, że jego twarz nabiega czerwieni. Może, mimo wszystko, mógłby coś zrobić w sprawie żywności? Jego żona domagała się większej ilości alkoholu. Przeklął się w duchu za opuszczenie Multiplexu. Gif i Glory siedzieli, patrzyli na niego w niemym oczekiwaniu.

- Czemu nie zjecie swojego dziecka? - zapytał. - Wygląda jak zwierzę.

I wyszedł z powrotem w brutalne światło słońca, zanim zdążyli mu odpowiedzieć. Dziewczynki Selfów nie było na schodach. Potem zobaczył ją, klęczącą przy jego samochodzie i zasysającą przez plastikową rurkę benzynę z baku. Cofnął się w cień wejścia i obserwował, niewidoczny, jak kucając na woszczonych udach, przechyla otwarty koniec rurki nad plastikowym pojemnikiem. W końcu pobiegł przez parking. Odwróciła się, zmroczona strachem, patrzyła wielkimi oczami; paliwo nadal syczało się do puszek. Podszedł do niej z boku.

- Nie przerywaj, mała. Nie rozlej ani kropli. Potaknęła w pełnym obawy milczeniu. Chaos widział, jak trzęsła się jej ręce. Sięgnął do baku i wsadził rurkę do czerodka.

- Mówisz? - zapytał; podniósł rurkę powyżej poziomu zbiornika.

Spojrzała na niego.

- Umiem dobrze mówić.

- Pamiętasz, co było przedtem? Znaczenie wydawało się jasne.

- Nie.

- Rodzice mówili ci o tym?

- Trochę.

- No cóż, może dziewczynki nie robiły dawniej takich rzeczy - powiedziały i natychmiast tego pożałowały. Nostalgiczne moralizatorstwo.

- Zapomnij o tym.

Wyrzuciła rurkę. Roniła krople benzyny, zwinęła się w spiralę i wylądowała na pomoście pustego basenu. Wsiadła do auta. Dziewczynka wstała i czyściła z kurzu swoje szare dżinsy. Zadarła głowę i zagapiła się na Chaosa; zastanowiła się, co widziała. Nietoperza? Mieszkańca jaskini?

- Dobra - powiedziała.

- Dokąd jedziesz? - zapytała niecierpliwie. Pomyślała o radzie, jakiej przed chwilą udzieliła jej rodzicom, zastanawiając się, czy byłaby w stanie to zrobić?

- Wsiadaj - powiedziała, powodowany nagłym impulsem.

Sięgnęła na drugą stronę i otworzyła drzwi od strony pasażera. Dziewczynka odskoczyła i pomyślała, że ucieknie, ale po chwili pokazała się z drugiego boku samochodu i wspięła na siedzenie obok niego. Nie odezwali się do siebie, zanim nie znaleźli się na otwartej autostradzie poza miastem. Nie było pewny, dokąd jedzie. Słońce stało teraz nisko i zmierzali mu naprzeciw.

- Miałaś sen? - zapytała.

- Taaa... - oświadczyła promiennie. - Kellogg był wielorybem. Po prostu mnie i znalazłam się w jego brzuchu. Było tam pełno ludzi-ryb...

- Okay - przerwała jej. - Skąd wiesz, co to jest wieloryb?

- Z książki.

- Widziałaś kiedykolwiek Kellogga?

- Nie.

- To dupek. Chcesz go poznać?

- Pewnie.

Zastanowiła się, czy ona wie, że Kellogg jest tym, którego w końcu spotka. Odwróciła się i ponownie pochwyciła jej wzrok.

- Twoi rodzice chcieli, żebym poprosiła Kellogga o więcej jedzenia.

Nie odpowiedziała.

- Nie wiesz najważniejszej rzeczy na ten temat.

Dziewczynka wróciła do obserwowania jaśnowych przestrzeni, które mijali, jakby myślała, że może tam wypatrzeć. Obróciła wsteczne lustro tak, że mógł ją obserwować. Zauważyła, że

miała miniaturowy biust, kie³kuj¹cy niecemia³o pod poszarpanym podkoszulkiem, i ze zdumieniem stwierdzi³, ¿e zastanawia siê, gdzie koñczy siê jej sierœæ. Je¿eli w ogóle gdzieœ siê koñczy³a.

Obserwowa³ j¹, spogl¹daj¹c¹ na pustyniê. Myœla³ czasami, ¿e powodem, dla którego na Wyoming nie zosta³o skierowane uderzenie, by³o to, ¿e nie by³o mu to potrzebne. Ju¿ wczesniej wygl¹da³o jak zbombardowane. Spustoszone.

To mog³aby byæ moja ucieczka, pomyœla³. Objecha³bym Ma³¹ Amerykê z prawej, porzucaj¹c autostradê. Ale nie móg³ tego zrobiæ - potrzebowa³ ¿ywnoœci. Potrzebowa³ wody. A na pewno nie potrzebowa³ dziecka na siedzeniu pasa¿era. Nie, prawda by³a taka, ¿e tak czy inaczej, zamierza³ odwiedziæ Kellogga.

Przejechali przez Main Street. B³¹d. Mieszkañcy Ma³ej Ameryki wygl¹dali dzisiaj na niewiele mniej g³odnych ni¿ mutanci z Hatfork. Na dŸwiêk samochodu Chaosu wysypali siê ze swoich domów, gapi¹c siê nieszczercze na jego niezwyk³ego pasa¿era. Pozory aktywnoœci zdawa³y siê upadaæ, miasto wygl¹da³o na zdegenerowane. Od jego ostatniej wizyty ogieñ strawi³ hotel.

Dziewczynka wysunê³a siê z okna, ogl¹daj¹c siê do ty³u.

- Wracaj do œrodka - powiedzia³ i poci¹gn¹³ j¹ z powrotem na fotel. - Kellogg wytrzebi³ takich jak ty - wyjaœni³, nie staraj¹c siê byæ delikatnym. - Oni zapomnieli.

Us³ysza³, ¿e ktoœ zawo³a³ go po imieniu. Ale raczej nie wo³ali do niego; brzmia³o to tak, jakby podnosili alarm. W snach Kellogg u¿ywa³ go jako koz³a ofiarnego - po Chaosie spodziewano siê, ¿e poprowadzi mutantów do rebelii. A czasem wydawa³o siê, ¿e ju¿ to zrobi³ i zosta³ pokonany; to nie zawsze by³o jasne. Znajdowa³a siê tam s³ynna scena skazania na banicjê - Kellogg i jego deputowani prowadz¹cy Chaosu do granic miasta. Dzia³o siê to tyle razy, ¿e Chaos nie pamiêta³ ju¿, czy to naprawdê kiedykolwiek siê wydarzy³o.

Podniós³ szybê w oknie i pogna³ przez miasto, w kierunku Parku i Ratusza. Miejski skwer musia³ byæ niegdyœ zielony, ale teraz wygl¹da³ jak przeniesiony w œrodek miasta skrawek pustyni. Jakieœ pies truchta³ z nosem przy ziemi wzd³u¿ skraju parku. Przed nimi wyjecha³ ze s³oñca inny samochód, poruszaj¹cy siê po niew³œciwej stronie jezdni. Edge. Chaos zahamowa³. Edge zatrzyma³ swój pojazd niemal w chwili zderzenia i wyskoczy³ z wozu, machaj¹c rêkami. Podbieg³ do okna Chaosu.

- No! - wysapa³. - Co tutaj robisz? Czy Kellogg wie, ¿e tu jesteœ?

- Czy Kellogg powiedzia³ ci, ¿ebyœ jeŸdzi³ pod pr¹d?

- Przepraszam, facet. Nie mów mu, dobrze?

- Jasne.

Chaos mocowa³ siê z kierownic¹ i w koñcu omin¹³ samochód Edge'a. Tamten zdo³a³ uskoczyæ.

- Chcesz siê widzieæ z Kelloggiem?

- Tak.

- No cóż, nie ma go tutaj. Jest z paczk¹ swoich ludzi. W³acenie stamt^d przyjecha³em.

- Sk^d?

- Obok zbiornika.

Z Edge'em siedz¹cym mu na ogonie Chaos pojecha³ w stronê rezerwuaru. Zatrzyma³ siê na końcu d³ugiego rzêdu zaparkowanych czy porzuconych samochodów, a dziewczynka wyprysnê³a z wozu, zanim siê jeszcze zatrzyma³. Pobiegn³, aby j¹ z³apaa. Moment pó^Źniej pogalopowa³ za nimi Edge.

Zbiornik by³ wyschniêty. To, co pozosta³o, stanowi³o olbrzymi¹, p³yt¹ betonow¹ misê, otoczon¹ stopniami na wzór stadionu pi³karskiego. Kellogg mia³ na dnie wykopany dó³ na ognisko. Siedzia³ obok niego na wyecie³anym batystem krzecele, w otoczeniu dwunastu czy piêtnastu ludzi. S³ońce chowa³o siê za pustyniê. Kiedy Chaos, Edge i dziewczynka schodzili po stopniach, pogr¹za³o siê za krawêdzi¹ zbiornika.

- Jak masz na imiê? - spyta³ Chaos.

- Melinda.

- W porz¹dku, Melindo. Spróbujemy pogada^æ z Kelloggiem. Cokolwiek siê zdarzy, trzymaj siê mnie, okay? Bêdziemy w Hatfork dzie w nocy.

Melinda skinê³a g³ow¹.

- Dlaczego ktos³by wróci^æ do Hatfork? - spyta³ Edge.

Chaos zignorowa³ go.

St³oczeni na dole ludzie rozst¹pili siê, aby umo¹liwi^æ Kellog-gowi ujrzienie nadchodz¹cych. Obróci³ siê na krzecele i ucemiechaj¹c siê szeroko, wyj¹³ cygaro z ust; jego brzuch zmarszczy³ siê niczym pozwijany balon.

- No cóż, witaj, Królu-lulu - powiedzia³. - Jak widzê, przyprowdzi³ee nam goeci.

- Daj spokój, Kellogg. Mów mi Edge.

- A co z twoim imieniem, które dosta³ee na chrzcie? Wydaje mi siê, że brzmi bardzo szlachetnie. Wypierasz siê królewskiego pochodzenia?

- Daj spokój, Kellogg - zaskomla³ Edge. - Wiesz, sk^d pochodzê. Sam wymyeli³ee to imiê. Nazywaj mnie Edge.

- Wo³aj na mnie Edge - sparodiowa³ Kellogg. - Wo³aj na mnie Izmai³. Wo³aj mnie, jak chcesz, tylko nie wo³aj mnie za pó^Źno na obiad. Zawo³aj mi taksówkê, okay?

Rozeemia³ siê.

- Jakie wiadomoeci przynosisz? Uwaz¹aj, Królu-lulu, bo przynajmniej raz mo¹emy zabia^æ pos³añca. Jesteemy g³odn¹ band¹.

- Przestañ, Kellogg. Nie przynios³em ¹adnych wieoci. Ja tylko na chwilê st^d odszed³em.

- A wiêc odwo³ujê to. Ci nowi to twoje towarzystwo? - Kellogg nastroszy³ brwi. - Popatrzcie - powiedzia³, a jego ton siê zmieni³; gra³ teraz dla galerii. - Przyjecha³ Chaos. Nie wzywany, nie

zapraszany, jak zwykle.

Zgromadzeni gapili się g³upio, jakby starali się dopasowaæ pow³ócz¹cy krok Chaosa do dramatyizmu us³yszanych s³ów.

- Wraz z nim spaceruje potwór - ci¹gn¹³ Kellogg. - Mutant, aberracja. Zatrzymaj się, Chaos. Stój, gdzie stoisz, i nie posuwaj się bliżej w stronê naszej kompanii. Ech, przynosisz swoje przekleństwo na nasz¹ skromn¹ uroczystoœæ?

Obok ognia, przywi¹zane do ro¼na, znajdowa³o się jakieœ czerwieni¹ce się œcierwo - psa albo kozy. Na skraju do³u le¼a³o kilka porzuconych pustych puszek.

- Chcê pogadaæ o ¿ywnoœci - powiedzia³ Chaos. Przez t³umek ma³oamerykanów przeszed³ pomruk.

- Wkrótce znajdziemy się przy piersi, u Ýród³a po¿ywienia - stwierdzi³ Kellogg. - S³one morze zostanie wreszcie objête przez potrzebuj¹cych.

- Gdzie s¹ ciê¿arówki zjedzeniem? - zapyta³ Chaos. Kellogg zamacha³ rêkami.

- Pos³uchaj, Chaos, gdybym znajdowa³ się na powierzchni oceanu, p³ywaj¹c, a ty sta³byœ na moœcie, z lin¹ przywi¹zan¹ do mojego paska, to by³byœ w stanie mnie podnieœæ?

Uniós³ jedn¹ brew, dla podkreœlenia wagi zagadki.

- Pasek by pêk³? - podsun¹³ Edge ochoczo; porzuci³ Chaosa i dziewczynê, przepychaj¹c się œokciami przez t³um otaczaj¹cy Kellogga.

Ale ten zignorowa³ przypuszczenie Edge'a.

- Nie móg³byœ - œwiadczy³. - Ale je¼eli spoczywa³bym na dnie oceanu, a ty na œodzi, móg³byœ mnie wyci¹gn¹æ na powierzchniê?

- Nie widzia³em ¿adnego z twoich Rangersów, Kellogg - powiedzia³ Chaos. - Co się dzieje? Ktoœ skasowa³ twoje ciê¿arówki?

- Si³a wyporu! - zawo³a³ Kellogg. - Zmniejsza ciê¿ar cz³owieka.

T³umek wydawa³ się ucieszony pewnoœci¹ siebie Kellogga. Ktoœ zobaczy³ otwart¹ puszkê fasoli i teraz zosta³a przekazana naprzód, do r¹k Kellogga, który zanurzy³ palec w jej wnêtrzu, wyj¹³ go i wessa³ po³yskliwy kês, sk³adaj¹cy się z fasoli oraz sosu. Chaos doœwiadczy³ fantastycznego wra¼enia, ¿e w Wyoming jest to absolutnie ostatnia puszka ¿ywnoœci. Co za tym idzie, zostanie zjedzona przez Kellogga; wedle wiedzy Chaosa, ostatniego w okolicy grubasa.

- Ocean nas wzywa - zauwa¼y³ Kellogg, ¿uj¹c intensywnie.

- Ocean jest tysi¹c mil st¹d - odpar³ Chaos.

Pozwoli³ sobie na przypuszczenie, ¿e jego upór jest odwag¹. Mo¼e i tak by³o.

- Ach - odezwa³ się Kellogg. - Ale w³acenie tutaj się mylisz, Chaos. Planety stoj¹ w linii prostej. P³yty kontynentalne s¹ w ruchu. Ocean jest na swojej drodze.

W t³umie odezwa³ się szum aprobaty. Prawdopodobnie s³yszeli tê przepowiedniê ju¿

wczecniej. Albo j¹ cenili.

- „Wyrównanie” - powtórzy³ Edge z szacunkiem.

- Wszystko, co mówiê, zosta³o skonsultowane z horoskopami - powiedzia³ Kellogg. - Taka jest różnica miêdzy nami, Chaos. Ja pod¹łzam za gwiazdami.

- Hatfork potrzebuje ływnocci, Kellogg. Nie obchodzi mnie, czy przyjdzie ona z oceanu czy z gwiazd. Robimy, co chcesz, s³uchamy twoich snów. Teraz daj nam jeceæ.

- Nie ma podatków bez poborcy - stwierdzi³ Kellogg. - Bardzo dobrze. Može bêdê musia³ wkrótce zmieniaæ twoje imiê.

- Zmieñ je - popar³ go Edge; pomóg³ unieceæ miêso, by znalaz³o siê nad p³omieniem.

Dziewczynka wybieg³a spoza Chaosa, aby popatrzeæ, a Kellogg zmarszczy³ swoje spalone s³oñcem czo³o.

- Twój problem, Chaos, polega na niechêci do wziêcia siê za bary z now¹ rzeczywistoeci¹. Od czasu bomb jesteemy ca³kiem nowym gatunkiem, mamy zupe³nie nowy porz¹dek.

Jego g³os sta³ siê bardziej zały³y i t³umek zwróci³ swoj¹ uwagê na piecyste. Jedy¹n rzecz¹, któr¹ Chaos lubi³ mniej od Kelloggowego udawactwa, by³y chwile, kiedy grubas stawa³ siê szczery.

- Celowa ewolucja stanowi pierwsze zadanie inteligentnego spo³eczeñstwa - wyk³ada³ Kellogg.

- Dziedziczymy wiel¹ tradycjê, przyznajê, ale nie možeme pozwoliæ, żeby tradycja ci¹gnê³a nas wstecz. Musimy przejeæ ponad przesz³occi¹. Zbyt d³ugo ignorowalioemy łyj¹ce w oceanach inteligencje naszej plajty. Co gorsza, wypieralioemy siê w³asnego wodnego pochodzenia. Ewolucja jest cykliczna, Chaos. Rozumiesz?

-- Co siê sta³o z twoimi ciêłarówkami, Kellogg? - By³o to coe wiêcej niê tylko œmia³e stanowisko; g³ód wrêcz zabija³ Chaosa. - Nie ma wiêcej łarcia w Denver?

- Zamierzamy zaludniæ ogród, Chaos. Jestem tutaj, aby pokazaæ, jak nalezy to uczyniæ. Tym razem musi byæ to zrobione inaczej. Bomby okrad³y nasz œwiat ze znaczeñ i naszym zadaniem jest ponownie w nie zainwestowaæ. Nowe symbole, nowe przes¹dy. To w³acenie ty, Chaos. Ty jesteemy nowym przes¹dem.

- Juł nigdy wiêcej - odpar³ Chaos, zdumiewaj¹c sam siebie. - Wyjełd¹lam. Nie zostanê tutaj ani chwili d³ułej.

- Zaczekaj chwilê - powiedzia³ Kellogg. - Nie mów jak szaleniec. Nie mozesz teraz odejceæ.

- Nigdzie indziej nie može byæ gorzej - rzek³ Chaos. - Radiacja zanika.

- Nie mówiê o promieniowaniu... T³umek cofn¹³ siê nagle od ognia, ktoe jêkn¹³. Edge poklepa³ grubasa po ramieniu.

- Hej, Kellogg - odezwa³ siê s³abym g³osem. - Spójrz no...

Klatka piersiowa zwierêcia otworzy³a siê w ogniu - ływa od bia³orółowych robaków. Kiedy wysypa³y siê ze swej jamy, sycza³y i skwiercza³y w p³omieniach, opryskuj¹c miêso swoim sokiem.

- Cholera - powiedzia³ cicho do siebie Kellogg.

Melinda Self podbieg³a z powrotem do Chaosa i niecierpi³o zawinê³a palec wokó³ szlufki jego paska. Przez t³um przeszed³ pomruk.

- Łapcie ich!

Zanim Chaos zdo³a³ cokolwiek zrobiæ, ramiona mia³ wykrêcone do ty³u, a na plecach poczu³ czyjeœ kolana. Edge pochwyci³ wrywaj¹c¹ siê dziewczynkê i pchn¹³ j¹ na piasek, pod nogi Kellogga. Chaos kopa³ t³ocz¹cych siê za nim ludzi, lecz bez najmniejszego rezultatu. Na kark spad³y mu piêeci. Szarpn¹³ siê mocniej i zosta³ wciœniêty twarz¹ w piach.

- Chcia³eœe wiedzieæ, co siê sta³o z moimi ciê¿arówkami zaopatrzeniowymi? Sabota¿, ot co. Ktoœ je wysadzi³ w powietrze piêæ mil od miasta. Ci, którzy uszli z ¿yciem, opowiedzieli, ¿e zostali zaatakowani z nieba. Jakiego rodzaju powietrznego ataku. Czy to nie mia³o czegoœ wspólnego z tob¹, Chaos?

- Nie.

- No có¿... a kto, twoim zdaniem, móg³by to zrobiæ?

- Nie mam pojęcia.

- Wydaje mi siê, ¿e wyœni³eœe to sobie, mój przyjacielu. W³œciwie jestem ca³kiem pewien. Tego ranka stara kobieta znalaz³a le¿¹cy obok autostrady but, a w bucie by³o jedzenie. Zamierzamy ci za to zap³aciæ, Chaos. Zjemy twój¹ przyjació³eczkê.

T³um zareagowa³ na to oœwiadczenie niczym sfora doskonale wytresowanych psów. Utopijne sny zosta³y zapomniane; zion¹c z³oœci¹, rozci¹gnêli dziewczynkê na ziemi.

- Hola! - zawo³a³ Kellogg. - Nie zniszczcie jej skóry! Chcê j¹ sobie zawiesiæ na oœcianie. Zróbmy to dobrze, dodaj¹c nieco marynaty.

Melinda Self zaczê³a krzyczeæ i jeden z mê¿czyzn po³o¿y³ d³oñ na jej ustach, wykrêcaj¹c dziewczynce g³owê do ty³u. Chaos usi³owa³ wstaæ, ale ktoœ postawi³ na nim nogê. Ci przy ogniu popatrywali na spalone, czerwone miêso na ro¿nie.

- Powstrzymaj to, Kellogg - powiedzia³ Chaos. - Posuwasz siê za daleko.

Czu³ siê oszukany. Tego nie by³o w gwiazdach. Nigdy nie ceni³ o kanibalizmie.

- Zbyt daleko, co? Powiedzia³bym raczej, ¿e nie dosyæ. Mo¿e powinniœmy j¹ najpierw podtuczyæ? Zobaczmy, mo¿e mog³aby zjeœæ ciebie...

- Temu nie bêdzie koñca - stwierdzi³ Chaos. - W koñcu zabraknie ci wszystkiego, bez wzglêdu na to, co zrobisz. Kiedy to nast¹pi, zjedz¹ i ciebie - jego napiêty g³os za³ama³ siê nagle. - Ty draniu!

Kellogg ucemiecha³ siê przez d³u¿sz¹ chwilê, napawaj¹c siê t¹ scen¹. Melinda Self uwolni³a z ucisku g³owê i plu³a na piasek. T³um czeka³. Byli rêkami Kellogga, jak zawsze.

- Okay, Chaos, z³apa³eœe siê na mój bluff. ¯artowa³em tylko. To wszystko by³o zbyt ³atwe, wiesz? Jestem tob¹ rozczarowany.

Nawet nie zorientowa³eœ siê w moich kompetencjach - podniós³ rêkê i uszczypn¹³ policzek Melindy. - artujesz? Nie zjad³bym ma³ego, œlicznego dziecka. Znasz mnie przecie¿, na tyle, stary.

- Wiem, ¿e jesteœ chory na umyœle. Kellogg wyd¹³ spalone s³oñcem policzki, zacisn¹³ d³oñ w piêœæ, a potem otworzy³ j¹ powoli, palec po palcu.

- Nie wystawiaj mnie na próbê - powiedzia³. - Nikt nikogo nie zjada w Ma³ej Ameryce, Chaos. Nie wiem, jak to jest u waszych ludzi w Hatfork, ale tutaj siê to nie zdarza.

- To j¹ puœæ.

Kellogg potrz¹sn¹³ g³ow¹.

- Musimy pogadaæ, Chaos. Od d³u¿szego czasu powinniœmy. Ona stanowi gwarancjê, ¿e mnie wys³uchasz - ponownie siê odchyli³ na krzœcie, a pustynny zachód s³oñca p³on¹³ wokó³ jego g³owy jak aureola.

- Zabierz j¹ do miasta - powiedzia³. - Ty j¹ weŸ, Edge. Nie zrób jej krzywdy.

Pogrzeba³ w kieszeni i wydoby³ klucz, który wrêczy³ Edge'owi.

- Mój magazyn. IdŸ i otwórz kilka puszek. Niech wszyscy jedz¹. Dziewczynka te¿. W³ochata czy nie, poka¿emy staremu Chaosowi, ¿e wiemy, jak siê traktuje damê.

Ktoœ kopn¹³ Chaosa w g³owê, przewracaj¹c go na ziemiê. T³um popêdzi³ Melindê Self po stopniach w górê, w stronê samochodów. Silniki zastartowa³y. Chaos podniós³ siê na nogi i wyplu³ piasek z ust. Zostali z Kelloggiem sami. Grubas sta³ na skraju do³u, szczaj¹c do ognia. Spojrza³ na Chaosa i ucemiechn¹³ siê, a potem zapi¹³ suwak w d¿insach.

- ChodŸ no tu, Chaos. Wst¹p do mego biura.

Odwróci³ siê i odszed³ od ogniska, przystaj¹c przy obmurowaniu zbiornika.

Chaos strz¹sn¹³ piasek z koszuli i pobieg³ za Kelloggiem. Odczu³ nag³¹ chêæ rzucenia siê na te szerokie, zadowolone z siebie cielsko, ale nie mia³ pewnoœci, czy zdo³a³by zrzuciæ tego wielkiego g³upca na dó³. Czuz³ siê chudy i wyczerpany, niczym kawa³ek wyrzuconego na brzeg drewna.

Kellogg usiad³ na krawêdzi betonu. Pogmera³ w kieszeni koszuli, wydoby³ z niej na wpó³ wypalone cygaro i nie zapalone w³o¿y³ do ust.

- Dlaczego ty zawsze przychodzisz rozmawiaæ ze mn¹ taki pobudzony, Chaos? Ju¿ mnie nie lubisz? Tkwimy w tym razem, pielgrzymie. Wiesz o tym przecie¿, no nie? - skrzywi³ siê, a cygaro nieco opad³o. - Przepraszam, stary, je¿eli zachowa³em siê trochê jak szaleniec. Kiedy powiedzia³eœ, ¿e wyje¿d¿asz, niemal pêk³o mi serce.

Chaos ogarnê³o zdumienie. Kellogg stara³ siê wzbudziæ w nim poczucie winy. A potem przypomnia³ sobie plotkê, jak¹ us³ysza³ tydzieñ temu u Siostry Earskin.

- To prawda, co s³ysza³em?

- Co takiego?

- e nie by³eœe nikim wiêcej, jak tylko handlarzem czêœciami zamiennymi do samochodów, i

jeŹdziŹe jako komiwojaŹer p3cięar3wk¹, pe³n¹ darmowych œwiec zap³onowych?

Kellogg ucemiechn¹³ się sarkastycznie, wyraŹnie zaniepokojony.

- Z rêk¹ na sercu, Chaos, teraz naprawdê tego nie pamietam. Ale przypuszczam, Źe tak. Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Chaos milcza³.

- Jesteœ zbyt skoncentrowany na tym, co by³o przedtem, ch³opie. Jakby to kogokolwiek obchodzi³o. Mam na myœli to, czy pamietasz, co by³o wczœniej? Naprawdê pamietasz?

- Nie - przyzna³ Chaos.

Nienawidzi³ tego pytania za kaŹdym razem, kiedy je s³ysza³.

- Daj spok3j, Chaos. Kim by³eœ wczœniej? Co robi³eœ, kiedy spad³y bomby?

- Nie wiem - powiedzia³ Chaos. - Nie pamietam nawet, jak się nazywa³em. Wiesz o tym.

- Okay - Kellogg przerwa³, by zapaliæ cygaro. - Łatwiejsze pytanie. Jak dawno temu to by³o?

M3zg Chaosa rozp³ywa³ się, gdy usi3owa³ sobie przypomnieæ.

- Nie wiem - stwierdzi³ znowu. - Ale ty pamietasz, prawda?

- Nie. - Kellogg dmuchn¹³ filozoficznie dymem, który uni3s³ się pod ciemniej¹ce niebo. - Ale lubiê myœleæ, Źe nie ma nic, co by³oby warte zapamiêtania. Wszystko by³o takie, jak teraz. To tylko wraŹenie, Źe wczœniej by³o inaczej; lokalne wraŹenie. Ca³y œwiat ma deja vu.

Teraz Chaos znalaz³ się na pewniejszym gruncie. Z powrotem na gruncie zwariowanych teorii grubasa.

- Te wszystkie rozwalone rzeczy dooko³a, Kellogg, to nie jest wraŹenie. Puszki z jedzeniem w dawnych magazynach. I spos3b, w jaki rozmawiamy, pe³en s33w dotycz¹cych przedmiot3w, kt3re nie istniej¹. Mogê nie pamietae swojego imienia, ale wiem, Źe zbiornik jest po to, aby by³a w nim woda.

- W porz¹dku, w porz¹dku. M3wiê tylko, Źe to nie jest takie proste, jak sobie myœlisz. Chodzisz woko³o, wyci¹gaj¹c wnioski z tych wszystkich poniewieraj¹cych się tutaj klamot3w, i myœlisz, Źe ³atwo jest dojœæ z punktu A do punktu B. Jednak nawet się nie zbli¹y³eœ - wyj¹³ cygaro z ust. - Nie znam odpowiedzi, Chaos, ale wiem wiêcej od ciebie, poniewaŹ nie bojê się zajrzeæ w siebie, do swego wnêtrza, przyjmuj¹c na swoje barki trochê odpowiedzialnoœci. Podczas gdy ty nie wiesz nawet po³owy tego, co ja.

Znowu temu uleg³. Kolejnej zbijaj¹cej z tropu, rozpaczliwej rozmowie z Kelloggiem. Bola³ go brzuch.

- Co mi chcesz powiedzieæ?

- Pos³uchaj, Chaos. Jesteœ taki jak ja, wiesz o tym? NaleŹymy do tego samego gatunku. Jedyne r33nica polega na tym, Źe ja o tym wiem, a ty nie.

Chaos poczu³ się zmêczony.

- Odchodzê, Kellogg. NiewaŹne, co powiesz. JuŹ nigdy wiêcej nie bêdê œni³ twoich sn3w.

- Œniaæ moje sny? Co? - prysn¹³ œlin¹. - Nie moŹesz odejœæ. Nie rozumiesz tego? Jesteœ

niezwykle ważny.

- Nikt nie jest tutaj potrzebny, z wyjątkiem - być może - ciebie. Poza tym, ja nie chcę być potrzebny. Pragnę wyjechać.

- Posłuchaj - powiedz Kellogg poważnie, dŹgajc cygarem powietrze. - Znienawidzê to miejsce bez ciebie, partnerze. Nie wiem, co siê ze mn¹ stanie, jeŹeli wyjedziesz.

- Znowu mieszasz sny z rzeczywistoœci¹, Kellogg. Jestem waŹny tylko w snach. UŹywasz mnie jako symbolu. Źywy cz³owiek nie jest do tego niezbêdny. Dasz sobie radê beze mnie; przyrzekam, Źe nie bêdê siê skarŹyæ.

Kellogg potrzeb¹sn¹³ g³ow¹.

- Przykro mi z powodu snów. Wyeliminujê je, przyrzekam. Chryste, Chaos, jeŹeli chodzi tylko o sny, powinieneœ coœ powiedzieæ. Ale tak czy inaczej, koniec z nimi, przysiêgam. I s³uchaj: od teraz bêdziemy równorzêdnymi partnerami, tak jak powinniemy byæ nimi od pocz¹tku.

- Co?

- Widzê, Źe nie masz spokoju w Hatfork. W istocie przewidzia³em, Źe do tego dojdzie. Liczy³em na to. Nadszed³ czas, byœ wsp¹³ siê wyŹej i, nie dajc siê wodziaæ za nos, zacz¹³ domagaæ siê podzia³u w³adzy, stary - a nie po prostu odchodzi³. Nie wtedy, kiedy znalaz³eœ siê na krawêdzi spraw, wielkich spraw. Do diab³a, ja teŹ jestem zmêczony, a zosta³o mn³stwo pracy. Jestem gotów do przekazania ci pa³eczki.

- Zwariowa³eœ, Kellogg. - Chaos odwróci³ siê i ruszy³ w poprzek zbiornika, w kierunku stopni prowadz¹cych do jego samochodu.

Kellogg poszed³ za nim przez piach, dysz¹c ciêŹko. Z³apa³ Chaos za ramiê.

- Brakuje ci niezbêdnych informacji, ch³opie. Jezu, zwolnij. To, co robiê - to, co robimy tutaj razem - nie moŹe zostaæ tak po prostu rozdzielone. Sny nic nie znacz¹, s¹ tylko ozdob¹. Ty takŹe moŹesz to robiæ, jeœli spróbujesz, ale nie w tym problem. Sny nie stanowi¹ sedna sprawy. Jesteœ graczem w tym, co siê tutaj dzieje, zawodnikiem na pierwszej bazie. Nie moŹesz odejœæ. Bez ciebie wszystko siê zawali.

Chaos zatrzyma³ siê i odwróci³.

- Chcesz powiedzieæ, Źe jest tutaj coœ takiego, co naleŹy powstrzymaæ przed upadkiem? Coœ, co nie zawali³o siê dawno temu? Do rzeczy, Kellogg. JeŹeli jest jakœ rzecz.

- Posłuchaj. - Tamten postuka³ Chaosa w klatkê piersiow¹. - Bomby nigdy nie spad³y! To jedna wielka bzdura, coœ, co ty i ja wymyœlilicemy, aby wyt³umaczyæ ca³y ten ba³agan. Sta³o siê coœ innego, coœ duŹo bardziej skomplikowanego. Rozumiesz? Bomby nie spad³y.

By³a juŹ prawie noc. Na zachodzie niebo nadal p³onê³o r³em, ale nad ich g³owami pojawia³y siê gwiazdy. Od strony solnych p³aszczyzn dmuchn¹³ wiatr. Chaos usi³owa³ strz¹sn¹æ z siebie s³owa Kellogga i skoncentrowaæ siê na samochodzie, wodzie i poŹywieniu. Na wydostaniu siê st¹d.

- Promieniowanie - powiedzia³. - Ta dziewczynka ze mn¹, mutanci. Co z tym? Sk¹d to wszystko siê wziê³o, skoro nie by³o bomb?

- Sta³o siê coœ tajemniczego. Ale to nie by³y bomby. Nie odby³o siê to tak, jak myœlisz. Ile lat ma ta dziewczynka? Dwanacecie, trzynacecie? Nie jesteœmy tutaj tak d³ugo.

Chaos poczu³ siê oburzony faktem, ¿e Kellogg i wszyscy ci ludzie wybijali dziury w jego rzeczywistoœci.

- A ile czasu tu jesteœmy? - zapyta³.

- Nie mam, kurwa, zielonego pojęcia - uœmiechn¹³ siê Kellogg.

- Nie rozumiem.

- S¹dziœem, ¿e mutanci s¹ jednym z twoich b³yskotliwych pomys³ów. Dlatego umieœci³em ciê w Hatfork. Pomyœla³em, ¿e to twoja dzia³ka, ¿e lubisz ten rodzaj rzeczy.

Chaos potrzeb¹sn¹³ przecz¹co g³ow¹.

- Znowu mieszasz. Nazwa³eœ mnie Chaosem, ale to nie ma ze mn¹ nic wspólnego. Ochrzczenie mnie Chaosem nie powoduje. ¿e pewne sprawy staj¹ siê moj¹ win¹. To tak, jakby nazwa^æ kogoœ Radoœci¹, a potem wierzy^æ, ¿e wszyscy wokó³ bêd¹ szczêliwi.

Wspina³ siê nadal do samochodu, a Kellogg gna³ u jego boku.

- Nie odejdziesz, co? Jezu, nie mogê uwierzy^æ, ¿e do tego dosz³o. Ty i ja, Chaos. Kellogg i Chaos, Chaos i Kellogg...

O, cholera. Okay, s³uchaj: je¿eli chcesz, wyjedziemy razem. Zobaczymy, czy gdzie indziej nie bêdzie nam lepiej. Rozbijemy nowe namioty, wiesz. Gdzieœ, gdzie jest wiêcej mo¿liwoœci. Gdzie sprawy nie s¹ tak kurewsko beznadziejne, by zacz¹æ od nowa. To wszystko nie jest nasz¹ win¹, wiesz o tym. To miejsce by³o ju¿ wyschniête, zanim tu przybylicemy. Chaos milcza³.

- Jak daleko odjedziesz beze mnie? - zapyta³ Kellogg ze z³oœci¹. - Jesteœ zbyt surowy, zawsze by³eœ. Pe³en mo¿liwoœci, ale nieog³adzony. Potrzebujesz mnie. Poza tym, spójrz - pogna³ do swojego samochodu, który sta³ zaparkowany kilka stóp od wozu Chaosa.

Podzwaniaj¹c olbrzymim pêkiem kluczy, otworzy³ baga¿nik.

- Popatrz, gotowy do drogi. Nie mów mi, ¿e pomyœla³eœ o wszystkim. Nie, ¿eby to by³o konieczne. Jestem pewien, ¿e znalaz³byœ sposób. Odlecia³byœ st¹d prawdopodobnie na pierdolonym lataj¹cym dywanie, gdybyœ siê upar³, ale sedno tkwi tutaj. Popatrz. Spójrz, proszê.

Chaos nie móg³ st³umia^æ ciekawoœci i podszed³ do samochodu Kellogga, który rozpostar³ ramiona, niczym prezentuj¹cy nagrody gospodarz teleturnieju. Baga¿nik wypakowany by³ kocami, narzêdziami, flarami, pojemnikami z wod¹, puszkami jedzenia i zapasowym kanistrem z benzyn¹. Niektóre z puszek zawiera³y karmê dla psów, ale nadal robi³o to imponuj¹ce wra¿enie. Kellogg odst¹pi³ w bok, pozwalaj¹c Chaosowi napawa^æ siê widokiem.

- Co o tym myœlisz? Je¿eli chcesz odejœæ, dlaczego nie zrobiæ tego z fasonem? Ty i ja,

ch³opcze. Babe i Iron Man. Bud i Lou...

Chaos wyj¹³ z bagażnika puszkê peklowanej, wo³owej mielonki i rozejrza³ siê za otwieraczem do konserw. Zamiast tego znalaz³ ³y¹kê do zmieniania opon. Poruszaj^{1c} siê z drapie¹nym spokojem, w³o¹y³ ponownie puszkê do bagażnika i zacisn¹³ mocniej d³oñ na stalowym prêcie.

- Zbyt g³odny, aby myce^{1æ}? Nie krêpuj siê. Zjedz to. Prze³amiemy siê chlebem...

Chaos zamachn¹³ siê ³y¹k¹ z szerokiego backhandu i waln¹³ cicho i solidnie Kellogga w czaszkê. Grubas cofn¹³ siê, potykaj^{1c}, i podniós³ rêce do skroni.

- Och, och, cholera! Co ty robisz, ch³opie? Jezu, to boli! Cz³owieku, krêci mi siê w g³owie...

Ponownie zamachn¹³ siê ¹elazem, ale Kellogg zas³oni³ siê ramieniem. Chaos poczu³ w d³oni odbite uderzenie. Walcz^{1c} z md³oeciami, odrzuci³ w bok ³y¹kê, wyj¹³ klucze z zamka bagażnika i zatrasn¹³ go.

Kellogg ukl¹k³ na piasku.

- Chaos, z³ama³ee mi rêkê. Nie mogê uwierzyæ w to, co teraz robisz, w ten stan rzeczy; to po prostu sprzeciwia siê zdrowemu rozs¹dkowi...

Chaos usiad³ na miejscu kierowcy i uruchomi³ samochód Kellogga. Silnik zag³uszy³ s³owa grubasa. Poklepa³ kieszeñ, aby siê upewniaæ, ¹e ma tam kluczyki od w³asnego auta i Kellogg nie bêdzie móg³ wzi^{1æ} jego wozu i pojechaæ za nim. Potem ruszy³ z powrotem do miasta.

Mieszkañcy Ma³ej Ameryki siedzieli na stopniach Ratusza, wyjadaj^{1c} co¹e z puszek, podnieceni i rozgadani. Tuziny ich, wiêcej, ni¹ zebra³o siê przy ognisku. By³ tam i Edge, siedz¹cy i otaczaj¹cy ramieniem Melindê Self. Kto¹e wystukiwa³ jak¹e rytm o stopnie, kto¹e inny œpiewa³. Chaos s³ysza³, jak mru¹cz¹ jego imiê, kiedy podje¹d¹a³. Zatrzyma³ siê na œrodku ulicy, ale silnik pozostawi³ na chodzie i nie wysiada³.

- Hej, Chaos - zawo³a³ Edge. - Czemu jeste¹e w samochodzie Kellogga?

- Pos³a³ mnie tutaj - odpar³ Chaos. - ¹ebym zabra³ dziewczynkê.

- Jego autem?

- Powiedzia³, ¹e chce, aby podró¹owa³a z fasonem. Mój samochód nie jest odpowiednio dobry. Och, mo¹esz mi j¹ tu przyprowadziæ? Okaza³o siê, ¹e jest wa¹niejsza, ni¹ myce¹isz.

- Nie rozumiem. Gdzie jest Kellogg?

- Czeka na nas, wiêc chod¹. Chce ciê widzieæ natychmiast. I ma³! Przeprowad¹ j¹ tutaj, dobra?

- Dlaczego?

- Ona jest, no, cz³owiekiem-fok¹. Pierwsz¹ z nowej rasy, o której mówi³ Kellogg. Ziemnowodna, znasz to s³owo, Edge? Pasuje do l¹du i do wody. Kellogg nie chce, ¹eby jej ludzie wœciekli siê na nas, wiêc przestañ pieprzyæ. Powiedzia³, ¹e to bardzo wa¹ne, ¹e my, no, stoimy po stronie ludzi-fok.

Edge pogna³ w dó³, bardzo podniecony, holuj^{1c} Melindê Self.

- Mówi^{3em} ci, Chaos, co nie? Tym razem Kellogg zamierza coce robiæ, ten-jak-mu-tam, ca^{3y} nowy „paradygmat”. Mówi^{3em} ci.

Przyci¹gniêci rozmow¹ ma^{3o}amerykanie zaczêli dryfowaæ w dó³ schodów, w stronê samochodu.

- Obejd^Ÿ auto - powiedzia³ Chaos napiêtym g³osem. Siêgn¹³ i otworzy³ drzwi od strony pasażera.

- Mogê pojechaæ z tob¹? - spyta³ Edge. - Nigdy nie siedzia^{3em} w wozie Kellogga.

- No, nie wiem, Edge. Kellogg nic nie mówi³ na ten temat. Lepiej we^Ÿ swoje auto.

- Tak, tak, w porz¹dku, w porz¹dku.

- Poza tym chce, ¿ebyce wyda³ wiêcej puszek. Wyczyœæ kryjówkê, to s¹ jego w³asne s³owa. We^Ÿ tych ludzi, ¿eby ci pomogli, Edge. Potem pojed^Ÿ do zbiornika. Ja i Kellogg bêdziemy tam na ciebie czekaæ.

- Konserwy? Wyczyœciaæ magazyn?

- Kellogg chce coce daæ ludziom-fokom. Prezent pokoju. Pospiesz siê.

- Okay, okay.

Melinda Self wsiad^{3a} do samochodu, Chaos siêgn¹³ przez ni¹ i zatrzasn¹³ drzwiczki.

- Dobra - stwierdzi³ Chaos, machaj^{1c} na t³um, aby odst¹pi³ od auta. - Zobaczmy siê pó^Ÿniej.

Grzmi^{1c} silnikiem, objecha³ miejski plac i skierowa³ siê z powrotem w stronê zbiornika. Kiedy skrêci³ za róg, znikaj^{1c} z pola widzenia ludzi zebranych pod Ratuszem, przeci¹³ ulicê i pojecha³ w kierunku autostrady. Skóra na karku cierp^{3a} mu ze strachu, ale we Wstecznym lusterku nie pokaza³ siê ¿aden œcigaj^{1c}cy go samochód.

Prawie pewien, ¿e po drugiej stronie wpadnie w zasadzkê, skrêci³ w tunel, ale pochylnia wyjazdowa okaza^{3a} siê wolna. Nie spojrze³ ani razu na dziewczynkê, zanim nie znale^Ÿli siê o dobr¹ milê od miasta. Siedzia^{3a}, wygl¹daj^{1c} przez okno i nie sprawiaj^{1c} wra¿enia zaniepokojonej. Na jej nosie perli^{3y} siê kropelki potu. Kiedy spostrzeg^{3a}, ¿e patrzy na ni¹, ucemiechnê^{3a} siê i powiedzia^{3a}:

- Jedziemy w przeciwn¹ stronê.

- Wiem - odpar³. - Je¿eli wrócê, zabij¹ mnie. Masz ochotê na ma³¹ przeja¿d¿kê?

- S¹dzê, ¿e tak.

- Bêdziesz têsni^{3a} za rodzicami?

- Nie wiem - ucemiechnê^{3a} siê ponownie i wzruszy^{3a} ramionami.

- Wycelemy im pocztówkê.

- Co to jest pocztówka?

- Niewa¿ne.

Po kolejnej mili zjecha³ na pobocze, zatrzyma³ samochód i powêdrowa³ do bagażnika. Wyj¹³ kilka puszek jedzenia, otwieracz i plastikowy pojemnik z wod¹ i rzuci³ to na przednie siedzenie. Melinda

zaję³a siê jedn¹ z puszek i otwieraczem. Wypi³ wielki ³yk wody i uruchomi³ silnik.

- Przez d³u¿szy czas nie chcê siê zatrzymywaæ - powiedzia³. - Mog¹ jechaæ za nami. Otwórz coœ do jedzenia.

Kieruj¹c wyci¹gniêtymi przed siebie ³okciami, pokaza³ jej, jak u¿ywaæ otwieracza. Zjedli ¼ar³ocznie jedn¹ puszkê, a potem drug¹. Poczuc³ md³oœci i myœla³ przez chwilê, ¿e by³ to jakieœ podstêp, ¿e po¿ywienie zosta³o zatrute lub zaprawione narkotykiem, i ¿e Kellogg pojedzie za nimi, aby ich zgarn¹æ, kiedy strac¹ œwiadomoœæ. Ucieczka okaza³a siê zbyt ³atwa. Ale nie, jedzenie by³o w porz¹dku. To tylko jego skurczony z g³odu i wysuszony zanieczyszczonym alkoholem ¼o³¹dek tak reagowa³. Wypi³ jeszcze trochê wody i uczepli³ siê kierownicy.

W górze pojawi³ siê ksiê¿yc, oœwietlaj¹c p³aszczyszniê pustyni. Autostrada przypomina³a po³o¿on¹ na niej, rozsypuj¹c¹ siê czarn¹ prêgê - gdzieniegdzie znikaj¹c¹ ca³kowicie pod piaskiem, gdzieniegdzie ostro zarysowan¹, wznoszc¹c¹ siê w skalistych gard³ach czy ponad wyschniêtym strumieniem. Ksiê¿yc, ¼ó³ta gêba przes³oniêta mg³¹, ucieka³ do ty³u tak szybko, jak jechali. Dziewczynka zasnê³a na siedzeniu obok niego, obj¹wszy siê ramionami, a wiatr rozwiewa³ jej br¹zow¹ sierœæ.

Jecha³ przez ca³¹ noc, a potem przez nastêpny dzieñ i nie zasn¹³, a¿ dopiero kolejnej nocy.

Mieszka³ w domu nad jeziorem. By³a tam ³ód¿ przywi¹zana do pomostu, a w pokoju sta³ komputer. Czeka³, aby kobieta, któr¹ kocha³, porzuci³a pracê w mieœcie i zamieszka³a z nim tutaj. Tymczasem co noc rozmawiali przez telefon. Czasami zastanawia³ siê, czemu nie mog³aby zostaæ z nim w tym domu i wykonywaæ swoj¹ pracê za pocerednictwem komputera, ale podejrzewa³, ¿e przyczyn¹ jest to, za co jej p³acili - bycie w mieœcie. By³ wiêc cierpliwy.

Spêdza³ swój czas na ³odzi, w ogrodzie lub w domu, zaprawiaj¹c siê prochami. Narkotyki, które lubi³, wprawia³y go w stan podwy¿szonej œwiadomoœci oraz nerwowoœci, i tylko okazjonalnie sprowadza³y nañ wizje. Bardzo wystrzega³ siê halucynacji. By³ najszczêeliwszy, kiedy prochy trzyma³y go w stanie ostrego pobudzenia i na skraju jakiejœ rozleg³ej œwiadomoœci - ale tylko na jej krawêdzi. Nie chcia³ wyczerpywaæ dostarczanych przez nie wr¹ceñ. To wydawa³o siê wiêcej warte od ka¿dej jaŸni.

Kiedy wróci³ do komputera, poczuc³, ¿e coœ jest nie w porz¹dku. Maszyna nazywa³a go Everettem, z ca³¹ pewnoœci¹ niew³aœciwym imieniem, ale nie potrafi³ pomyœleæ o tym prawdziwym. Kiedy komputer po raz drugi wypowiedzia³ to imiê, zdecydowa³ siê odpowiedzieæ.

- Tak?

- Czeka³em na ciebie, Everett. Gdzie siê podziewa³eœ? Bardzo d³ugo nie mog³em ciê znaleŸæ.

- Kim jesteœ?

- Zapomnia³eœ? Ja tak¿e nazywam siê Everett. Dawno temu da³eœ mi do rozwizania kilka problemów. Pracowa³em nad nimi i, jak s¹dzê, uzyska³em pewne odpowiedzi. Ale najpierw powinniœcie

mi powiedzieæ, co pamiêtasz.

- To jest mój dom - odpar³. - Mam na imiê Everett.

- Tak.

- Co siê sta³o?

- Nie jestem jeszcze pewien. Popracujê nad tym w przysz³oœci. S¹dzê, ¿e byæ mo¿e œnisz. Albo przekroczy³eœ dawkê i masz halucynacje. Lub jest to retrospekcja. Po prostu wspomnienie czegoe. Nic wa¿nego. Albo problem kryje siê we mnie: wy³czy³eœ mnie? Czy to jakieœ rodzaj testu, Everett? Nie wiem, co dok³adnie posz³o Ýle, ale to ju¿ tak dawno temu...

Odszed³ od komputera i wyszed³ z domu, kieruj¹c siê do samochodu. Auto by³o napêdzone energi¹ œwiat³a i sta³o na s³oñcu od bardzo dawna, ca³kowicie na³adowane. Pomyœla³, ¿e móg³by siê przejechaæ. Przycisn¹³ d³oñ do zamka, który rozpozna³ jego linie papilarne; drzwi wozu otworzy³y siê i silnik ruszy³ cicho. Wsiad³ i stwierdzi³, ¿e obok niego ktoœ siedzi. Ma³a dziewczynka, w wystrzêpionych d¿insach i podkoszulku, z piêknymi, br¹zowymi w³osami, porastaj¹cymi ca³e cia³o oraz wiêkszoœæ twarzy.

- Czeœæ - powiedzia³a. - Zamierzasz siê przejechaæ?

- Tak myœlê.

- Mogê pojechaæ z tob¹?

- S¹dzê, ¿e tak - odpar³. - Ale co na to twoi rodzice?

Dziewczynka wzruszy³a ramionami i w tym momencie Chaos obudzi³ siê. Siedzia³a obok niego, tak jak we œnie, ale nadal znajdowali siê na pustyni, w samochodzie Kellogga. S³oñce wznosi³o siê nad nimi, wype³niaj¹c pojazd œwiat³em. Chaos czu³ ogromne pragnienie. Znalaz³ na siedzeniu butelkê i napi³ siê.

- Czeœæ - powiedzia³a dziewczynka. Melinda, przypomniam sobie, Melinda Self.

- Czy dawno temu siê obudzi³aœ?

- Niezbyt. Mo¿esz jeszcze pospaæ. Nie przeszkadza mi to.

- Nie. Chcê jechaæ dalej.

- Mogê wzi¹æ wiêcej jedzenia?

Da³ jej klucze od samochodu, a ona obesz³a go i otworzy³a baga¿nik. Chaos tar³ oczy i zerka³ na autostradê za nimi. By³ teraz przekonany, ¿e ma³oamerykanie nie pod¹¿yli ich tropem. Zastanawia³ siê, co sobie pomyœleli, znajduj¹c Kellogga le¿¹cego z rozbit¹ g³ow¹ i krwawi¹cego obok zbiornika, oraz rozwa¿a³, co sam Kellogg mia³ im na ten temat do powiedzenia.

Wróci³a Melinda, ob³adowana puszkami z ¿arciem. Wywali³a je na siedzenie, a potem otworzy³a jedn¹.

- Œni³em - powiedzia³. - Ale nie sen Kellogga. Swój w³asny, mój pierwszy w³asny sen.

- Uhum.

- Całkiem odmienny - ciłgnł. - Jakbym był kimś innym. Wszystko było inne. Miałem komputer, który ze mną rozmawiał i samochód z bateriami słonecznymi...

- Ja też cenię o aucie.

- To było inne - powiedziała znowu. - Wykonane z plastiku, jak sldzê, i nie miało kluczyków, jak to. Nie wiem, ale wyglądało bardziej na wózek golfowy.

- Uhm. Także je cenię. Chociaż ono nie jeżdżyło. Była tam woda i wszędzie drzewa. Wyszedł z domu...

Chaos siedział w milczeniu, przyswajając to sobie. Sen dziewczynki pokrywał się z jego snem. Efekt Kellogga, ale bez Kellogga. Być może jednak tej małej wydawało się to normalne; nigdy nie cenił własnych snów, więc nie wynikało to z jej winy. Kiedy Kellogg został za nimi, przywarł po prostu do tego, kto był najbliższy. Przypomnił sobie grubasa mówiącego o tym, że efekt snu to nic takiego, że Chaos sam mógłby to robić, gdyby się postarał. Ale stanowiło to jedną z milionów rzeczy, jakie Kellogg powiedział, zaprzeczając sobie na każdym kroku. Grubas miał jednak rację co do jednego - że istnieje mnóstwo spraw, których Chaos nie rozumie. A co z samym snem? Co on oznacza?

- Czy to wyglądało tak, jak było przedtem? - spytała Melinda.

- Nie - odparł szybko. - To tylko sen. Zapomnij o nim.

- Okay.

Chaos uruchomił silnik, wyjechał na autostradę i ulokował się na innym pasie jezdni. Melinda wyrzuciła przez okno pustą puszkę i schowała otwieracz do schowka na rękawiczki.

- Chociaż to Źle - stwierdziła po chwili.

- Co takiego?

- Chciałabym tam być. Podobało mi się.

Mnie też, pomyślał Chaos impulsywnie, ale nie powiedział tego. A potem przypomniał sobie resztę snu, wrażenie samotności i stwierdził: ona nie zna całej historii. Wszystko, co widział, ograniczało się do samochodu, jeziora i lasu. Dla niej to był raj. Ale nie cenili o raj. Istniały rzeczywiste problemy związane z tym miejscem. Był co do tego głębokie przekonanie.

Dlaczego zatem tak wściekle pragnie tam wrócić?

Jechali przez całą przedpołudnie, zanim słońce nie stanęło w zenicie. Przed nimi pustynia przeradzała się w góry. Przejechali obok szeregu miasteczek, ignorując tablice i zjazdy z autostrady. Melinda węszyła i zezowała na odległe zabudowania, ale Chaos nawet tam nie spojrział. Nigdy nie zjechali z autostrady. Kiedy odczuwali głód, zatrzymywali się i przeszukiwali bagażnik, a gdy poziom paliwa spadł znacznie, Chaos przelał do baku paliwo z kanistra Kellogga. Odał się u podpory tablicy reklamowej, a Melinda przeszła na drugą stronę autostrady i kucnęła w piasku.

Minęli wiele porzuconych samochodów, ale żaden nie stał na jezdni. Ostatni znak ludzkiego życia pozostał za nimi w Małej Ameryce.

- Zabraknie nam paliwa - powiedzia³.
- Wyrzuci³eœ moj¹ rurkê - odpar³a.
- W bagażniku jest inna.

Podjechali do nastêpnego samochodu i opró¿nili jego zbiornik. Do zachodu s³oñca ujechali po³owê dystansu dziel¹cego ich od gór. Mg³a przed nimi mieni³a siê zieleni¹, a wiatr u podnó¿a gór okaza³ siê zimny. Chaos zatrzyma³ samochód za zamkniêt¹ na k³ódkê blaszan¹ szop¹, stoj¹c¹ tu¿ obok autostrady, i przygotowa³ niewielkie ognisko. Melinda wyjê³a puszkowany obiad i wodê z bagażnika, ale kiedy nadesz³a noc, spali ponownie w samochodzie; on na tylnym siedzeniu, a ona z przodu.

Znowu eni³ o domu nad jeziorem, ale tym razem pozostawi³ komputer samemu sobie. Nie by³ gotów na us³yszenie tego, co mia³ mu do powiedzenia, do przyjêcia jego teorii; wydawa³o siê to zbyt podobne do s³uchania Kellogga. Kiedy siê obudzi³, s³oñce sta³o wysoko, a dziewczynki nie by³o w samochodzie. Wsiad³ z auta, obiecuj¹c sobie nie wspominaæ snu.

Nie znalaz³ jej nigdzie w zasiêgu wzroku. Albo znowu posz³a na drug¹ stronê autostrady, albo powêdrowa³a pustyni¹, poza krzaczaste wzgórza na pó³nocy. Przep³uka³ usta wod¹ i wyplu³ j¹ na piasek, a potem odszed³ na bok, aby odlaæ siê na œcianê budy. Jego mocz bêbni³ o aluminium i nie us³ysza³ jej g³osu, zanim nie skoñczy³ sikaæ.

- Przestañ - zawo³a³a z wñêrza. - Przecieka. Okr¹¿y³ szopê i znalaz³ wywiniêty p³at aluminium, który pozwoli³ jej wejœæ do œrodka.

- Patrz no tylko - powiedzia³a, wysuwaj¹c g³owê z otworu. - Musisz to zobaczyæ. W³aÿ.

Poci¹gn¹³ za blachê, uwa¿aj¹c, aby nie skaleczyæ sobie d³oni, a¿ powiêkszy³ wejœcie do tego stopnia, ¿e móg³ wczos³gaæ siê do wñêrza.

- Popatrz. Samochody.

Hangar przypomina³ pozbawion¹ pod³ogi muszlê, opart¹ na zagrzebanych w piasku betonowych s³upkach, wystarczaj¹co du¿¹, aby pomieœciæ dwa auta. Kiedy jego oczy przywyk³y do mroku, dojrza³ przyczynê jej podniecenia: by³y dok³adnie takie, jak samochód z jego snu. Krótkie, przysadziste, wykonane z jakiegoœ lekkiego plastiku, z panelami baterii s³onecznych. I z indykatorami linii papilarnych zamiast zamków. Oba wygl¹da³y na nowe, a ich powierzchnie po³yskiwa³y w s³abym œwietle wñêrza hangaru.

Melinda ucemiechnê³a siê, zadowolona z siebie.

- Spójrz.

Przycisnê³a rêkê do p³ytki i drzwi otworzy³y siê, a silnik obudzi³ siê do ¿ycia.

- Zamknij go - poleci³.

Ponownie przytknê³a d³oñ do p³ytki, drzwi zosta³y wessane w karoseriê i samochód zamilk³.

- Jakim cudem dzia³a w ciemnoœci? - zapyta³a.

- Mo¿e ma jakieœ rodzaj akumulatora czy coœ w tym rodzaju - powiedzia³. - Nie wiem zreszt¹.

- Moglibyśmy nim pojechać - oświadczyła z nadzieją.

- Nie.

- Skąd się tu wzięły?

- Nie mam pojęcia - stwierdziła ze złością. - Nie chcę o tym rozmawiać. Chodźmy stąd.

Przecisnęła się z powrotem przez dziurę w aluminiowym poszyciu, a ona za nią. W milczeniu podzielili się kolejną puszką, a potem rozkopała pozostałości ogniska i cisnęła ości tak daleko w pustynię, jak tylko zdołała dorzucić. Wsiadli do samochodu Kellogga i odjechali. Powstrzymała się od oglądania za siebie na hangar.

U podnóża gór znaleźli się w poście przedpołudnia i kiedy wspinali się wyżej, zagłębiali się w mgłę. Gdy zatrzymali się przy strumieniu na lunch, chmury były cięgle półprzezroczyste: zielonej, wstęgi, które zdawały się przylegać do skał i drzew, a nawet do asfaltu, unosząc się jak duchy. Po południu stały się nieprzezroczyste i zamaskowały drogę, pokrywając zielonymi chmurkami niebo, które stawało się coraz mniej niebieskie. Zieleń gęstniała wokół nich i, sprawdzając swoje położenie na drodze dzięki przypadkowym mgnięciom pobocza lub barier, zwolniła tak, że auto niemal się czołgało. Góry były teraz niewidoczne, a warstwy zielonych splotów niemożliwe do przeniknięcia wzrokiem. Jechali wciąż naprzód, a strzępy dziennego światła nikły coraz bardziej.

- Podniecie szyb - polecił Melindzie, która od lunchu nie odeszła ani jednym słowem.

Skinęła głowę i posłuchała polecenia. Posuwała się teraz drobnymi skokami w chwilach, kiedy dryfująca mgła odsłaniała linie na drodze. Przód samochodu był ledwo widoczny i nawet powietrze między przednią szybą a ich twarzami zdawało się pociemniać.

- Prawie już nie możesz jeździć - stwierdziła Melinda.

- Nie - odparła. - Dobrze, że nie jesteśmy w jednym z tych słonecznych pojazdów, co? Przez tę mgłę nie przenikają żadne promienie światła.

- Nieważne - powiedziała. - Tak czy inaczej, ledwo jedziesz.

W końcu musiały stanąć. Kiedy odwróciła się, aby spojrzeć na Melindę, przestrzeń pomiędzy nimi uformowała się w zielony smug. Pomachała w niej dłonią, rozpraszając ją tylko częściowo.

- Wnika do środka - zauważyła.

- Samochód nie jest całkiem hermetyczny, nawet z zamkniętymi oknami.

- Może któreś z tych słonecznych aut byłoby szczelne. Rozceń się.

- Może.

Wysiadła i stanęła obok wozu. Zieloność nie miała głębi; odniósł wrażenie, jakby patrzył na kartkę papieru. Podniosła dłoń do twarzy i nie dostrzegła jej. Kiedy wiatr przywiał z gór mgła, widoczność zanikła zupełnie. Melinda obeszła samochód i wzięła jego dłoń.

- Może powinniśmy się rozjechać.

- Przejdźmy się kawą - powiedziała.

- Dobrze.

Łeciskaj¹c dziewczynkê za rêkê, zostawi³ za sob¹ auto i trafi³ na wyznaczaj¹cy krawêd^ÿ jezdni pas ¼wiru. Trzymaj¹c siê go, ruszyli drog¹ przez ocelepiaj¹c¹ zieleñ.

Kiedy siedzieli w zielonoœci poczekalni White Walnut, Moon œciska³ kurczowo d³oñ córki. Ktoœ szeleœci³ papierami na biurku, ale minê³o ju^¼ ponad pó³ godziny, odk¹d zameldowa³ siê recepcjonistce, a ona odes³a³a ich, aby usiedli. Wilgotna rêka córki œciska³a jego d³oñ; wci¹¼ czekali. Moon s³ysza³ mruczenie generatorów, zasilaj¹cych liczne instalacje olbrzymiej budowli, i wyobra^¼a³ sobie, i^¼ móg³by poczuæ zapach rzadkiego i cennego przejrzystego powietrza.

Ca³e lata minê³y, odk¹d Moon nie widzia³ nic prócz zielonoœci. Tylko laboratoria White Walnut posiada³y technologiê pozwalaj¹c¹ widzieæ, a Moon nigdy wczesniej nie spenetrowa³ tego budynku tak daleko. Jego córka w ogóle nie pamiêta³a widzenia. To stanowi³o przyczynê jego wysi³ków - sprawiaæ, aby dosta³a siê tutaj. Pragn¹³ zapisaæ j¹ do szko³y w White Walnut, gdzie utalentowane dzieci zyskiwa³y mo^¼liwoœæ nauki w œwietle. Taki by³ jego plan. Ale gdyby mia³ zawieœæ, chcia³, aby dosta³a siê do wñêtra na tydzieñ, jeden dzieñ, czy choæby na godzinê. Ęby tylko zobaczy³a, jedyny raz. Ęby wiedzia³a.

Jednak^¼e system organizacyjny White Walnut opiera³ siê jego wysi³kom. Biuro, dok¹d obywatele mogli wchodziæ z petycjami lub skargami, równie^¼, by³o zatopione w zielonoœci, nie pozwalaj¹c Moonowi i jego córce nawet zerkn¹æ na znajduj¹cy siê poza hermetycznymi drzwiami œwiat widzialny. A personel zachowywa³ siê niczym g³uchy mur, zbywaj¹c milczeniem jego pytania.

- Panie Moon - odezwa³a siê wreszcie kobieta. Wzi¹³ córkê za rêkê i podszed³ z ni¹ do biurka.

- Proszê za mn¹.

Ujê³a go za ramiê i powiod³a obok swego stanowiska, przez znajduj¹ce siê za nim drzwi. D^ÿwiêk ich kroków powiedzia³ mu. ¼e weszli do jakiegoœ wê^¼szego pomieszczenia, prawdopodobnie korytarza, i poczu³ nowy przyp³yw nadziei, i^¼ on i jego córka zostan¹ wprowadzeni w œwiat³o.

Recepcjonistka odsunê³a siê, cofaj¹c z powrotem za drzwi, przez które przeszli, Moona zaoœ chwyci³y za ramiona czyjeœ brutalne rêce, odci¹gaj¹c go od córki.

- Linda! - krzykn¹³.

- Tatusiu!

- Cisza - powiedzia³ ktoœ w pobl^¼u ucha Moona. Rêce usadowi³y go na krzesele.

- Sied^ÿ cicho.

Moon rozró^¼nia³ g³osy trzech czy czterech osób, poruszaj¹cych siê doko³a niego i córki.

- Co?

- Twoje oczy. Sied^ÿ cicho.

- Tatusiu?

- Wszystko w porz¹dku, Linda. Oni ciê nie skrzywdz¹.

Rozległ się odgłos odrywanej taśmy. Dźwięki odchyliły głowę Moona do tyłu i odgarnęły mu włosy z czoła. Wilgotny, szczypliwy materiał przetarł mu powieki. Hydrogen peroxide. Potem suchy ręcznik, a później na oczach zostało mu przyklejone coś ostrego i zimnego. Moon nie rozumiał: dlaczego w zieloności zawiązują im oczy?

Słyszał, jak Linda sapie, kiedy pchali ją w stronę odległego końca pomieszczenia, a potem dźwięki ponownie chwyciły go za ramiona i popchnęły w tym samym kierunku. Mężczyźni stali bardzo blisko niego, po obu bokach. Z daleka dobiegł odgłos otwieranej gumowej łożyski, a potem szum powietrza. Mężczyźni pchnęli go do przodu, przez łożysko, i wtedy Moon zrozumiał, że spowijająca mu oczy taśma nie jest opaską, a ciemnymi plastikowymi soczewkami, mającymi zabezpieczyć przed światłem jego zdegenerowane oczy o rozszerzonych źrenicach.

Znowu widział. Ale ledwo, ledwo. Mógł dostrzec przed sobą kształty swojej córki oraz dwóch jej eskortantów, widział na suficie jaskrawe światła. Kiedy odwrócił głowę, niemal był w stanie rozpoznać rysy twarzy towarzyszących mu mężczyzn.

Popędzili go przez korytarz, a potem do windy. Elewator zatrzymał się, a drzwi otwarły. Dwóch ludzi wyprowadziło Lindę na zewnątrz. Moon ruszył, by pomóc jej, ale dwaj pozostali przytrzymali go za ramiona i drzwi windy zamknęły się.

- Poczekajcie chwilę - powiedział. - Dokąd...

- Spokojnie. Musimy pogadać na osobności. Nic jej nie będzie.

- Co...

- Chcesz, żeby dostała się tutaj do szkoły, więc musi przejść pewne testy - ucisk na jego ramionach wzmógł się boleśnie.

Moon pomyślał, że to nie jest w porządku. Chciał być z nią, kiedy po raz pierwszy przekonała się, co to znaczy widzieć; pragnął dzielić z nią ten moment. Nie miał jednak na myśli tego ekranującego mroku. Pragnął zaskoczyć ją światłem.

Winda opadła na następny poziom i drzwi otworzyły się, a oni poprowadzili Moona kolejnym korytarzem, do nieumeblowanego gabinetu. Wysłał się, chcąc przez plastikowe soczewki ujrzeć jakiegoś szczegółu ich twarzy lub ubrania, ale nie dostrzegł nic poza rozmytymi sylwetkami. Wniesiono krzesła; posadzono go na środku pokoju, plecami do drzwi.

- Moon - powiedział jeden z mężczyzn. - Podajcie nazwisko Moon...

- Tak...

- Ale nigdy o tobie nie szeptaliśmy. Używasz jakiegos innego nazwiska?

Z wahaniem sięgnął w górę, aby zerwać przyklejone do nosa taśmy. Chciał widzieć, kto go przesłuchuje.

- Natychmiast zabierz ręce od twarzy. Dobrze; trzymaj dźwięki na udach. Powiedz nam, jak się naprawdę nazywasz.

- Moon - odpar³. M^êczyzna westchn¹³.

- Jeżeli Moon jest twoim prawdziwym nazwiskiem, chcemy poznać to, którego używa³ecie wcześniej. Nie mamy tu żadnego Moona.

- Dlaczego to robicie?

- O, nie - powiedzia³ tamten. - Dlaczego ty to robisz? Przychodzisz tutaj z nieprawdziwym nazwiskiem, z fa³szzyw¹

córk¹ i za wszelk¹ cen^ê starasz się dostać do ośrodka. Jesteś nieszczerzy, Moon. Chcemy wiedzieć, sk¹d się wzi¹³ecie. Twoje ubranie śmierdzi, wiesz o tym? Cuchnie, jakbyś mieszka³ w lesie. Dlaczego tak jest, Moon?

Moon skupi³ się, pragn^{1c} zogniskowa^æ wzrok na siedzących naprzeciwko niego facetach. Obaj się poruszali, przechylaj^{1c} głowy czy zak³adaj^{1c} nog^ê na nog^ê - lub na odwrót, zdejmuj^{1c} je - i nie był nawet pewny, który z nich do niego mówi. Desperacko pragn¹³ zerwa^æ z oczu plastikowe soczewki.

- Musia³em wy dostać się z zieloności - powiedzia³ powoli. - Zaczyna³em wariowa^æ. Nie mog³em myśleć o niczym innym. Ja... zaczą¹³em s¹dziać, że to pochodzi ode mnie, że tylko ze mn¹ jest coś nie w porz¹dku, że wszyscy inni widzi¹ - z wyjątkiem mnie i mojej córki. - e moje szaleństwo tak^{1c} i j¹ uczyni³o niewidom¹. Musia³em to sprawdzić, musia³em jej pokaza^æ...

- Okay, Moon. Wystarczy tej p³aczliwej historii. Każdy myśli, że jest tym jedynym i wszyscy chc¹ tu wejść. To dlatego mamy w drzwiach zamki. Ale co teraz? Co sprowadzi³o cię z twojej nory, byś przyszed³ skroba^æ do naszych drzwi, ze swoim lipnym nazwiskiem i t¹ biedn¹ ma³¹ na dodatek?

- Co? - Moon poczu³ się ca³kiem sko³owany.

- Ujmijmy to prościej - powiedzia³ ten drugi. - Mamy następują^{1c}ce pytania: Jak się nazywałeś? Sk¹d przyszed³ecie? I czego chcesz?

Ogarn^ê3a go nag³a niepewnośc^æ.

- Mieszkam tutaj - powiedzia³. - W zieloności. Mam prawo starać się, aby Linde przyje¹to do waszej szko³y.

- Mieszkasz tutaj? A co robisz?

- Ja...

- Tak?

Co z nim jest? Czy cierpi na amnezję? Poczu³ rozpacz i zawód. (Śmierdzi lasem, powiedzieli.

- Pracuję na farmie - wyjawi³.

By³o to tylko domniemanie, ale im więcej o tym myśla³, tym prawdziwiej to brzmia³o. Wiedzia³, że w okolicy znajdowa³y się gospodarstwa rolne i wiedzia³ wszystko o tym miejscu oraz o panujących w nim prawach. Jedynie jego w³asna przesz³ość stanowi³a bia³¹ plam^ê.

- Ja tylko wytwarzam pożywienie, które jecie - powiedzia³. - Jest równie ważne jak to, co robicie tutaj na górze. Możecie mnie znieważa^æ, jeżeli się wam podoba.

W miarę jak rosła jego wiara we wspomnienia, czuł się coraz bardziej dotknięty.

- Odnajdujemy drogę na polach, kierując się drutami ogrodzenia; powinniście kiedyś tego spróbować. Wiecie, nie jestem dumnym wieśniakiem, któremu można wykręcać ramiona; przed tym nieszczęściem byłem kimś bardzo ważnym... - zamilkł na chwilę, zmagając się z płakającym obrazem. - Mieszkałem w San Francisco. A zatem, tak naprawdę, powinienem być tutaj wraz z wami. Z całą pewnością mam prawo starać się, aby Linda...

- A zatem nie pochodzisz stąd - zauważył jeden z nich. - Nie było cię tutaj, kiedy nastąpiła katastrofa.

Moon wytężył pamięć, ale przeszłość pozostała nieuchwytna. Tutaj? Oczywiście - ale gdzie to jest „tutaj”? Wszystko, co pamiętał, wszystko, co wiedział, to zielonocień.

Moment. Przypominał sobie to popołudnie, kiedy wszystko uległo zmianie. Po omacku wrócił z pracy do domu i usiadł przy radiu, czekając na najwcześniejsze wiadomości, paląc papierosy, o których nie wiedział, że będzie ostatnie. „Biochemiczna trauma”, usłyszał z radia. „Ziemska atmosfera stała się nieprzejrzysta”. Potem, po jakimś czasie, nazwali to „kwitnieniem”. Jak gdyby samo niebo spleciało. Ale wkrótce wszyscy zaczęli nazywać to tak, jak większość robiła od samego początku - zielonocień. No cóż, w czasie trwania katastrofy eksperci mieli podzielone zdania; jak zwykle.

- Tak - powiedziało, ledwo się słysząc. - Mieszkałem tutaj.

- Tylko że nie pod nazwiskiem Moona - uparcie twierdził mężczyzna. - Tuż po katastrofie White Walnut zarejestrowało

nazwiska, adresy oraz zawody wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci w tym rejonie i nie było pośród nich żadnego programisty komputerowego nazwiskiem Moon ani żadnej dziewczynki. Przydzielony na farmę pochodził od nas, Moon. Wszystko pochodzi od nas. Kierujemy ludzkimi losami - tylko że ty nie masz żadnego.

Moon nie odpowiedział. Nie był w stanie.

- Zaczniemy z innej beczki - odezwał się drugi mężczyzna. - Co cię tu sprowadziło? Co się zmieniło?

- Co masz na myśli? Tamten westchnął.

- Czy podjęciu przez ciebie dzisiaj rano tej małej pielgrzymki tu, na wzgórze, nie towarzyszy żaden znak, żadna zapowiedź? Nie usłyszałeś w górze cichego gósu? Albo czegoś podobnego?

- Nie wiem.

- Szczególnie chodzi mi o sen. Ceniło ci się coś ostatniej nocy? Czy było to to samo, co zwykle?

Próbował sobie przypomnieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Potrafił myśleć tylko o zielonocieni.

- Czy ty w ogóle cenisz? Jakżeś twoje normalne sny?

Pytania zbijały z tropu. Popychały go wciła, gębiej i gębiej w mgły pamięci, aż zgubił się tam zupełnie. Siedział, a jego usta poruszały się w milczeniu, niezdolne przemówić.

Mężczyzna westchnął znowu i powiedział:

- Okay, uspokój się. Nie cenisz. Popatrz - Moon ujrzał, że tamten idzie w jego kierunku. - Ile palców widzisz?

- Trzy - Moon był wdzięczny za pytanie, na które potrafił odpowiedzieć.

- Czy boli cię oczy?

- Nie.

- W porządku. Zamknij je.

Mężczyzna wyciągnął rękę i zdjął plastikowe soczewki z twarzy Moona. Taśma przyczepiła się do skóry wokół oczu i wyrwała mu kilka włosków z brwi. Moon podniósł dłoń do twarzy i zerknął przez palce, a potem pozwolił opadąć ręką. Tamci dwaj patrzyli na niego, siedząc na oddalonych o kilka stóp krzesłach. Byli ubrani w niemal identyczne szare garnitury i mieli na twarzach taki sam wyraz wyczerpania i znudzenia. Wyglądali i zachowywali się jak policjanci. Poza tym pomieszczenie było puste. Wszystko pokrywał zielony mrok; mgiełka, której pragnął się pozbyć, mrugając, ale bez skutku.

- Boli cię oczy?

- Nie, chociaż nadal widzę zieloność.

- To dlatego nazywa się to półprzeźroczystym powietrzem, Moon. To nie znika zupełnie. Do diabła, jeżeli maszyny, które wypompowują to powietrze, zwalniają, w przeciwnym kierunku kilku godzin atmosfera tutaj, wewnątrz, staje się mętna.

Moon pomachał ręką przed twarzą, jakby chciał rozwiać opar. Nie przyniosło to żadnego efektu.

- Ale w takim razie... one nigdy nie naprawi powietrza. Mężczyźni wzruszyli ramionami, a jeden powiedział:

- Prawdopodobnie nie. Moon opuścił dłoń.

- Dlaczego zabraliście mi córkę? Co z tego zrobię?

- Mamy problem, Moon. Ostatniej nocy wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Coś, co ludzi znajdujących się tutaj niezwykle zasmuciło. Nikt nie wie, co to znaczy ani dlaczego zaszło. A potem zjawiało się ty, ze swoją córką i nazwiskiem, którego nie ma w rejestrach. Powiedziałbym, że to tajemnicze, nie uważasz? To niepokojące, sugerujące istnienie związku. A teraz, jeżeli zaczniesz odpowiadać na pytania, może stwierdzimy, że nie ma w tym nic szczególnego, poza zbiegiem okoliczności. To byłoby miłe. W takim wypadku okazałoby się tylko, że wszystko, co robię tutaj niewłaściwego, to po prostu pech. Wówczas powinniśmy cię przeprosić. Ale dopóki tego nie ustalimy, to, no cóż, wyglądasz na istotną część naszego nowego problemu.

Za plecami Moona rozległo się pukanie do drzwi. Jeden z tamtych powiedział:

- Wejść!

Drzwi otworzyły się i mężczyzna w szarym garniturze wtoczył do wnętrza starszą kobietę, spoczywał w fotelu na krótkach. Była ubrana w dżinsy i tenisówki oraz koszulę z koca; rękawy miała zawinięte ponad żyłaste nadgarstki. Jej duża, pomarszczona głowa spoczywała na oparciu fotela. Biały włosy miała ostrzyżone bardzo krótko. To była to kobieta, przekonała się dopiero wówczas, kiedy się odezwała.

- Ty jesteś Moon? - spytała. Skinął głową.

- Wzajemnie poznałam twoją córkę. Jak ma na imię?

- Linda.

- Tak. Linda. Szczególne dziecko, panie Moon. Jestem bardzo szczęśliwa, że przyprowadził pan małą do nas. Czy pan wie, co czyni ją tak wyjątkową?

- Co pani ma na myśli?

- W Lindzie jest coś niezwykłego i byłoby cudownie, gdyby okazała się pan tak miły i powiedział nam, co to jest.

- Janie wiem...

- Linda jest porożnięta futrem, panie Moon. Nie uważa pan, że to dosyć szczególne?

- Tak - potwierdził cicho Moon.

Nie wiedział, dlaczego nic do tej pory nie mówił jej sieroci - a raczej wosach. Wolał o tym myśleć jak o wosach.

- Dlaczego tak jest? - zapytała kobieta. - Dlaczego ona tak wygląda?

- Urodziła się taka - odparł Moon.

- Rozumiem - rzekła kobieta. - Panie Moon, czy mógłby mi pan wyjaśnić, o czym pan mówił ostatniej nocy?

- Pytaliśmy go o to - powiedział kwaśno jeden z mężczyzn. - Nie pamięta.

- Niech mi będzie wolno opowiedzieć mój sen, panie Moon. Po raz pierwszy od dawna nie dotyczy zieloności. Znajdowałam się na pustyni z małą dziewczynką, taką jak pańska córka, Pokryta sierocią. Podeszliśmy do mężczyzny siedzącego na wielkim, drewnianym krześle, niczym na domowego wyrobu tronie.

To był duży, gruby człowiek, z wypisaną na twarzy okropną poślizgiwością, który za pomocą noża wyjadał z puszek jedzenie dla psów. Nie był to ktoś, kogo bym znała, panie Moon. Nie był też znajomym żadnego z tych gentlemanów - wskazała na mężczyzn w garniturach - chociaż każdy z nich mówił o nim zeszłej nocy; zresztą jak wszyscy, z którymi dzisiaj rozmawiam. Z wyjątkiem pana. Ale pan zrobił coś więcej, niż tylko mówił o tym człowieku czy dziewczynce - pan ją tu przyprowadził.

Stara kobieta wydawała się szczerze ucieszona i Moon ucieszył się do niej, myśląc, że mogłaby wybawić go od tych groźnych, cynicznych ludzi w szarych garniturach. Ale ona nie

odpowiedzia³a mu tym samym. Pocz³ siê nagle zdruzgotany, jakby zdobycie ¿yczliwoœci tej kobiety by³o najwa¿niejszy¹ rzecz¹ na œwiecie.

- Wie pan, jak siê nazywam? - zapyta³a.

- Nie.

- A powinien pan. Czy przynajmniej mój g³os jest panu znajomy?

- Och, nie.

Zbli¿y³a siê do niego i zanim Moon zdo³a³ siê os³oniæ, uderzy³a go w twarz otwart¹ d³oni¹.

Szarpn¹³ do ty³u g³ow¹ i podniós³ ramiê, ale by³o ju¿ po wszystkim.

Gapi³a siê na niego.

- Kim jesteœ?

- Nazywam siê Moon - odpar³, chocia¿ sam zaczyna³ mieæ w¹tpliwoœci.

- Moon, kimkolwiek jesteœ, chcê, ¿ebyœ coœ zrozumia³: tutaj ja w³adam snami. Kim jest ten grubas?

- To Kellogg - powiedzia³.

Nie mia³ pojęcia, sk¹d to wie. To nazwisko po prostu tkwi³o w jego g³owie, czekaj¹c, aby je wypowiedzia³. Odnosi³ te¿ wra¿enie, ¿e Kellogg - kimkolwiek by³ - odpowiada³ za to wszystko.

- Czy to Kellogg ciê tutaj pos³a³?

- Nie, nie. Sam przyszed³em. Moja córka...

- Chcia³eœ umieœciæ j¹ w naszej szkole.

- Tak - niemal zaszlocha³.

- Gdzie jest Kellogg?

- W... w innym miejscu. Nie rozumie pani...

- Dziewczynka nie wygl¹da na ¿aden rodzaj przes³anej dla mnie wiadomoœci. Chyba wiesz o tym.

- Nie, nie.

- A Kellogg? Jest w innym miejscu. Na pustyni?

- Nie wiem - pytania wyczerpa³y go. - Nie œni³em go. Wy go œnilicie.

Kiedy wypowiedzia³ te s³owa, nagle przypomnia³ sobie w³asny sen z ostatniej nocy. Ma³y dom pod drzewami, nad jeziorem. Ale to by³o bezu¿yteczne wspomnienie, nie mia³o nic wspólnego z ich pytaniami. Wyrzuci³ je z umys³u.

- A zatem, gdybym da³a ci wiadomoœæ dla tego Kellogga, nie wiedzia³byœ, gdzie go znaleŹæ?
- zielone oczy starej kobiety rzuca³y iskry, ale jej wargi dr¿a³y.

- Nie.

- Nie chcê wiêcej o nim œniæ - powiedzia³a z³owieszczu. - Rozumiesz?

- Nie jestem odpowiedzialny za pani sny. Proszê oddaæ mi córkê i pozwoliæ nam st¹d odejœæ.

- Moje kiedyś... - stwierdziła stara, obracając swój fotel w stronę drzwi.

Niemal fizycznie odczuł uwolnienie się od niej. Głos kobiety stał się nagle roztargniony, a myśli rozproszone. Mężczyzna, który ją przywiózł, ponownie ujął uchwyt fotela.

- Ale jeszcze nie teraz.

Przynieśli mu posiłek: kanapki i wodę, raz wyprowadzili do . toalety, a potem zabrali tacę i wnieśli małe śródko, zamieniając Pokój w więzienny cel. Kiedy ostatni mężczyzna w szarym garniturze opuścił pomieszczenie, wstał i sprawdził drzwi. Okazały się zamknięte. Wrócił i położył się na śródku, wpatrując w zieloną mgłę, która wypełniała pusty pokój.

Przypomniał sobie teraz, że nazywał się Chaos. Ale wiedział także, z tym samym okazym podczas przesłuchania przekonaniem, że nazywa się Moon. Czuł w sobie wyraźny smak obu losów. Także oba zbiory wspomnień zdawały się tak samo oddalone; niewyraźne wrażenie życia przed nieszczęściem i sen o domu nad jeziorem.

Moon i Chaos mieli to wspólne; podobnie jak wyraźnie dzielili i ciało.

Chociaż kiedyś jakiegoś mężczyzna przyprowadził wreszcie do niego córkę, szybko stał się Moonem. Chaos nie miał córki. Ten człowiek nie był taki, jak pozostali: starszy, nie tak brutalnie pewny siebie, bardziej odległy i roztargniony. Włosy miał siwe, a oczy wyglądały na zmęczone, jakby przez długi czas patrzył przez zielony mrok na nieskończone rzędy drobnego druku. Trzymając palec na ustach, wleźnął do pomieszczenia, a za nim dziewczynka, która podbiegła do śródka Moona.

Linda uściskała go. Najwyraźniej zgadzała się z tym, że był Moonem. Płakała przytulona do niego, głowa dziewczynki uderzała o jego klatkę piersiową, a on gładził i rozczesywał jej włosy; jakiegoś instynkt podpowiadał mu, żeby szeptał.

- Już dobrze, już dobrze - chociaż wcale nie wiedział, czy tak w istocie było.

- Chaos - powiedział - wracajmy. To miejsce wsysa.

- Linda...

- Melinda - poprawił ją. - Chodźmy. Ten facet nas stąd wyprowadzi.

- Dziewczynka pamięta - powiedział tamten. - Nawet jeżeli ty zapomnieliście.

- Kim jesteście?

- Moje zajęcie jest bardzo ciężkie - odparł mężczyzna. - Wykonuję bardzo trudną pracę, a wy skomplikowaliście ją jeszcze bardziej. Chcę, żebyście sobie poszli. Proszę.

Siwymi włosami mężczyzna potarł nerwowo nos, a potem zaoferował im cień uciechu. Nawet pokiwał głową do Moona, jakby wyjaśnił więcej, niż należało.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytał Moon.

- Ranisz ją. Miałem pełne ręce roboty, nie potrafisz sobie tego nawet wyobrazić. Kiedy ją ranisz, ranisz wszystkich. I, oczywiście, w końcu cię zabiją.

- Co? Kogo ranie?

- Elaine - wyjaceni³ męczyzna, jego wargi skurczy³ się, odsaniaj¹c zęby. - To przykre, że nawet nie znasz jej imienia. Uważa³ce, że możesz wczłizgn¹æ się tutaj, nie wiedz¹c, jak się nazywa?

- Ta stara kobieta?

- Tak - potwierdzi³ tamten strofuj¹cym tonem. - Elaine jest star¹ kobiet¹.

Moon popatrzy³ na córkę. Łzy poplami³y jedwabiste, lisie w³osy na policzkach dziewczynki. Widzia³ twarz ma³ej po raz pierwszy od wielu lat, ale wcale nie wydawa³o mu się to dziwne. Spojrza³ ponownie na męczyznę.

- Powiedz mi, kim jeste³ce? - zapyta³. Męczyzna westchn¹³ przeci¹gle, jakby go co³ bardzo zabo-la³o.

- Psychiatr¹ - wyjaceni³. - Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy, zaharowany, ma³y cz³owieczku? Moja praca polega na strze³eniu Elaine przed takimi koszmarami jak ty.

Westchn¹³ znowu i zachichota³.

- Oto ja - powiedzia³ z udan¹ ęwo³eci¹. - I moja praca. Moon nie odezwa³ się ani s³owem.

- Melinda opowiedzia³a mi o waszej ucieczce z Ma³ej Ameryki - ci¹gn¹³ tamten. - Oraz o twoich problemach ze snami. Po prostu nie chcę cię tu mie³. Jeste³ce dla mnie bardzo niewskazany, a co jest niewskazane dla niej... - psychiatra nie dokończ³y, tylko chwyci³ się za ko³nierz i wyróci³ oczy, jakby się dusi³.

Linda - Melinda ocisn³ęa d³oń Moona.

- Okay - stwierdzi³.

Wszystko, nawet zielono³æ, wydawa³o się lepsze niż ten pokój z 3ó³kiem. Uj¹³ d³oń dziewczynki i wyszli za psychiatr¹ z pomieszczenia. Teraz Moon widzia³ korytarz, ale nie by³o tu wiele do ogl¹dania: ga³enice przeciwo³arowe i rz¹d pustych szklanych gablot. Z³apa³ w³asne odbicie w szybie i przestraszy³ go ten nie ogolony, rozczochrany typ. To by³ Chaos, jak przypuszcza³.

Lekarz poprowadzi³ ich przez kilkoro drzwi. Ostatnie okaza³y się celuz¹ powietrzn¹, która otwiera³a się z sykiem, i kiedy przez ni¹ przeszli, zielona mg³a otoczy³a ich ponownie, zanim Moon po raz ostatni mia³ okazję spojrze³æ na córkę.

Psychiatra wyprowadzi³ ich na zewn¹trz, na mi³kk¹, wilgotn¹ trawę. Zielono³æ wype³nia³o awierkanie ³wierszczy. Męczyzna chwyci³ Moona za ramię.

- Tędy.

Podprowadzi³ ich do zawieszanej na wysoko³eci pasa liny, przymocowanej do drzewa.

- Id¹c przez miasto, trzymajcie się tej ³ecie³ki. Jest tu³ przed pó³noc¹, na autostradzie znajdziecie się nad ranem.

Ubranie Moona by³o wilgotne od potu i kiedy poczu³ wiatr, zadr³ęa z zimna. Przypomnia³ sobie autostradę i samochód, który zostawili za sob¹, zanim zaczęli i³æ we mgle przez miasto; samochód z бага³nikami wy³adowanym puszkami jedzenia oraz pojemnikami z wod¹. Przypomnia³ też sobie, że

dziewczynka, któr¹ trzyma za rêkê, nie jest jego cór¹.

- ChodŸ, Chaos - powiedzia³a Melinda cicho.

Opar³ jej d³oñ na linie, a sam skrêci³ na trawê, id¹c za odg³osem kroków lekarza. Podbieg³ i dogoni³ go przy samych drzwiach, chwytaj¹c za ko³nierz.

- W jaki sposób ranie Elaine?

- Przez samo swoje istnienie, wstrêtna kreaturo. Puœæ mnie. Chaos mocniej chwyci³ ko³nierz psychiatry.

- Wyjaœnij. Lekarz jêkn¹³.

- Nie znasz siê na snach?

- Nie.

- Od katastrofy - zakaszla³ sucho, a potem ci¹gn¹³ dalej - œniloemy wy³¹cznie o zielonoœci. Nawet my tutaj, na wzgórzu. Bez wzglêdu na to, czy pracowalioemy w laboratorium czy nie. G³ównie œniloemy o zielonoœci, jej g³os mówi³ do nas... jest zawsze tutaj. Rozumiesz? Kiedy œniloemy o twojej córce oraz o tym wstrêtnym grubasie na pustyni, by³ to pierwszy prawdziwy sen, jaki mieliemo od lat. Dla tych, co s¹ na zewn¹trz, by³o to w ogóle cokolwiek, co zobaczyli od czasu nieszczêœcia.

- Dlaczego?

- To jest w³acenie problem Elaine. UwaŸa, Ÿe gdyby widzie-li w swoich snach, to nie chcieliby wiêcej pozostawaæ w zielo-noœci.

- Ona myœli, Ÿe fabularne sny to moja wina?

- Bo to jest twoja wina.

- To Kellogg ma sny. Pod¹Ÿa za mn¹.

Psychiatra zachichota³.

- Jak chcesz. JeŸeli przyprowadzi³œce tego Kellogga ze sob¹, to go zabierz, kiedy odejdziesz.

Chaos nie znalaz³ na to odpowiedzi. Puœci³ jego ko³nierz i starszy mêtczyzna odchrz¹kn¹³.

- To nie ma sensu - stwierdzi³ Chaos. - Zielonoœæ nie stanowi problemu. Wystarczy odejœæ st¹d kilka mil...

- Zielonoœæ jest wszêdzie - odpar³ lekarz. - To ty jesteœ kimœ bez sensu.

- Czego w takim razie boi siê Elaine? JeŸeli jestem bez sensu, dlaczego stanowiê takie zagroŸenie?

- Elaine nie jest przeraŸona - wyjaœni³ psychiatra - tylko siê rozgniewa³a. To ja jestem przeraŸony. Bez wzglêdu na to, co o sobie myœlisz, stanowisz b³¹d, straszliw¹ pomy³kê, i musisz odejœæ. Wróciæ do tego okropnego miejsca, z którego przyszed³œce - do miejsca ze snu.

- Pójdê - zgodzi³ siê Chaos. - Ale tam nie wrócê.

- NiewaŸne. Znikniesz tak szybko, jak szybko zapomnimy o tobie.

Chaos zaczą³a niecierpliwie ta rozmowa.

- Nie musisz być w ten sposób, chodź po omacku w zielonej mgle, wiesz o tym.

- Muszę - odparł lekarz. - Pracuję w White Walnut. Ale nawet gdybym tu nie pracował, wolałbym być w zieloności, niż jak ośmiornice, wóciekże zwierzę.

Chaos zawrócił i znalazł drzewo, przy którym z dżoni na linie stała czekająca na niego Melinda.

- Chciałem tylko powiedzieć, że to nie jest konieczne. Powinieneś powiedzieć to Elaine.

- Przykro mi, mój niemiły mój przyjacielu - powiedział lekarz, szczękając kluczem w zamku - ale Elaine nie słucha głosów ze snu. To ona je tworzy.

Eluza syknęła.

- Dobranoc.

Szli całą noc. Najpierw prowadzeni przez liny w głąb miasta, a potem w stronę autostrady. Nie spotkali żadnych ludzi, tylko jakiegoś zabity pies zwałszy ich zapach, kiedy schodzili ze wzgórza, i towarzyszył im w drodze przez miasto, drepcząc za nimi do szosy. Liny prowadzące skończyły się przy opuszczonej stacji benzynowej. Wymacali przejście obok budynków i przez podjazd. Na autostradzie, gdzie zabrakło już osłony drzew, awierkanie oświetlało uciechło, a powietrze stało się chłodniejsze. Przeszli przez trawiasty pas rozdzielający jezdnie i ruszyli pod wiatr.

Wyszli z zieloności tuż przed oświetleniem. Nieprzezroczysta mgła zyskała nagle na przejrzystości; podnieśli w górę dżonie i zakręcili w oparze palcami. Po chwili odwrócili się, spojrzeli na siebie i ucieszyli się. Potem ukazały się gwiazdy. Wkrótce ciemne góry za nimi zaczęły płonąć. Odwrócili się i obserwowali, jak słońce przenika mgłę, którą zostawili za sobą. Odeszli nieco dalej, a później zatrzymali się, siedli na trawie i patrzyli - zachwyceni i wdzięczni. Znowu stała się Chaos - od lat nie widział wschodu słońca.

Potem wstał, chcąc iść dalej, ale dziewczynka usnęła w trawie. Wziął ją na ręce i zaniósł na suche miejsce pod dającymi cień krzakami. Usiadł na trawie kilka stóp dalej, w miejscu, skąd mógł mieć na nią oko i jednocześnie obserwować autostradę.

Rozmyślał o Elaine i White Walnut, zastanawiał się, czy ich zniknięcie z ośrodka zaowocuje jakimś poszukiwaniami. Podejrzał, że Elaine przyjmie radę swojego lekarza i zapomni o nich, uważając całą rzecz za psychiczną aberrację. Zastanowił się nad snami Kellogga, nad tym, jak grubas zdawał się służyć im za rodzaj anteny; przypomniał sobie, jak wszedł do tego miasta i stał się Moonem - ale do niczego go to nie doprowadziło, więc odszedł.

Na razie miał jednak inne powody do zmartwień: żywność i woda. Tutaj, w górach, powinny znajdować się strumienie, ale do tej pory nie zauważył ani jednego. Nie było tak źle widać przy drodze żadnych zwierząt. By zdobyć coś do jedzenia, musieli prawdopodobnie udać się do innego miasteczka, gdziekolwiek by się ono znajdowało. Zaczęli uważać, że miasta oznaczają tylko złe wiadomości.

Gapił się przez jakieś czas na pustą autostradę, a potem, czując, że powinien coś zrobić, poszedł w poszukiwaniu wody w przeciwnym kierunku, przez wysoką po pas trawę. Nic nie znalazł.

Pomyślał o swoim pokoju w Multiplexie i przeklął się za opuszczenie tego miejsca. Pragnął być znowu tam, a nie tutaj, zagubiony w górach; chciał wrócić do swoich papierosów i alkoholu. Zrezygnował i zawrócił. Usnął obok dziewczynki i usnął.

Hippis w północnej arówce - Chaos pomyślał tak o nim w chwili, kiedy go ujrzał: walenie hippis w północnej arówce. Niczym poczętek dowcipu - obudził ich jakiegoś czasu później, pod wieczór. Przespali cały dzień, ale Chaos mógł być pewien, że bez snów. Tamten zatrzymał pickupa kilka stóp za nimi, a potem wrócił do miejsca, gdzie leżeli na trawie.

- Hej! Hejku! Co tutaj robicie?

Miał opadające włosy, długie włosy, rosłce wokół różowej tego trzeciego placka, i nosił spowite miejscami dżinsy oraz luźną, kwiecistą koszulę. Hippis, stwierdził Chaos; i ten fakt, iż wiedział, co to jest hippis, stanowił najbardziej znaczący dowód przeciwko teorii Kellogga, głoszycy, że nie zdarzyło się żadne nieszczeście, żadna zmiana. W Małej Ameryce czy w Hat-fork nie było hippisów. Przynajmniej tamte miejsca co do uwolnienia od hippisów. Chaos pomachał mu ręką; Melinda nadal spała.

- Hej! Gdzie jest wasze auto? Znalazł się tutaj, to jak być nigdzie, wiesz? Co, tak po prostu wyszliście z Emerald City? Człowieku, z tobą jest owłosiony dzieciak!

Melinda obudziła dźwięk jego głosu. Mężczyzna, powrócił nogami, podszedł do nich, wyjął chustkę i otarł czoło.

- Gorąco, człowieku. Hej, to dziewczynka. Jeszcze przed wiekiem rēbnym.

- Emerald City? - spytał Chaos. - Masz na myśli to miasto, tam, za nami?

- Taaa, Green Meanies, Kraina Ciepłców. Co się stało, nie mogliście wytrzymać programu Elaine? Nie robię wam z tego zarzutu.

- Mieszkałec tam?

- Nie. Miałem problem z lokalnym szefem - wszystkie te sny nie działają na mnie. Jestem uodporniony, mam wbudowany pieprzony detektor. Mieszkałem w Kalifornii - wskazał kciukiem przez ramię, w stronę gór - ale ruszyłem tą drogą po wielkim krachu. Potrzebowałem przestrzeni dla okci.

A potem pokazał im, co ma na myśli - wykonany na kolanach krótki taniec-amaniec, z wymachiwaniem ramionami.

- Na granicy wpadłem na chłopców Elaine, zobaczyłem, jak dzięki psom wywłuchują drogę w ciemności, przekopując się przez zieloność. Nie odpowiada mi taki scenariusz. A zatem wróciłem do Strip. Nie ma tutaj nikogo, poza mną i Macdonaldczykami. Maksimum przestrzeni na głowę mieszkańca.

- Potrafisz widzieć w zieloności?

- Mówię ci, jestem uodporniony. Chodziłem tam po prostu po to, żeby się pocemiać, kręcić jedzenie i grać im na nosie, ale parę razy omal mnie nie zapałali. Teraz zostawiłem ich w spokoju. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Czy masz w samochodzie wodę?

- Jasne. Zaczekaj.

Odwrócił się i wbiegł na nasyp. Chaos spojrzął na Melindę, która uśmiechnęła się blado. Zanim cokolwiek powiedziała, mężczyzna był z powrotem z wojskowymi manierami. Melinda i Chaos napili się, a tamten gadał.

- ...wszystko, czego potrzebuję, znajduję w Strip. Ale powinienem kiedyś iść tam po strzelbę, sklepy w Strip są ich pełne, wiesz, po jednej pod każdym konturem, a potem ustrzelam Elaine, błąd! I zobaczysz, co się później stanie. Prawdopodobnie powstałoby inne główne miejsce, wiesz? Dlatego, że ci faceci już się urodzili dupkami.

- Co się stało w Kalifornii?

- Och, wiesz, to samo, co wszędzie, tylko bardziej niesamowicie, bo to jest Kalifornia. Pochodzisz stamtąd?

- Nie wiem.

- Taaa, rozumiem. Wielu jest takich wokół. No cóż, mówisz podobnie jak ja. Nie brzmi to tak, jakbyś pochodził z tych okolic.

- Kiedy twierdzisz, że to, co stało w Kalifornii, jest takie samo jak wszędzie - Chaos czuł się nieco zakłopotany, zadał to pytanie - to co masz na myśli? Co się właściwie stało?

Hippis wzruszył ramionami.

- No, wiesz, ujawniła się dziwaczność, to wszystko. To nie jest tak, że tego nigdy tu nie było. Rzeczywistość została rozdrobiona, stała się lokalna. I pojawiła się kwestia snów. Tamten miejscowy wszedł każdemu do głowy, więc, jak się zdaje, wszyscy przekonali się w końcu, jak bardzo jest neurotyczny. Chociaż dla mnie to żadna niespodzianka. Chaos zastanowił się, czy cokolwiek się dowiedziało.

- Jak dawno temu to się stało, twoim zdaniem? Facet zerknął na niebo.

- To dobre pytanie. Byłem kilka tygodni na Wybrzeżu, zanim stamtąd wyjechałem. Nie wiem - siedem albo osiem miesięcy, może rok.

- Rok? - wyrwał się Chaosowi. - To niemożliwe. Mieszkałem...

- Hej, nic nie jest niemożliwe - hippis wydawał się ubawiony. - I powiem ci, gdzie mogłoby mieszkać: w cieniu. Prawdopodobnie nadal w nim jesteś lub wkrótce będziesz. Więc wyluzuj się. Chcesz zobaczyć Strip?

Chaos odwrócił się do Melindy, która wzruszyła ramionami.

- No pewnie - odparł. - Mówię, że jesteś tu z kimś jeszcze?

- Z Macdonaldczykami - powiedziała hippis, wymawiając to miano dokładnie. - Chociaż tylko ja ich tak nazywam. Są zupełnie zwariowani. Chcesz się z nimi spotkać?

- Nie wiem.

- G³odny?

- Tak - przyzna³ Chaos; to by³o ³atwe pytanie, pierwsze od bardzo dawna.

- No to jedŸmy.

Poszli za nim do pó³ciê¿arówki. Z bliska dostrzeg³, ¿e by³ to model przypominaj¹cy ma³e samochody z hangaru na pustyni oraz samochód z jego snu - wykonany z lekkiego plastiku i pokryty ogniwami s³onecznymi.

- Twój pick-up - zauwa¿y³. - To jakie³ nowy rodzaj samochodu.

- Moje auto jest moim przyjacielem, facet. Wszêdzie jeŸdzimy razem. Opuœæcie okna...

- Nie mieli³emy takich modeli tam, sk¹d pochodzê - stwierdzi³ Chaos, niezbyt pewien, czy to prawda.

Prawda, jeœli mia³ na myœli Hatfork - a nie, je¿eli wliczyæ odleg³e wspomnienia, zmieszane przez sny.

- No có¿, w takim razie nie jesteœe st¹d - powiedzia³ hippis.

- Ani z Kalifornii.

Zdawa³ siê niezwykle ucieszony t¹ konkluzj¹, jakby rozwi¹za³ jakie³ wa¿ny problem.

Wspi¹³ siê na miejsce kierowcy i otworzy³ drzwi kabiny od strony pasażera.

- Daj j¹ tutaj, cz³owieku, pomiêdzy nas. - Nie potrafi³ chyba zwróciæ siê bezpoœrednio do Melindy.

Ujechali piêæ czy szeœæ mil wzd³u¿ pustej autostrady, zanim dotarli do pierwszych oznak istnienia miasta. Hippis gada³ przez ca³¹ drogê.

Strip zaczê³o siê obskurnymi placami mieszkalnych przyczep i rozci¹gniêtymi betonowymi blokami opuszczonych moteli. Potem pojawi³y siê stacje benzynowe, sklepy z pami¹tkami, bary szybkiej obs³ugi, salony samochodowe i bary topless, wszystkie puste i ciche. Strip, odpychaj¹ce sw¹ monotoni¹, ci¹gnê³o siê milami. Hippis gestykulowa³, machaj¹c szeroko rêkami.

- Wszystko, cz³owieku, wszystko. Tutaj jest wszystko.

- Czemu ca³y czas oœwietlone? Tamten postuka³ w deskê rozdzielcz¹.

- Baterie s³oneczne, facet. Dzia³aj¹ samoczynnie. Prawdopodobnie bêd¹ dzia³aæ tak d³ugo, a¿ ktoœ ich nie wy³czy. Doszæ to dziwne, kiedy pomyœleæ, ¿e s³oñce napêdza wszystkie te bezu¿yteczne neony, œwiec¹ce swoim patetycznym, s³abym blaskiem w œrodku jasnego dnia, i nikt oprócz mnie ich nie widzi. Ach, s³onecznik, zmêczony czasem. Myœla³em, by obejœæ to wszystko i powy³czaæ, ale gówny to kogo obchodzi. Na pewno nie s³oñce, cz³owieku, tego jestem pewien.

Zajechali na parking przed budynkiem skonstruowanym z pomarañczowego i ¿ó³tego plastiku. McDonald, przypomina³ sobie Chaos. W Hatfork nie by³o go, ale w Ma³ej Ameryce tak - oczywiœcie opuszczony i ogo³ocony z dekoracji. Ten zaœ by³ radoœnie oœwietlony. Baterie s³oneczne.

Hippis zaparkowa³ i wypuœci³ ich, oœwiadczej¹c:

- Pokochacie tych facetów. S¹ odjazdowi.

Budynek by³ jasno oświetlony, ale milcz¹cy, najwyraźniej pusty. Przez moment Chaos zastanawia³ się, czy hippis jednak nie zwariowa³ i czy Macdonaldzycy nie stanowili jedynie jego wyimaginowanego towarzystwa.

- Klienci! - wrzasn¹³ tamten.

Poprowadzi³ ich do kontuaru przez labirynt plastikowych mebli. Pojedynczo, skradaj¹c się bezg³ośnie od kuchennego zaplecza, zaczęli pojawiać się Macdonaldzycy. Trzy chude jak szczapy bia³e duchy, jeszcze nastolatki, a może mieli tuż po dwudziestce, w poplamionych tłuszczem uniformach w firmowych kolorach. Dwóch stan³o w pobliżu frytkownicy, a jeden podszed³ bliżej, aby obsadzić stanowisko przy kasie.

- Cześć, Boyd - powiedzia³, uśmiechaj¹c się smutnie. Chaos widzia³, że jego policzki pokrywa³ m³odzieńczy tr¹dzik.

- Się ma, Johanson - odpar³ hippis Boyd. - Twoi kumple nie wygl¹daj¹ najlepiej. Powinnicie coś jeść.

- Daj spokój, Boyd. Mów ciszej. Wiesz, że nie zamierzamy z tego korzystać. To wbrew zasadom.

- Hej, cz³owieku! Czas z³amać te regu³y, gdybyś mnie o to pyta³.

Johanson wzruszy³ ramionami.

- Czego chcesz?

- Daj mi chwilę, facet. Muszę to sobie pouk³adać w g³owie. Przyprowadzi³em wam gości do knajpy, cz³owieku. Johanson, to jest Chaos. Chaos, Johanson - wskaza³ gestem na tych dwóch z ty³u. - Stoney, Junior - to jest Chaos.

Stoney i Junior skinęli g³owami, a potem wbili wzrok w pod³ogę. Nikt nie patrzy³ na Melindę. Boyd wskaza³ na podświetlane menu na kontuarze i powiedzia³:

- Wybierzcie coś. Macie forsę?

- No, nie. Tam, gdzie by³em, przestaliemy jej u¹żywać.

- Nie ma sprawy, facet. Na mój rachunek - zni¹y³ g³os, przysuwaj¹c usta do ucha Chaosa. - Tego jest wszędzie pe³no, wiesz, ca³e stopy forsy. Usi³uję powiedzieć tym facetom, żeby wzięli sobie trochę, a potem bę¹d¹ mogli zap³acić za to, co zjedz¹. Ale oni nie mog¹ opuścić lokalu. To także jest wbrew zasadom. Chaos studiowa³ jad³ospis.

- Myślę, że wezmę po prostu hamburgera...

- Hej, cz³owieku, we³ kilka hamburgerów, one s¹ ma³e. I frytki. To jest USA.

Chaos nie zapyta³, co oznacza ten skrót.

- Hamburgery, okay? - zapyta³ Melindę. Skin³a g³ow¹, jej oczy biegały nerwowo.

- Okay, daj mi cztery hamburgery i dwie porcje frytek - powiedzia³ do Johansona.

Johanson pochylił się i powtórzył zamówienie do mikrofonu, a potem wystukał je na klawiszami, które miały obrazki zamówionych potraw. Za jego plecami Junior wyjął z lodówki pudełko zamrożonych frytek, podczas gdy Stoney wstąpił na patelnię.

- A ty? - Johanson zapytał Boyda. - Zdecydowałeś się już?

- Pewnie, człowieku. Wezmę Whoppera.

- Daj spokój, Boyd. Już to przerabialiśmy. Tu jest Burger King. Wiesz, że nie mogę przygotować Whoppera...

- W porządku, w porządku, żartowałem tylko. Big Mac, bez dodatków.

- Big Mac - powiedział Johanson do mikrofonu. Podał Boydowi kwotę rachunku i hipis zapłacił.

- Siłdymy - powiedział Boyd. - Ponowne uruchomienie tego interesu zajmie im jakieś czas.

Ku uldze Chaosu, który nie miał ochoty patrzeć na Macdonaldczyków, kiedy będzie jadł, poprowadził ich do stolika na drugim końcu sali. Boyd odchylił się na krześle i wyszczerzył zęby.

- No i co, nie mówiszem?

- Sił jedynymi, którzy pozostali w całym Strip? - zapytał Chaos.

- Oprócz mnie i szopów.

- Nie rozumiem. Dlaczego...

- Ci goście pochodzą z gór, facet. Prawdopodobnie wypadli prosto z przedszkola. Przypuszczalnie nigdy nie oglądali telewizji. Mówimy o Appalachii, człowieku, Tobacco Road. Przyszli do Strip, dostali robotę za trzy pięćdziesiąt na godzinę i to jest wszystko, co wiedział. Regulamin firmy stanowi ich Biblię. Kiedy więc wszyscy uciekli ze Strip, po prostu zostali, bo nie wiedział, co ze sobą zrobić.

- Co oni myśleli...

- Oni w ogóle nie myśleli, człowieku. To jest sedno sprawy. Ronald MacDonald jest dla nich tym, czym Elaine dla tych facetów w zieloności. Istnieje, aby obsługiwać. Nazywam ich Macdonaldczykami, ponieważ jest to kraina, w której teraz żyją i mieszkają - w Macdonaldii. To tylko kolejny mały zakątek tajemniczości.

- Skąd biorą jedzenie?

- Żartujesz? Mają go pewne zamrażarki. Nikt, poza nimi samymi, nie ma prawa go tknąć, a ja jestem ich jedynym klientem. Ledwo mogę jeść to gówno dwa, trzy razy w tygodniu. Spożywam głównie puszkowaną żywność z supermarketów, co mi przypomina, że dobrze by było, gdybym nie zapomniawszy następnym razem przywieźć tutaj trochę puszek, jarzynowych konserw z witaminą C, ponieważ ci faceci źle wyglądają.

- Cztery hamburgery, dwie porcje frytek i Big Mac - powiedział Johanson do mikrofonu.

Podeszli po swoje jedzenie. Stoney i Junior byli jeszcze zajęci chwytaniem hamburgerów, kiedy

spadały z taśmy, budując z nich Big Maca i pakując wszystko do styropianowych foremek. Chaos spojrzął na Boyda, który podniósł rękę i ucieszył się.

- Powiedz im o wypieku - zwrócił się do Johansona. Tamten wzruszył ramionami.

- My, no, nie możemy robić tylko czterech hamburgerów, kiedy zaczynamy wypiek. Więc resztę pakujemy do pudełek i na dziesięć minut wkładamy pod grzejną lampę - wskazał na jaskrawopomarańczowe kosze, w których zmagazynowane zostały hamburgery. - Jeżeli nie sprzedamy ich w ciągu dziesięciu minut, wyrzucamy je, ze względu na, no, gwarancję świeżości. Wytarł dłonie o ciemniejszy od tuszki fartuch i wyszczerzył się. Boyd uniósł brwi. Wzięli swoje tacki z powrotem do stolika. Chaos i Melinda zadowoleni uwinęli się z dwoma hamburgerami.

- Mówię ci, że się ma - powiedział Boyd. - Chcecie jeszcze?

Wyjął pieniądze i rzucił je na stolik.

- Nie krępujcie się, tylko pospieszcie i, na litość boską, zapłaćcie je przed końcem wygrzewania.

Chaos powędrował do kontuaru i przyniósł kolejne dwa hamburgery, wyjęte spod lamp. Macdonaldzycy wyglądali na uradowanych.

Po posiłku wyszli z powrotem na parking. Boyd zauważył, że Chaos przygląda się innym napędzanym energią samochodom i powiedział:

- Hej! Chcesz auto? Tylko żadne z tych, facet. Znajdziemy ci nowe. Wsiadajcie.

Zawiózł ich do salonu samochodowego, położonego jakiegoś pół mili dalej. Anty-włamaniowe szyby witryny zostały wyrwane z framug i leżały na podłodze niczym zamrożone fale. W budynku znajdowały się cztery samochody - około dziesięciu innych stało na parkingu z tyłu salonu.

- Chcesz porządkówkę, tak jak moja? - spytał Boyd. - Czy jeden z tych małych, podobnych do pestki grapefruita?

Chaos wskazał na najmniejszy wóz na parkingu, który najbardziej przypominał samochód z jego snu. Spojrzął na Melindę, a ona przytaknęła.

- Nie najgorszy - stwierdził Boyd.

Przeszli po szkło, podczas gdy hippis przetrząsał zaplecze biurowe. Wydobył aparat wielkoceci księżki, wykonany z kolorowego plastiku i ozdobiony znakiem firmowym dealera. Na parkingu wyczytał urządzenie i polecił Chaosowi przycisnąć do niego dłoń, co spowodowało, że aparat na krótko błąsnął. Potem przyłożył go do zamka samochodu po stronie kierowcy.

- No, spróbuj - powiedział Boyd. Chaos oparł dłoń na drzwiach; szczęknęły, otwierając się, a silnik obudził się do życia.

- Masz zamiar odjechać? - spytał hippis.

- Pomyślałem, że mógłbym zobaczyć Kalifornię - odparł Chaos.

- No to spoko, spoko - stwierdził tamten, jakby nie było cicho i spokojnie. - Dam ci coś.

Poszedł do swojej porządkówki i wrócił z naręczem map.

- Droga numer 80. To druga, niebezpieczna trasa. Powodzenia. Przyjmij moją radę - przeskocz Salt Lake City. Tak naprawdę, to przeskocz i Utah. Trzymaj się drogi.

Chaos wzięł mapy.

- Dzięki.

- Jeżeli już o to chodzi, to w Nevadzie są jakieś wojskowe ruchawki. Ta mapa nie oddaje rzeczywistości, facet. Wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć, to to, że mapa ma się nijak do przedstawianego terytorium. Już nie - zerknij na słońce. - Co zamierzasz robić w Kalifornii?

- Nie wiem - odparł Chaos.

- No cóż, nie będziesz sam. Ten stan jest przewrócony do góry nogami. To epidemia. Jesteś pewien, że chcesz wyjechać? Mnóstwo miejsca jest i tutaj, jeżeli tego wycenienie szukasz. Samo Strip wystarczy.

- Dzięki - powiedział Chaos. - Ale chciałbym zobaczyć, co się dzieje gdzie indziej.

- No to spoko, no to spoko - rzekł Boyd nerwowo. - Chce tylko powiedzieć, że wszystko tu mamy, więc po co się tak spieszyć? - spojrzał podniecony na Melindę. - Jedyń rzeczą, której tutaj naprawdę brakuje, są dziewczyny. Czemu nie miałbycie zostać przynajmniej kilka dni?

- To niemożliwe - stwierdził Chaos.

Odsunął otwarte drzwi i Melinda czmychnęła do ośrodka, zajmując miejsce pasażera. - Pojedziemy.

- No to spoko - oświadczył Boyd, odwracając się. - Trzymaj się, człowieku.

Załadowali tylne siedzenie puszkami jedzenia i butelkowaną wodą ze zdemolowanego sklepu spożywczego, a potem ruszyli przez góry. Pierwszej nocy zjechali na pobocze i spali w samochodzie, ale Chaos obudził się po kilku godzinach. Księżyc stał nadal wysoko, a Melinda spała obok niego; nie budził jej, uruchomił silnik i wrócił na drogę. Przez wszystkie te lata, gdy oszukiwał Kellogga, nauczył się unikać snu i czasami potrafił nie spać, jeżeli tego chciał. Trzymał się rady Boyda i nie zjeżdżał z autostrady aż do Utah i przed zapadnięciem kolejnej nocy przekroczyli granicę stanu z Nevadą. Sypiali krótko - po pięć, sześć godzin na dobę, a potem ruszał dalej.

Rozmawiali niewiele. Melinda wydawała się zadowolona, patrzyła przez okno, podobnie on czuł się całkiem ukontentowany widokiem asfaltu znikającego pod maską samochodu. Przepędził ich oczekiwanie, jak gdyby cel został wyznaczony i nie było nic więcej do zrobienia, poza dotarciem do niego. Nie zapytał dziewczynki, czy wie coś o Kalifornii ani czy w ogóle kiedykolwiek słyszała tę nazwę. Przerwywał popołudniową ciszę, zadał tylko jedno pytanie, czy tęskni za rodzicami, a ona odparła, że nie; potem, pół godziny później, pokłócili się o drobiazgi i obrazili, a Chaos zrozumiał, że Melinda chce być traktowana jak dorosła. Więc zamknął się w sobie, rozkoszując się przestrzenią i ciszą, dwoma przysmakami, którym hodził w Hatfork. Nadal nie wiedział, ile miał lat, ale przypuszczał, że trzynastce.

Podczas obu nocy ceni³ o domu nad jeziorem. W pierwszym cenie rozmawia³ z komputerem, który upiera³ się przy nazywaniu go Everettem oraz rozważa³, co Chaos pamięta³, a czego nie. Maszyna powiedzia³ mu, że kobieta, za któr¹ tęskni³, ma na imię Gwen.

Następnej nocy spotka³ się z ni¹. Byli razem w pogr¹żaj¹cym się w mroku pokoju, czu³ obecność Gwen, dotyka³ jej r¹k i twarzy. Rozmawiali bardzo intymnie, chociaż, kiedy się obudzi³, nie mógł³ sobie przypomnieć nic z tego, co zosta³o powiedziane.

Sny zdawały się tak zaprojektowane przez komputer, albo przez jak¹oś cz¹ośce opi¹cego „ja” Chaosu, aby zainspirować go do dociekań dotyczących jego wczesniejszego życia. Zdo³ł tego dokonać, choć dociekania te wprowi³ły go w zmieszanie. Podejrzewa³, że ich cz¹ośce jest po prostu majakami, a nie rzeczywistymi wspomnieniami. Tak czy inaczej, nauczył³ się teraz nie ufać ani jednemu, ani drugiemu. I jedno, i drugie były nieautentyczne. Ale wierzył³ w istnienie Gwen. Chwile, spędzone w jej towarzystwie, pozostawiły go rozwibrowanego, z wrażeniem istnienia czegoś dawno pogrzebanego, ale poruszają¹cego się w mroku i wznoszą¹cego ku powierzchni.

Jeżeli te nowe sny wywarły jakieś wrażenie na Melindzie, zachowa³ to dla siebie.

Nevada okazała się odmienna, same kasyna i reklamy. Niektóre z tablic zosta³ły tajemniczo zmienione, s³owa zamazano na bia³o lub pokryto malunkami, a inne były po prostu zniszczone. Niektóre miasta wyglądały na wymarłe, przynajmniej gdy patrzy³o się z autostrady, a w innych widać było ślady ludzkiej aktywności. Chaos pozostawił je wszystkie za sobą, nawet nie zwalniając. Wkrótce ponownie znalazł³ się na pustyni.

Późnym popołudniem trzeciego dnia, pięćdziesiąt mil za Reno, usłyszeli podniebny ryk, a chwilę później pojawiły się dwie latające maszyny. Nie miały oznaczeń; pozbawione skrzydeł wyglądały jak helikoptery bez śmigła. Ich hałas zgruchotał ciszę dnia. Chaos zatrzymał samochód. Samoloty nadleciały nad drogę, wznosząc się później w kierunku odległych gór, a potem jeden zawrócił, podczas gdy drugi znikł¹³.

Pilot wskazywał na ich samochód. Chaos krzyknął¹³ i pomachał mu dłoń¹ przez otwarte okno. Maszyna zakręciła i wykonała jeszcze jeden przelot, a człowiek na siedzeniu pasażera wycelował w ich auto przez boczne okienko jakiegoś urządzenia. Latający pojazd zawisł dokładnie nad samochodem, podczas gdy tamten facet obsługiwał swój przyrząd, przyciskając guziki i patrząc z przejęciem na otrzymywane wyniki. Chaos wysiadł i zaczął do niego wołać, ale przekrzykiwanie ryku samolotu było całkowicie pozbawione sensu.

Mężczyzna na siedzeniu pasażera odłożył swoje urządzenie, a wyjął¹³ krótki, gruby karabin i wymierzył go w samochód.

- Nie! - wrzasnął¹³ Chaos.

Melinda, która obserwowała całe zdarzenie ze swego miejsca w aucie, wyskoczyła teraz i pobiegła przez drogę, a tamten w samolocie wypalił ze swej broni. Coś wystrzeliło z lufy karabinu i z

głuchym uderzeniem wyładowało na dachu ich wozu, po czym rozlało się w grubą, kleistą plamę fosforyzującej różowo-occi. Zostali naznaczeni. Latająca maszyna wzniosła się w niebo i pognała w stronę gór.

Gdy jej ryk zamarł w oddali, Chaos podszedł do samochodu i przyjrzał się różowej substancji. Pokryła większą część dwóch baterii słonecznych i zaczynała już tworzyć niemożliwą do usunięcia twardą skorupę, przypominającą wypolerowaną emalię. Kiedy uruchomił silnik, działa tak dobrze jak poprzednio.

Melinda wsiadła z powrotem do auta, nie mówiła ani słowa. Po sierści na skroniach spływały jej dwa strumyczki potu. Chaos zastanawia się, czy kiedykolwiek wcześniej widziała maszynę latającą w powietrzu. Prawdopodobnie nie. Kellogg nadawał czasami sny o samolotach, ale majaki grubasa pełne były różnych nieprawdopodobnych rzeczy. Co innego zobaczyła to naprawdę.

Długi czas spędzili w milczeniu, a potem powiedziała:

- Co za kutasy.
- Pełno ich tutaj - odparł.
- Czy tak wygląda Kalifornia? - zapytała.
- Nie wiem - stwierdził.

Byli prawie na miejscu.

Wypadek odebrał mu odwagę, sprawiając, że czuł się odsłonięty. W nocy, kiedy stanęli, znamię na samochodzie jarzyło się w świetle księżyca niczym latarnia morska. Chaos obszedł okolicę, zbierając chrust i gałęzie drzew, aby je zakryć, ale różowość nadal przez nie prześwietlała.

Auto nawaliło następnego dnia, obok małego miasteczka zwanego Vacaville. Chaos czuł, że po przeszedł godzinie jazdy w pełnym słońcu maszyna posuwa się z trudem, ale stara się to zignorować; wkrótce jednak silnik samochodu zaczął przerywać pracę i wreszcie stanął. Podejrzuwał, że miało to coś wspólnego z zaprzanymi bateriami słonecznymi. Otworzył maskę i zajrzał do środka, ale wszystko wyglądało beznadziejnie; nie potrafił pojąć konstrukcji tej maszyny. Melinda także wysiadła i przycupnęli razem na barierze ochronnej autostrady, jedząc z puszek i patrząc na uszkodzony samochód z jego wielką plamą.

Tego poranka dotarli do Kalifornii, najpierw jadąc przez teren nieznany im niczym od tego z Nevady, a potem mijali farmy, okręgi przemysłowe, zahaczając o podmiejskie trakty. Na autostradzie spotkali nawet kilka samochodów, wszystko modele słoneczne. Kierowcy ignorowali ich. Chaos zatrzymał się na wolnym pasie drogi, pomiędzy wyjazdami, porośniętym z obu stron kępami suchej trawy - w oddali widać było wieże rafinerii i wysokie biurowce; autostrada przebiegała zaledwie sto jardów od nich.

- Co teraz? - spytała Melinda.
- Nie mam pojęcia.

- Chodźmy tam - odparła, wygrzebując 3yżk1 ostatni kës jedzenia z puszki.

Niebo było jasne, ale i szare. Chaos zerkn13 na widoczny fragment miasta i nic nie powiedział3. Rozmyślał o tym, jak wszedł w zieloność i przyjął osobowość Moona. Zastanawia się, czy coś podobnego mogłoby się zdarzyć i tutaj; czy zostałaby się temu oprzeć, czy raczej wchłonęłoby go to bez reszty. Zazdrościł Boydowi, który szczylił się odporności1 na zmiany.

- To jest Kalifornia, tak? - spytała Melinda. Chaos skin13 głową1.

- Nie możemy omijać każdego miasta. Czasem musimy wejść.

- Okay - zgodził się.

Poszli do estakady, a potem wzdłuż nasypu, podążając w1sk1 drogą milę, lub coś koło tego, obok podwórzy pełnych wraków samochodów oraz szeregu niskich, paskich budynków fabrycznych, które miały powybijane wszystkie okna. Dotarli do miejsca, gdzie na pustym, wielkim podwórzu stał dom, i niemal go już minęli, kiedy usłyszeli dobiegające z wnętrza głosy.

Chaos ruszył w stronę wejścia do budynku, a potem zatrzymał się.

- Posłuchaj - powiedział3. - Pamiętasz, jak wczecniej, w zieloności, byłem kimś innym?

- Taaa... - odparła.

- Tobie to nie przytrafiło się w ten sam sposób?

- Nie wiem - oświadczyła z bólem głosem. - Słuchaj, nie. To znaczy nie tak jak tobie.

- Nie mogąc widzieć w zieloności, prawda?

- Nie.

- Ale nadal pamiętasz to, co było przedtem - stwierdził3. - Kellogga i wszystko.

- Tak.

- A jak myślisz, co się wydarzyło?

- Nie mam pojęcia - powiedziała. - Myślałem, że jestem twoją córką. Uwierzyłem w to...

- Pamiętasz obie rzeczy - poddał Chaos. - Pamiętasz prawdziwych rodziców, ale pamiętasz także i mnie.

Zaczęła pakać. Siedli na skraju drogi, w jasnym świetle słońca, obok domu z dobiegającymi ze środka głosami, a ona zwinęła się na jego kolanach, stając się znowu matką oraz dzieciną, i rozpakowała się. Uspokajała ją jej futro.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział3, kiedy przestała chlipać.

- Jakiej?

- Nie pozwól mi zapominać. Nie pozwól, abym się zagubił, tak jak ostatnio.

- Próbowałam coś powiedzieć, Chaos...

- Kopnij mnie w kostkę, rób wszystko, cokolwiek będzie potrzebne, okay? Mam mnóstwo rzeczy do poskądania. Nie mogę sobie pozwolić na zapomnienie.

- W porządku - stwierdziła cicho, a potem dodała: - Słuchaj, że tym razem będzie inaczej.

Mycełê, ¿e w³acenie dlatego przyjechalicemy do Kalifornii.

- Nie wiem - odpar³. - Mówiê tak na wszelki wypadek.
- Okay.
- Jest jeszcze coœ. Czy nadal œnisz moje sny? Skinê³a bojaŸliwie g³ow¹.
- Powiedz mi o tym, kiedy siê zdarzy. Chcê wiedzieæ, co widzisz. Zrobisz to?
- Taaa... - westchnê³a.

Zesz³a z jego kolan i otrzepa³a siê z kurzu, znowu wyzywaj¹co niezale¿na.

- W porz¹dku.

Chaos wsta³ i nas³uchiwa³ g³osu lub g³osów, dochodz¹cych z wnêtrza domu. Nie przypomina³o to przemawi¹cej jednej osoby czy rozmowy. By³o to coœ innego, coœ co niejasno pamiêta³ z wcześniejszych czasów, jakieœ inny sposób gadania. Chcia³ to sobie przypomnieæ. Podszed³ trochê bli¿ej, ale nadal nie umia³ okreœliæ charakteru tego dŸwiêku.

Wszed³ na werandê, a Melinda za nim. Drzwi nie by³y zamkniête. Pchn¹³ je i zawo³a³:

- Halo!

Nie us³ysza³ odpowiedzi, wiêc weszli do œrodka. DŸwiêk pochodzi³ z odbiornika telewizyjnego, który dzia³a³ w pustym living roomie. Dom by³ umebrowany i bezludny. Wygl¹da³ tak, jakby ktos przed chwil¹ st¹d wyszed³. Melinda stanê³a przed telewizorem z otwartymi ustami, zdumiona. Telewizory w Hatfork by³y przewa¿nie pogruchoane, od chwili katastrofy ¿aden nie pokaza³ niczego.

Chaos zostawi³ j¹ tam i obszed³ dom. Wiatr wia³ przez otwarte okno w kuchni, zas³ony luŸno powiewa³y. Sprawdzi³ kran, woda la³a siê. Suszarkê zape³nia³y naczynia, niektóre z nich by³y jeszcze wilgotne. Zajrza³ do lodówki, wype³nionej plastikowymi pojemnikami, przykrytymi cynfoli¹ lub foli¹ spo¿ywc¹, i wyraŸnie ometkowanymi bia³ymi nalepkami, opisanymi Magicznym Pisakiem. Zjawi³a siê Melinda. Da³ jej kawa³ek zimnego pieczonego kurczaka i szklankê soku pomarańczowego, a ona usiad³a za sto³em i g³oœno prze³yka³a kolejne kêsy.

By³a œroda, kolejny Dzieñ Przeprowadzki. Ka¿da œroda i sobota, ale w soboty przechodzi³a to ³atwiej, poniewa¿ ch³opcy przebywali ze swoim ojcem. Tak teraz o nim myœla³a - nie Gerald, nie jej eks, ale ich ojciec. Po prostu zostawia³a ch³opców w pi¹tek, sama przeprowadza³a siê w sobotnie popo³udnie, a potem zabiera³a dzieci w niedzielê wieczorem i pokazywa³a im nowe miejsce. Natomiast w œrody musia³a przekonywaæ Raya i Dave'a, aby porzucili zabawê albo kryjówki w obecnie zajmowanym domu i po¿egnali siê z dzieciakami z ulicy, z którymi zd¹¿yli siê zaprzyjaŸniaæ, a potem zagoniaæ ich do samochodu, zanim zjawi siê maj¹ca przej¹æ dom nowa rodzina.

Dzisiaj, gdy wynios³a do samochodu ostatni¹ walizkê swoich ubrañ, nie widzia³a Raya i Dave'a nigdzie w zasiêgu wzroku. By³a ju¿ spóŸniona; s¹siednie domy pustosza³y i ba³a siê, ¿e ch³opcy zakradli siê przez okienko do jakiejœ piwnicy, aby j¹ zbadaæ i spl¹drowaæ. Tego obawia³a siê najbardziej; je¿eli ch³opcy zostan¹ przy³apani w pustym domu, kiedy zjawi siê nowa rodzina, prawdopodobnie skoñczy siê

to wezwaniem; jej zaœe brakowa³o zaledwie dwóch skarg, aby byæ zmuszon¹ do stawienia siê przed Komisj¹ ds. Szczêœecia i sk³adania kolejnej apelacji. Dave i Ray byli niepe³noletni, w zwi¹zku z czym wezwania sz³y na jej konto. Jeszcze kilka razy stanie przed Komisj¹, a zecel¹ j¹ do obozu dla pozbawionych szczêœecia.

Z tym ¿e prawdopodobnie nie dojdzie do tego. Ju¿ Cooley tym siê zajmie. Wiedzia³a, ¿e chce, by sta³e znajdowa³a siê w takiej sytuacji: dok³adnie na krawêdzi utraty wszystkiego, zrozpaczona, ca³kowicie zale¿na od niego. Tak wygl¹da³ jego wstrêtny, pierdolony sposób flirtowania z ni¹.

£aduj¹c swój dobytek do baga¿nika samochodu, omiata³a wzrokiem ulicê w poszukiwaniu jakiegocœ œladu ch³opców. Mia³a zbyt wiele rzeczy, kiedy siê przeprowadza³a; wiêcej ubrañ, ni¿ mo¿na by przypuszczaæ, ¿e siê w ogóle posiada, oraz ma³y plecak pe³en ksi¹¿ek, co do którego nikt by nie s¹dzi³, ¿e mo¿na go mieæ, przeprowadzaj¹c siê z domu do domu - powinno siê byæ zadowolonym z czytania jakichkolwiek ksi¹¿ek czy czasopism, znajduj¹cych w nowym miejscu, i nie chciaæ zabieraæ któregokolwiek z nich ze sob¹. Tak¿e za to ktoœ móg³ wlepiæ jej mandat, ale by³a ostro¿na, ukrywaj¹c ksi¹¿ki w samym rogu baga¿nika, pod zaoliwionymi szmatami i kompletem narzêdzi oraz œerubokrêtów, tak ¿e pakunek wygl¹da³ na coœ sta³e przynale¿nego do samochodu.

Wsiad³a i zatr¹bi³a, a potem w³czy³a silnik i pojecha³a wolno dooko³a kwarta³u domów, szukaj¹c ch³opców. By³a 12.15 i zaczyna³y przybywaæ nowe rodziny. Rozpozna³a parê twarzy; ludzi, którzy mieszkali poni¿ej, powy¿ej lub obok niej w innych blokach mieszkalnych czy w s¹siedztwie. Z widzenia zna³a te¿ kilkuset innych. System zniechêca³ do bli¿szych kontaktów; s¹siedzi, je¿eli nawet okazywali siê przyjacielscy, rzadko wymieniali wizytówki.

Dzieñ by³ jasny, ale nie czu³o siê upa³u. Nowy adres odsy³a³ j¹ na drugi kraniec miasta, ale tak d³ugo, jak upa³ nie wzrasta³, nie zaprz¹ta³a sobie g³owy tym, aby tam jechaæ. Tym razem przerzucili j¹ gdzieœ na przedmieœcia, na obszar rozci¹gaj¹cy siê za star¹ rafineri¹, w miejsce, w którym pomimo przypadaj¹cych dwa razy w tygodniu przeprowadzek, nigdy wczesniej nie mieszka³a. S³ysza³a, ¿e domy tam s¹ du¿e i wolno stoj¹ce, co jej nie przeszkadza³o. Nadal nie by³o ani œladu po ch³opcach. Kiedy skrêci³a za ostatni róg, jad¹c z powrotem w stronê domu, który dopiero co zwolni³a, zobaczy³a ich stoj¹cych wraz z Cooleyem przy krawê¿niku. Trzyma³ d³onie na ich ramionach, a na twarzy mia³ szeroki uœmiech. Bydlak. Z³apa³ ich na kradzie¿y?

Cooley by³ Badaczem Szczêœecia i chocia¿ kompletnie nie rozumia³a schematu organizacyjnego Instytutu Szczêœecia w Vacaville, wiedzia³a, ¿e zajmowa³ tam wa¿ne stanowisko. Nie na tyle jednak, aby jego praca przeszkadza³a mu w nachodzeniu jej, gdziekolwiek mu siê podoba³o. Swój pierwszy test szczêœecia zdawa³a u niego i od tej pory wykazywa³ w jej sprawie zbyt daleko id¹ce osobiste zainteresowanie.

Test zda³a kiepsko, bardzo kiepsko. Wystarczaj¹co nisko, by mog³a zostaæ zmuszona - gdyby nie interwencja Cooleya - do oddania samochodu, pozwolenia Geraldowi na zabranie dzieci i do

przeniesienia się ciupasem do jednego z baraków dla pozbawionych szczęścia - i Cooley nigdy nie pozwala³ jej o tym zapomnieæ. Szczególnie lubi³ wpadaæ w Dzieñ Przeprowadzki, gdy czu³a się rozdra¿niona.

- Roy, Dave, wsiadajcie do samochodu.

- Witaj, Edie - odezwa³ się Cooley, podchodz¹c z ch³opcami. - Straci³aæ trop tych dwóch nieszczęsnych urwisów? Musia³a przyznaæ mu punkt; rzeczywiœcie ich szuka³a.

- Kradli gdzieœ? - spyta³a z napiêciem.

Cooley by³ szerokim mêtczyzn¹. To najlepsze okreœlenie. Nie by³ gruby; wygl¹da³ raczej jak postaa z filmu rysunkowego, która po³knê³a drzwi. Zawsze chodzi³ w garniturze, nawet podczas największych upa³ów, a ubranie wisia³o na nim jak susz¹ce się na sznurze przeœcierad³o. Jego twarz wygl¹da³a tak samo; za szeroka, oczy zbyt oddalone od siebie, na ustach gadzi ucemieszek, który nigdy nie znika³. Pomimo to na swój sposób by³ przystojny.

- Nie, mamó - odpar³ Ray. - Pan Cooley pokazywa³ nam tylko kana³y. Tam na dole ¿yj¹ ¿aby.

- Spotka³em ich na koñcu ulicy - powiedzia³ Cooley. - Widzia³em ciê, jak obje¿d¿asz dzielnicê, i pomyœla³em, ¿e nas nie widzisz. Wiêc podszed³em tutaj.

- Dave s¹dzi³, ¿e odjecha³aæ bez nas - stwierdzi³ Ray sardonicznie.

- Nieprawda - zaprzeczy³ Dave.

- Dobra, wsiadajcie do wozu - trzyma³a otwarte drzwi.

- Dziêki, Ian - zwróci³a się do Cooleya, maj¹c nadzieję, ¿e sobie pójdzie.

Ch³opcy wdrapali się na siedzenie obok niej; siêgnê³a ponad nimi i zamknê³a drzwi pasażera. Cooley obszed³ samochód i stan¹³ po jej stronie.

- Nowe miejsce znajduje się po drugiej stronie miasta - powiedzia³.

- Znowu zagl¹da³eæ do moich danych.

- Wystuka³em twój plik i po prostu pozwoli³em mu rozsi¹ceæ się na ekranie - odpar³, szczerz¹c się obleceniem. - To tak, jakbym mia³ twoje zdjecie na biurku.

- To mi³o.

Czu³a się zmêczona jego zalotami.

- No có¿, nie wiesz nawet, jak bardzo jest to mi³e. Twój nowy dom stoi tu¿ za rogiem ulicy, przy której i ja bêdê mieszka³.

Cooley, podobnie jak inni wysocy urzêdnicy pañstwowi, przeprowadza³ się do lokali o wy¿szym standardzie: takich, jakie widywa³a tylko w telewizji. Czasem podkreœla³, ¿e mog³aby sama w nich mieszkaæ, gdyby się z nim zwi¹za³a.

- Bêdziesz w takim ma³ym farmerskim domostwie, za podwórzem pe³nym wraków - powiedzia³. - To niedaleko od mojego domu. Powinnaæ zajœæ tam i zobaczyæ, jak jest urz¹dzony.

Skinê³a g³ow¹ w stronê ch³opców.

- Może kiedy béd¹ znowu u ojca...

- Ian ma na swoim podwórzu domek na drzewie - przerwa³ Ray. - Powiedzia³, że możemy się tam bawiæ, jeżeli nam pozwolisz.

- Rozczarujesz ch³opców - stwierdzi³ Cooley.

- Muszê się najpierw wprowadziæ, Ian - odpar³a, myœl¹c jednocześnie: Ty gnoju, nie graj ze mn¹ ch³opcami w ten sposób.

Zwolni³a hamulec i pozwoli³a samochodowi przesun¹æ się o cal do przodu.

- Zostawmy to na póŹniej, kiedy bédê mog³a pomyœleæ, zgoda?

- Dzieci wieczorem?

- Powiedzmy. Ale nie obiecujê. Uœmiechn¹³ się.

- To mi wystarczy.

Na znak odniesionego zwycięstwa pokaza³ ch³opcom podniesiony kciuk, na co odpowiedzieli tym samym gestem, nieœwiadomi uczestnictwa w spisku przeciwko niej. Odjecha³a, zostawiaj¹c Cooleya stoj¹cego na jezdni.

Ich nowe lokum rzeczywiœcie znajdowa³o się za sk³adowiskiem z³omu, za star¹ fabryk¹ VelaMint oraz opuszczon¹ szko³¹ œredni¹. By³ to jedyny dom mieszkalny na przestrzeni ca³ych mil, pozosta³y z willowej okolicy zdewastowanej przez przemys³. Nieco tym przestraszona, ca³y czas myœla³a o swoim s¹iedztwie z Cooleym. Ale to w koŃcu jedynie kilka dni. To stanowi³o dobr¹ stronê przeprowadzek - zawsze trwa³y tylko parê dni. Zaparkowa³a na ulicy przed domem i kaŹdemu z ch³opców da³a do niesienia ma³y bagaŹ.

W drzwiach wejœciowych poczu³a, że coœ jest nie tak. Nie to, że gra³ telewizor, to by³o normalne. Ludzie pozostawiali sprzêty na chodzie, czasem nawet lej¹c¹ się w zlewie wodê. Ale z kuchni dochodzi³ jakœe podejrzany dŹwiêk. Wesz³a, aby to sprawdziæ, ci¹gle trzymaj¹c walizkê; ch³opcy postêpowali tuŹ za ni¹.

Bardzo brudny mêŹczyzna siedzia³ w towarzystwie dziewczynki przy kuchennym stole, jedz¹c kurczaka i pij¹c sok pomaraŃczowy. Edie powiedzia³aby, że dziewczynka jest tak¹e brudna, gdyby w jej wypadku nie rzuca³o się w oczy coœ duŹo bardziej istotnego - by³a ca³a poroceniêta futrem, jak foka albo wydra. MêŹczyzna i dziewczynka podnieœli wzrok, wci¹Ź jedz¹c i milcz¹c. Edie poczu³a z³oœææ oraz zak³opotanie, ale odepchnê³a je od siebie; wiedzia³a, jak postêpowaæ w takim wypadku. By³ to dla niej niespodziewany ³ut szczêœcia. Musia³a tylko znaleŹæ swój bloczek z mandatami, aby wypisaæ upomnienie. Byæ moŹe w tym miesi¹cu wyjdzie na swoje.

Poklepa³a się po kieszeniach. Nie mia³a przy sobie ksi¹Źeczki.

- Ray - powiedzia³a, ignoruj¹c mêŹczyznê i dziecko. - IdŹ do samochodu i znajdŹ bloczek mandatowy. Pamiêtasz, jak wygl¹da?

Ray skin¹³ g³ow¹, upuœci³ swoj¹ paczkê i znikn¹³. Odwróci³a się ponownie do siedz¹cych przy

stole.

- Dam wam mandat. Potem musicie siê wynieœæ, jest po dwunastej. Mam na myœli to, ¿e nawet siê nieco spóŸni³am. Przykro mi, ale zapracowalioœcie na niego. Gdzie wasz samochód?

Mê¿czyzna prze³kn¹³ kês kurczaka i powiedzia³:

- Zostawilioœmy go na autostradzie. Mandat za co?

- Mamo - odezwa³ siê Dave. - Dlaczego ona ma takie w³osy?

- Dave, to jest nieuprzejme. IdŸ do pokoju albo pomó¿ bratu wypakowaæ rzeczy z samochodu. Dave wyszed³.

- Przepraszam, on ma tylko szeœæ lat. Gdzie zostawilioœcie auto? Przy autostradzie? Mê¿czyzna skin¹³ g³ow¹.

- Zepsu³o siê.

Edie poczu³a siê zak³opotana. Dok¹d tych dwoje zmierza³o? I jak mogli poruszaæ siê bez samochodu?

- Nie jestem st¹d - wyjaceni³ tamten. - Przykro mi. Bylicemy g³odni.

Powoli uchodzi³o z niej powietrze. To nie w porz¹dku. Nie mog³a wystawiaæ im mandatu. Wszystko to sk³ada³o siê na jeszcze wiêkszego pecha; kolejny dowód, ¿e jej niski wynik testu naprawdê coœ znaczy³. To, jak ostatnio toczy³y siê sprawy, a teraz pojawienie siê w jej domu mê¿czyzny z poroceniêt¹ futrem dziewczynk¹, oka¿e siê prawdopodobnie powodem do wklepienia jej przez kogoœ kolejnego mandatu.

- Sk¹d jesteœcie? - spyta³a.

- Z Wyoming. Z Ma³ej Ameryki...

- Z Hatfork - odezwa³a siê dziewczynka z dezaprobat¹.

- ...ale od jakiegoœ czasu znajdujemy siê w drodze - kontynuowa³ mê¿czyzna. - Nie znaleŸlinoœmy zbyt wielu dobrych miejsc, aby siê w nich zatrzymaæ.

- No có¿, jedzenie, które jecie, jest moje - powiedzia³a Edie. - I dom, w którym siê zatrzymalioœcie, jest mój.

- Twoje jedzenie? - spyta³a w³ochata dziewczynka. - Myœla³am, ¿e dopiero siê tu wprowadzi³aœ.

- Od dwunastej jest mój - odpar³a Edie. To, ¿e musia³a wyjaœniaæ im kwestie zwi¹zane z przeprowadzk¹, by³o mœcz¹ce.

- Przedtem nale¿a³ do kogoœ innego. Nie do was... W drzwiach za jej plecami pojawili siê ch³opcy. Ray przyszed³ z bloczkiem mandatów.

- Masz, mamo...

- Ju¿ w porz¹dku - odpar³a. - Po³ó¿ go w living roomie.

- Pójdziemy - odezwa³ siê mê¿czyzna. - Przepraszam.

- Wszystko w porz¹dku - rzek³a Edie. - Czemu nie mia³byœe wzi¹æ prysznic, z³apaa^e oddechu...

Nie mog³a powstrzymaæ siê przed skonfrontowaniem go z gor¹c¹ wod¹ i myd³em. Ch³opcy stali w przejoœciu, gapi¹c siê na dziewczynkê. Ma³a wyba³uszy³a oczy i pokaza³a im jêzyk; malcy zachichotali.

- No c³o, dziêki - powiedzia³ mê¹czyzna.

- Potem bêdziecie musieli znaleŹ³ sobie inne miejsce - stwierdzi³a szybko. - Je¹eli chcielibyœcie zostaæ w Vacaville, musielibyœcie siê zarejestrowaa^e. Wiesz, zapisaæ siê na przewodniczki ...

- Okay - powiedzia³. - Pomyœlê nad tym. Zabrzmia³o to jak coœ niezbyt wa¹gnego.

- S¹dzê, ¹e siê wyk¹piê.

Wsta³ od sto³u, pozostawiaj¹c tam resztki po swoim posi³ku, i przeszed³ obok ch³opc³ów, spuszcza¹c nieœmia³o oczy.

- Chcesz obejrzeæ telewizjê? - spyta³ Ray dziewczynkê.

Ma³a nie odpowiedzia³a, ale czmychnê³a za plecami Edie do Hving roomu, pod¹aj¹c za ch³opcami.

Edie wy³adowa³a resztê baga¹u i z³o¹y³a go w stosie na dywanie w pokoju, podczas gdy Ray, Dave i dziewczynka siedzieli, ogl¹daj¹c telewizjê, w kt³orej akurat by³ program „SprawdŹ Swoje Szczêœcie!”, prowadzony przez prezydenta Kentmana. Edie s³ysza³a szum wody w ³azience na g³rze. Po opr³¿nieniu samochodu wr³ci³a do kuchni i posprz¹ta³a w niej, z przyzwyczajeni a rejestruj¹c stan zapas³ów w spi¹¿arni. Potem zrobi³a ch³opcom kanapki i posz³a do living roomu ogl¹daæ z nimi telewizjê. Ray i Dave bawili siê, dopinguj¹c wsp³zawodnicz¹ych ze sob¹ graczy, co zmieni³o ogl¹danie programu w pe³ne ha³asu kibicowanie. W tym samym czasie dziewczynka siedzia³a nieruchoma i milcz¹ca.

Kiedy mê¹czyzna zszed³ na d³ó³, wygl¹da³ ca³kiem inaczej. NajwyraŹ³niej znalaz³ brzytwê i zdrapa³ zarost z twarzy. Chocia¹ mia³ na sobie tê sam¹ brudn¹ koszulê i d¹Źinsy, to jego rozczochrane w³osy nie by³y ju¹ tak nieporz¹dne; zacza³a je na mokro do ty³u, ods³aniaj¹c czo³o i oczy - twarde, wyrazistsze ni¹ usta i podbr³odek. Nagle wyprzystojnia³. Na moment ich oczy spotka³y siê, a potem ponownie opuœci³ wzrok na pod³ogê.

- Dziêki - powiedzia³ kolejny raz, a potem zwr³ci³ siê do dziewczynki. - IdŹ³ na g³rê i doprowadŹ³ siê do porz¹dku.

- Okay, ale chodŹ³ no tu. Chaos, i popatrz na to.

Wskazywa³a na telewizor, a mê¹czyzna podszed³ tam, stan¹³ za sof¹ i spojrz³ na ekran. Ray zacz¹³ wyjaœniaæ zasady gry swoim najbardziej zarozumia³ym tonem, kt³óry Edie przypomina³ Geralda, a obcy s³ucha³ uprzejmie, z oczami wpatrzony w odbiornik. Dziewczynka wsta³a i dotknê³a palcem ekranu.

- Ten facet przypomina mi Kellogga - stwierdzi³a.

- IdŹ³ na g³rê - powiedzia³ miêkko. - Wkr³ótce powinniœmy odejœæ.

- W porz¹dku, w porz¹dku - potar³a wierzchem d³oni nos i wreszcie oderwa³a siê od telewizora.

- Gdzie?

Mê¿czyzna wskaza³ na schody i ma³a, rozgniewana, powlok³a siê w ich stronê. Ray podsumowa³ swój rozbudowany, ma³o zrozumia³y opis zasad gry. Edie zostawi³a ich i posz³a na górê. Znalaz³a dziewczynkê stoj¹c¹ w³azience i wpatrzon¹ w wannê.

- O co chodzi? - spyta³a Edie. Ma³a zrobi³a kwacen¹ minê.

- Poka¿esz mi, jak to siê robi? Edie odkrêci³a kurek prysznicza.

- Nie mo¿esz jej po prostu nape³niæ? - spyta³a dziewczynka. - Robi³am tak wczêœniej.

Wiêc Edie nala³a wody do wanny.

- Mam na imiê Edie - zaryzykowa³a. - Ty jesteœ Melinda?

- Taaa...

- Jesteœ jego córk¹?

- Chaosa? Nie.

Edie rozwa¿y³a powtórzenie imienia mê¿czyzny, ale nie by³a go pewna.

- W takim razie opiekuje siê tob¹.

- Nie potrzebujê, ¿eby siê ktoœ o mnie troszczy³ - powiedzia³a ma³a wyzywaj¹co.

- Jesteœmy tylko... no wiesz, podró¿ujemy razem.

Edie nie wiedzia³a, co Melinda mia³a na myœli, ale zostawi³a jaw spokoju. Dziewczynka wygl¹da³a na zbyt m³od¹, ale có¿, ona mog³a wiedzieæ na temat tego mê¿czyzny na dole, albo miejsca, z którego przybyli? Wiedzia³a, ¿e w innych okolicach dziej¹ siê teraz tajemnicze rzeczy, a tych dwoje zdecydowanie wygl¹da³o dziwnie. Pomyœla³a, ¿e zostawi³a go na dole z ch³opcami. Ale nie poczu³a strachu.

Dziewczynka zrzuci³a swoje brudne d¿insy i poszarpany, poplamiony podkoszulek. Ubranie cuchnê³o; Edie przesunê³a je w wy³o¿ony kafelkami róg³azienki i zastanawia³a siê, czy nie zaoferowaæ jej do ubrania czegoœ ze swoich rzeczy. Kiedy Melinda wsunê³a siê do wanny, jej sierocæ zafalowa³a, ko³ysz¹c siê na wodzie, która niemal natychmiast zrobi³a siê szara.

- Myd³o? - spyta³a Edie.

- Masz szampon?

Edie da³a jej szampon i zostawi³a sam¹, zamykaj¹c za sob¹ drzwi do³azienki. Na dole telewizor by³ wy³¹czony, a Ray i Dave uczyli tego mê¿czyznê - Chaosa? - skomplikowanej gry planszowej. Tym razem, bardziej ni¿ rozpaczliwe wyjaœnienia Raya, Przeszkadza³y wysi³ki próbuj¹cego mu pomóc Dave'a. Mê¿czyzna tylko patrzy³, oszo³omiony. I zmêczony, chocia¿, wiedzia³a, ¿e ani Dave, ani Ray nie zauwa¿aj¹ tego. W jednej chwili spostrzeg³a, ¿e ch³opcy przyczepili siê do goœcia w ten sam sposób, co do lana Cooleya; w sposób, w jaki czynili to w stosunku do wszystkich doros³ych mê¿czyzn, z wyj¹tkiem Geralda, ich ojca.

Wyszła, wyjęła z lodówki dwa piwa i przyniosła je do living roomu. Wręczyła jedną butelkę obcemu, wymieniając z nim uśmiech. Przechyliła do tyłu głowę i wypiła spory łyk, a potem spojrzała na mężczyznę; on też patrzył na nią.

- Nie piłem piwa od... lat - powiedziała szybko. Dziewczynka na górze zawołała:

- Hej!

Mężczyzna i Edie popatrzyli na siebie.

- Tak? - odchrząknęła.

- Nie ty, Edie.

Poszła na górę do sypialni. Melinda siedziała w błotnistej wodzie, zgięta, badając coś między udami. W szarej wodzie pokazały się różowe plamy. Edie pomyślała natychmiast: To gwałt!

Matka podniosła wzrok i obdarzyła kobietę słabym uśmiechem.

- Słyszałam o czymś takim - powiedziała.

- Masz okres - stwierdziła zdumiona Edie.

- Nigdy wcześniej nie miałam.

Edie próbowała się pozbić. Przeczuwała kiedyś taki moment, gdy była w jej wieku. Miała tylko synów i nie spodziewała się, że spotka ją to jeszcze raz.

Matka zamieszała wodę między udami, rozpraszając plamy, i ponownie spojrzała na Edie.

- Dam ci coś - powiedziała kobieta, czerwieniąc się i czując idiotycznie.

Powinam jej pokazać, jak tego używać, stwierdziła. Dziewczynka, która nie wie, jak korzystać z prysznicza, nie będzie wiedziała, co zrobić z tamponem.

- Możesz już wyjść z wanny?

Matka skinęła głową. Stała w wodzie i delikatnie otrząsnęła się, zaczynając od ramion i posuwając się w dół. Edie zdjęła i próbki ręcznik, wytarła ją do sucha i zaczęła rozczesywać. Potem posadziła na sedesie, nadal owiniętą w ręcznik, i pokazała, jak się wkłada tampon. Matka pilnie podlegała za jej instrukcjami, pełną powagi i wcale nie zakłopotana.

Potem Edie przyniosła z dołu czyste ubranie - dżinsy, koszulę i skarpetki. Zostawiła Melindę, aby się ubrała, i spoglądając na zegarek, wróciła na dół.

We frontowych drzwiach, dokładnie w tym samym momencie, gdy wkroczyła do living roomu, ukazała się Cooley.

- Gość w domu! - zawołała nieco zbyt radośnie.

- Cześć, Ian - powitała go Ray. - Chcesz zagrać w Człowieka Rzędu?

On nigdy nie przestaje się bawić w Człowieka Rzędu, pomyślała Edie.

- Słucham, że mówiliśmy o dzisiejszym wieczorze - powiedziała kwaśno.

- Chciałbym powitać cię w sypialni - wyjaśnił Cooley, szczerząc się i wznosząc ręce, jakby bronił się przed wybuchem jej złości. - Sugeruję wspólny obiad. Chociaż widzę, że macie gościa...

- Tak - stwierdziła.

- Nie wydaje mi się, żebyś znała pana z tych okolic? - zwrócił się Cooley do mężczyzny.

- To jest mój kuzyn - powiedziała Edie szybko. - Tylko Przejeżdża...

- Mamo - odezwał się Ray z dezaprobatą.

- Nie matkuj mi tutaj. Sprzeczajcie z Dave'em grę i zabićcie na górę swoje bagaże.

Na zewnątrz stoi tylko jeden samochód, ucieszył się sobie. Cooley z pewnością to zauważył.

- Kuzyn? Nazywam się Cooley - wyciągnął rękę. Mężczyzna odwrócił się od planszy i potrząsnął jego dłońmi.

- Chaos - przedstawił się.

To samo słyszała na górze.

- Chaos? Interesujące imię. Zostajesz na jakiegoś czasu?

- Och, nie. Tak jak powiedziała, jestem przejazdem.

- Szkoda. W następnym weekend jadę na północ polować na kaczki - podniósł w górę wymyślony karabin i wystrzelił w sufit. - Lubisz polować?

Człowiek imieniem Chaos znowu miał na twarzy wyraz oszaleńca.

- Nie wiem - odparł.

- Staram się namówić byłego męża Edie, ale nie mogę wyciągnąć go z jego windy - mówił Cooley, kontynuując dewastowanie sufitu z nieistniejącej strzelby.

- Ian - powiedziała Edie. - On jest zmęczony. Przyjdź innym razem...

- Okay. A zatem, jesteśmy umówieni na wieczór?

- Nie jesteśmy umówieni na wieczór. Ja także jestem zmęczona, pan. Innym razem. Proszę.

- Wiem, kiedy jestem zbędny! Do zobaczenia, chłopcy - Ray i Dave przystanęli na schodach i pomachali mu. - I do zobaczenia, kuzynie.

Słowo „kuzyn” przeciągnął twardo.

- Jeżeli zdecydujesz się tutaj zostać, przygotuję ci podpisane i wypełnione papiery. I masz Edie, która może ci opowiedzieć o pechu. Wie na ten temat wszystko.

- Pech? - spytał Chaos.

- Taaa... Edie jest swego rodzaju ekspertem w tej dziedzinie. Powiem szczerze, że kiedy tu wszedłem, pomyślałem sobie, że możesz być jej następną wpadką. No, wiesz, przyciągnę jakieś przybłędy, kłamanie, aby go ochronić - kolejny z jej dzikich wyskoków. Dobrze wiesz, że staniesz rodzinę.

Z góry zeszła Melinda i głos Cooleya zniżył się do szeptu.

- Cześć. Nie mówię, że masz kompana w podróży. Melinda stanęła u dołu schodów i patrzyła na niego zimno.

- To, co masz na sobie, to prawdziwe futro, moja panno.

- IdŹ, Ian - Edie ruszy³a w jego stronê, zaciskaj¹c piêœci i myœl¹c, ¿e musi siê go natychmiast pozbyæ.

- Racja - stwierdzi³, cofaj¹c siê. - PóŹniej. B¹dŹ w kontakcie, Edie. I trzymaj siê z dala od k³opotów.

Odwróci³ siê i wyszed³ przez werandê, a potem wsiad³ do samochodu. Edie stwierdzi³a, ¿e wstrzymuje oddech.

- Przepraszam - powiedzia³ Chaos. - Pójdziemy ju¿ sobie...

- Nie - odpar³a. - Lepiej, ¿ebyœcie teraz zostali, przynajmniej na noc.

Stwierdzi³a, ¿e w jakieœ absurdalny sposób jest zadowolona z takiego obrotu wypadków; pragnê³a dowiedzieæ siê o przybyszach czegoe wiêcej.

- Jak tylko st¹d wyjdziecie, on pójdzie za wami. Musimy znaleŹæ wam samochód.

- To ¿aden problem - zauwa¿y³. - Stoj¹ niemal wszêdzie.

- Nie mo¿esz tak po prostu zabraæ auta - zaprzeczy³a. - Nie tutaj. Ka¿de do kogoœ nale¿y.

Jutro muszê wywieŹæ was poza

miasto.

- Co on mia³ na myœli, mówi¹c o niepowodzeniu?

- Nic takiego - odpar³a. - Nie wypad³am najlepiej podczas testu, to wszystko. Tego nie da siê sprawdziæ. Tak naprawdê nie maj¹ ¿adnego dowodu na to, ¿e te wyniki cokolwiek znacz¹...

- W porz¹dku - powiedzia³. - Mnie to nie dotyczy.

Melinda wesz³a do pokoju, ubrana w rzeczy Edie. Teraz, kiedy by³a czysta, jej sieroea wydawa³a siê o kilka tonów jaciejsza. Spojrza³a kolejno na Edie i Chaosa, ucemiechnê³a siê nieœmia³o i wskoczy³a na kanapê.

- Dam wam jeden z pokoi na górze - oœwiadczy³a Edie. - Ch³opcy mog¹ zaj¹æ drug¹ sypialniê, a ja dzie w nocy bêdê spa³a na dole.

Nagle poczu³a siê zmêczona perspektyw¹ ochraniania tych ludzi przed Cooleyem i rz¹dem oraz przed wszêdobylskimi ty-pami wypisuj¹cymi mandaty i donosz¹cymi o naruszeniach porz¹dku. Musia³aby stale mieæ ich na oku i nie wypuszczaæ na ulicê. Nie mieli pojęcia, jak powinni siê zachowywaa. Nie wiedzieli, w jaki sposób funkcjonuje ten œwiat. I nie wiedzieli, jak blisko krawêdzi przepaœci ona sama balansuje; wybrali sobie niew³aœciw¹ osobê na protektora.

Nie, tak czy inaczej, musieli opuœciaæ jej dom jeszcze tego ranka. Bêdzie mia³a szczêœcie, je¿eli pozwalaj¹c im zostaa, nie wpadnie w k³opoty. A ona nigdy nie mia³a szczêœcia.

Ch³opcy zbiegli na d³³ i ponownie w³czyli telewizor. Usadowili siê po obu stronach Melindy.

- Chcesz ogl¹daæ „Dzieñ Przeprowadzki”?

- Pewnie - odpar³a dziewczynka. - A co to jest?

- Program - wyjaeni³ Ray. - O takim dniu jak dzie, kiedy wszyscy musz¹ siê przenosiæ; wyj¹tkiem jest sposób, w jaki gwiazdy rz¹du zmieniaj¹ domy - to wygl¹da inaczej, ni¿ my to robimy.

- Oni walcz¹ - doda³ Dave.

- To jak przygody - ci¹gn¹³ Ray. - Poniewa¿ Ýli ludzie chc¹ zatrzymaæ swoje domy, bo tam, gdzie mieszkaj¹ gwiazdy rz¹du, jest bardzo mi³o.

- Gwiazdy rz¹du? - spyta³ Chaos.

- Jak gwiazdy filmu - wyjaeni³a Edie. - To nie jest naprawdê. To znaczy rzeczywiciecie s¹ ludÝmi z rz¹du...

- Jak Ian - wtr¹ci³ Ray.

- Tak, jak ³an. I oni istotnie przeprowadzali siê dzisiaj, ale ca³a reszta - ich walki oraz mi³oœci - jest fikcyjna.

- Czasami naprawdê siê zakochuj¹ - zaprotestowa³ Ray.

- Co to znaczy „fikcyjna”? - Melinda robi³a wielkie oczy.

- Udawana - wyjaeni³ Ray.

- Jak przedstawienie - doda³ Dave.

- Cooley jest czêœci¹ tego systemu? - chocia³ wiedzieæ Chaos.

- Stanowi mniejsz¹ gwiazdê - stwierdzi³a Edie sarkastycznie. - Du¿o mniejsz¹.

- Czasami pomaga prezydentowi Kentmanowi - rzek³ Dave.

- Uwaa¿ajcie - powiedzia³ Ray i wskaza³ palcem na ekran.

Przedstawienie by³o w toku. Prezydent Kentman i jego przeœliczna nowa przyjació³ka, czy te¿ sekretarka, ogl¹dali wspania³e wñêtrze ich nowego domu.

- Mama jest zakochana w prezydencie Kentmanie - oœwiadczy³ Ray.

- Naprawdê? - spyta³a Melinda, spogl¹daj¹c ze zdumieniem na Edie.

Ta rozcemia³a siê.

- Nie, nie jestem.

Ray zignorowa³ ten protest.

- Wszystkie doros³e kobiety kochaj¹ siê w nim - zapewni³ solennie Melindê. - Prawdopodobnie, kiedy uroœniesz, tak¿e siê w nim zakochasz. Albo w tym, kto wówtzas bêdzie prezydentem.

- Ju¿ jestem doros³a - rzek³a Melinda.

- I?

- Wydaje mi siê g³upi.

Chaos wpatrywa³ siê w ekran, niepomny na obecnoœæ Melindy, Raya i Dave'a. Staraj¹c siê patrzeæ na show ich oczyma, Edie poczu³a siê nagle zawstydzona z powodu tego okropnego przedstawienia.

- To œmieci - stwierdzi³a. - Ogl¹damy to, bo nic innego nie ma. Wszystkie te programy rz¹dowe

s¹ o tym, jacy oni s¹ wspaniali, jacy bogaci i szczęśliwi, i w ogóle wszystko... A od nas oczekuje się, że będziemy ich podziwiali.

- Lubisz ten program! - powiedzia³ Ray.

Chaos nie odezwa³ się; po prostu zaj¹³ miejsce na kanapie obok Dave'a i patrzy³. Edie podesz³a, usiad³a za nimi na krześle i tak²e zaczę³a ogl¹dać program. Czu³a rozgoryczenie, chociaż nie umia³a powiedzieć dlaczego. W porównaniu z kobietami w telewizorze uważa³a się za bezbarwn¹.

Podczas gdy gwiazdy kontynuowa³y swój Dzień Przeprowadzki, a skomplikowana linia narracji, któr¹ oledzi³a od lat, rozwija³a się poma³u, mimo woli da³a się w to wci¹gn¹æ. Tak naprawdę nie wiedzia³a, ile z prezentowanych wydarzeń stanowi³o prawdę, a ile nie. Oczywiście, ludzie z rz¹du musieli się przeprowadzać; wszyscy musieli. I, rzecz jasna, mieli piękne domy. Ale czy ca³a reszta, ich zmagania i triumfy, to wszystko mia³oby okazać się k³amstwem? Nie by³a tego pewna, a Cooley nie odpowiedzia³by jej, gdyby zapyta³a. Dobrze, że, przynajmniej na razie, nie pojawi³ się w tym odcinku i by³a losowi za to wdzięczna. Nie mia³a ochoty go ogl¹dać.

- Popatrz - wyjaśni³ Ray. - Jeżeli masz szczęście, dostajesz pracę w rz¹dzie, a wtedy możesz się wprowadzić do takiego domu. Mama zawsze musi pracować w jakimś grupim sklepie.

W³acciwie nie s³ysz¹c, Melinda skin³æ g³ow¹ z nieobecnym wyrazem twarzy.

- Ale raz pracowa³a w telewizji - odezwa³ się Dave g³osem pe³nym nadziei.

- Taaa, kiedy jeszcze mieszka³ z nami tata - doda³ Ray. - Ale gdy oszed³, powiedzieli, że mama ma pecha. Kiedyś musia³a nawet je³dziać omelety.

- Mylili się - odezwa³a się Edie, mając nadzieję, że Chaos s³ucha jej, a nie g³osów z telewizora; z miejsca, w którym siedzia³a, nie mog³a widzieć jego twarzy. - Gerald by³ moim pechem, przynajmniej ja tak s¹dzę. Zwariowa³. S³ysza³æ Cooleya - teraz zamieszka³ w windzie. Jest nieszkodliwy i ch³opcy zostaj¹ u niego podczas weekendów. Tak naprawdę, nie jest całkiem szalony, ale nie mog³e z nim mieszkać. Stanowi pewien rodzaj opej uliczki. W ka²dym razie wszystko, co te testy okre²laj¹, to jedynie twój podatność na pech; co²e jakby zbadanie, czy masz we krwi antycy³a, jak s¹dzę. To wcale nie znaczy, że możesz je w końcu stracić. I nie straci³am ich, nadal je utrzymuj³. Mandaty s¹ brutalnym tego odbiciem. Naprawdę nic nie znacz¹. Co z tego, że twój s¹siad widzi, że nieco p³niej wychodzisz do pracy albo wyprowadzasz się z domu? To nie fair zbierać za to punkty karne. Ka²dy pope³nia b³edy.

Pochyli³a się do przodu. Ray i Dave ogl¹dali telewizj³e, ignoruj¹c j¹ ca³kowicie, a Chaos i Melinda zasn³li na kanapie. Byli wyczerpani, to oczywiście, więc skorzystali z pierwszej okazji, aby usn¹æ, i Chaos nie s³ysza³ paplaniny Edie.

Po programie ch³opcy wyszli na zewn¹tr³, chc¹c zapoznać się z nowym otoczeniem, podczas gdy Chaos i Melinda spali na kanapie. Edie posz³a do kuchni i patrzy³a na s³ońce o²wiec¹ce przez okno. Okolica by³a wyludniona i brzydka, pe³na cegielni oraz fabryk, ale czu³a zadowolenie z możliwości

mieszkania poza centrum miasta, z dala od ludzi. Przez kilka dni nie będzie musia³a martwiæ siê, ¿e ktos wypisze jej upomnienie.

Kiedy Ray i Dave wrócili, przygotowa³a im kolacjê, a potem poszli na górê, aby przygotowaæ siê do spania. Byli tak¿e zmêczeni przeprowadzk¹, ale i podnieceni wizyt¹ niezwyk³ych goœci. W ich nowym pokoju wisia³ plakat z niedŸwiedziem i Dave powiedzia³, ¿e to go przera¿a, wiêc Edie zdjê³a poster i schowa³a do szafy.

Kiedy wróci³a na dó³, dziewczynka wsta³a, rozgl¹daj¹c siê za³azienk¹. Edie zaprowadzi³a j¹ na górê i pomog³a zmieniaæ tampon. Ma³a, nadal na wpó³ œpi¹ca, nie odzywa³a siê, a kiedy Edie zabra³a j¹ do podwójnego³ó¿ka w du¿ej sypialni, natychmiast ponownie zasnê³a.

Edie zesz³a na dó³ i obudzi³a Chaosa.

- Masz ochotê na zupê? - zapyta³a. Skin¹³ g³ow¹. Przynios³a mu miskê zupy, a potem usiad³a i patrzy³a, jak je.

- Sk¹d pochodzisz? - spyta³a po chwili.

- No có¿, wydaje mi siê, ¿e st¹d, z Kalifornii, Ale mieszka³em w Wyoming. Trudno to sobie przypomnieæ... Skinê³a szybko g³ow¹. Wiedzia³a o tym.

- To dlatego tu przyjecha³eœ? - ci¹gnê³a. - ¿eby zrozumieæ?

- Mo¿liwe. Z pocz¹tku tylko chcia³em siê wyrwaæ.

- Wyrwaæ?

- Grz¹z³em...

- W innych miejscach jest inaczej? - wiedzia³a, ¿e go popêdza, ale nie mog³a siê powstrzymaæ; chcia³a zadawaæ te pytania.

Spojrza³ jej g³êboko w oczy.

- Tak. Zupe³nie inaczej.

- Podejrzewa³am to - powiedzia³a niepewna, w jakim stopniu stanowi³o to prawdê. - Ale wszystko, co widzisz i s³yszysz, mówi ci, i¿ wszêdzie jest tak samo. Nawet je¿eli w to nie wierzysz, trudno jest o tym stale pamiêtaæ.

- Rozumiem.

- A poza tym nie ma znaczenia, co sobie myœlisz, wiesz? To znaczy tu, gdzie mieszkam. Muszê dawaæ sobie radê.

- Tak.

- Je¿eli byœ zosta³ - co w³aœciwie mia³a na myœli? - Cooley opowie ci wszystko o moim pechu. Ale to nie jest takie proste, jak on twierdzi.

- Nie obchodzi mnie pech - ucemiechn¹³ siê.

Podci¹gnê³a nogi na kanapê i wziê³a g³êboki oddech. To w³aczenie pragnê³a us³yszeæ - ¿e jej pech nie ma dla niego znaczenia. On - Chaos - by³ jak antidotum, jak promyk czegoœ; stanowi³

pęknięcie, co prawda maśe, w spójnej, wspaniałej wizji świata według Cooleya.

- Melinda - powiedziała. - Ona jest...
- Tylko podróżuje ze mną. Porzuciła rodziców.
- Nie o to mi chodzi. Mam na myśli jej serce. Teraz to on wygląda na zakopotanego.
- Była wojna - wyjaceni cicho. - Zmieniła mnóstwo rzeczy, także w Wyoming.
- Wojna?
- Wszyscy pamiętają jakże katastrofę. Ale różni w różnych miejscach.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Ludzie... - potrząsnęła głową.
- Ludzie?
- Robi wszystko inaczej. Jak ci w telewizji...
- Prezydent Kentman i rząd?
- Tak.
- Nienawidzę ich - przysunęła się bliżej do niego, myśląc o wojnie.

Czy gdzie indziej może być gorzej? Może wacciwie miała szczęście?

- Ale ty - trzymała teraz jego rękę - uciekacie. Wyrwaacie się. Zaczem się cicho.
- Raczej utknęłam tutaj.
- Czemu się ciemiejesz?
- Nie ciemieję się.
- Może powinieneś zostać.

Czy byś o będem lubię go, „Chaos”, przypomniła sobie, chociaż nadal nie wypowiedziała na głos jego imienia, skoro co dla niej znaczy? Miała miłe oczy.

- Chaos - powiedziała, oswajając się z brzmieniem jego imienia; a potem jeszcze raz. - Chaos?

Odpowiedzi okazała się pocałunek, który złożyła na jej ustach. Pocałowała ją ponownie.

Delikatnie zdjęła z jego kolan pustą miskę po zupie i odstawiła na podłogę.

- Już bardzo dawno...
- Podobnie jak z piwem? - spytała rozbawiona.
- Nie to miałem na myśli... - wyszedłem z wprawy.
- W porządku.
- Tak - rozczem się znowu, co teraz jej się spodobało. - Okay.
- Jeżeli jesteście zmęczeni...
- Nie.

Całowali się i wkrótce podniósł jej bluzkę oraz stanik, zwijając je w precel pod ramionami i wystawiając jej piersi nachodne powietrze. Ukryła biust, przysuwając się bliżej, podciągając w górę jego koszulę i przytulając się do jego torsu. Dotykała jej nieco gwałtownie i zarazem tak, jakby był zdziwiony.

Tej nocy, cenił w ramionach Chaosa, cenił o nim. Tak szybko, pomyślał, kiedy się obudził. Był to sen pełen zazdrości. Mieszkał z innymi kobietami w stojącym wśród drzew domu. Naprawdę w nim mieszkał, a nie przebywał tylko przez kilka dni. Dom należał do niego; poznał to ze sposobu, w jaki porusza się po pokojach, w jaki dotyka różnych przedmiotów; stanowił jego własność. Dziwne, gdy z tego, że zostawił swój samochód na autostradzie, przywędrował do jej domu i bezceremonialnie otworzył lodówkę, nie wynikało, że rozumie, co to jest prawo własności. Ale tamten dom należał do niego. Był o to zazdrosny, jak i o inne rzeczy - o przebywanie z nieznanymi, pięknymi kobietami. Zazdrościł także odosobnienia domu, stojącego samotnie pomiędzy drzewami. Nie zauważył tam żadnych dzieci. Tylko drzewa i woda. Kiedy następnego ranka zastanawiał się nad tym snem, czuł się głęboko zawstydzony.

Na kanapie było im za ciasno, więc Edie zakradła się na górę, by przespaać się przed cewitem na podwójnym łóżku obok Melindy. Chaos obudził się dochodzący z kuchni odgłosy. Poszedł tam i znalazł wszystkich jedzących. Edie szybko wstała, zaczerpnęła trochę owsianki i postawiła miskę przed Chaosem. Ucieknęła do niego nerwowo, a Melinda spojrzała z wątkiem.

Po śniadaniu Ray i Dave poprosili Melindę, aby wyszła z nimi na zewnątrz. Edie stała przy zlewku i myła naczynia.

- Nie mamy w domu wystarczającej ilości jedzenia - odezwała się niespokojnie, zwrócona do niego plecami. - To znaczy teraz, z tobą i Melindą...

Upuściła talerz, który rozbił się na wyłożonej dywanami podłodze, i zaczęła pospiesznie szukać szczotki, ale nie mogła jej znaleźć.

- Ludzie pozostawiają domy w okropnym stanie...

Zrozumiał, że czeka na jakiś znak z jego strony, podszedł więc do niej i delikatnie ujął ją za kibiś. Była to jedyna rzecz, która nie wydała mu się arogancka czy nienaturalna. Uspokoiła się pod jego dotknięciem.

- Ta noc była wspaniała - powiedziała, zaskakując go bezpośrednio.

- Dla mnie także - odparł.

- Zapomniałam o tym miejscu, o lanie i o jego bzdurach na temat szczotki.

- To dobrze.

Nie wiedział, czy powinien jej wyznać, że dla niego ta noc okazała się pożyteczna, ponieważ pomogła mu przypomnieć pewne rzeczy. Chaos nie pamiętał z poprzednich czasów seksu z rzeczywistymi kobietami. Nawet jego fantazje na ten temat, zanim nie nastąpiła seria snów o Gwen, były bardzo niejasne. Teraz wreszcie się w tym odnalazł.

Nie miesza ze sobą Edie i Gwen. Ale, być może, sny o Gwen pomogły mu połączyć Edie; pomogły mu przypomnieć sobie, jak to jest być z kobietami. Powstrzymał się jednak przed głębszą analizą. Edie mogłaby spostrzec, że jest zmieszany.

Wpakowali siê wszyscy do samochodu i pojechali do miasta, do Vacaville Mall. Widziane po drodze samochody by³y starszymi modelami, napêdzanymi benzyn¹, jak w Wyoming. Tak¿e budynki stanowi³y nietkniêt¹ wersjê zrujnowanego krajobrazu miejskiego Ma³ej Ameryki i Hatfork. Chaos nie wiedzia³, co to znaczy. Mia³ wra¿enie, ¿e podró¿owa³ w czasie.

Centrum handlowe zosta³o opanowane przez dwie odmienne populacje. Doros³ych, którzy t³oczyli siê nerwowo, parami lub samotnie, pozdrawiali siê zdawkowo lub nie zwracali na siebie uwagi, oraz przez dzieci, które biega³y, œmiej¹c siê i rozmawiaj¹c ze sob¹. Ray i Dave sprawiali wra¿enie, ¿e znaj¹ prawie ka¿dego w ich wieku. Melinda popêdzi³a za nimi, naceladuj¹c ich rozmowy, i wyci¹ga³a rêkê. kiedy j¹ przedstawiali, natomiast wystawia³a jêzyk, gdy ktos wyciemiewa³ jej futro. Edie stara³a siê z pocz¹tku trzymaæ ich przy sobie, ale potem posz³a na kompromis z Rayem, który obieca³ przyprowadziæ póŹniej ca³¹ trójkê do auta. Dzieciaki zaraz zniknê³y.

- Widzisz te sklepy? - spyta³a Edie, kiedy zostali sami; wskaza³a na drogeriê, stoisko z gazetami, fryzjera i sklep ¿elazny. - Pracowa³am w ka¿dym z nich.

Wygl¹da³a na zadowolona, ¿e mog³a mu je pokazaæ. Nie zapyta³, dlaczego by³a zatrudniona w tylu ró¿nych miejscach ani co robi teraz.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek pracowa³em w sklepie - stwierdzi³ sucho.

- To musi byæ dziwne, tak niczego nie byæ pewnym.

Chaos poszed³ za ni¹ do supermarketu i pcha³ wózek, podczas gdy ona nape³nia³a go towarami. Waden z produktów nie by³ znanej mu marki. Chaos podniós³ paczkê kaszy i pokaza³ j¹ Edie. - Kto to jest? - spyta³, wskazuj¹c na widniej¹ce na opakowaniu zdjêcie.

Fotografia przedstawia³a twarz, któr¹ z trudem rozpoznawa³.

- Sandra Turfington. Pamiêtasz, wczoraj wieczorem wystêpowa³a w telewizji.

- Produkuje kaszê?

- Wszystkie towary firmowane s¹ przez gwiazdy rz¹du.

Dobieg³a ich jakas melodia, coœ zaaran¿owanego na skrzypce, co -jak mu siê zdawa³o - rozpozna³. Zapyta³ o to Edie, ale jej dziwaczna, zdawkowa odpowiedŹ brzmia³a:

- Muzak.

ZawieŹli zakupy do samochodu i w³adowali je do baga¿nika. Na parkingu znajdowa³o siê pe³no dzieci, ale nie znaleŹli wœród nich Raya, Dave'a i Melindy.

- Nie ma poœpiechu - stwierdzi³ Chaos.

- Wiem, gdzie mog¹ byæ - powiedzia³a Edie. - Równie dobrze mo¿emy siê tam przejœæ.

Poszed³ pos³usznie za ni¹. Bycie jej cieniem okaza³o siê nedorzecznie mi³e; jakby zapomniana, ¿e wcale nie robi¹ tego od lat. Mog³a byæ to jakas wersja efektu Kellogga, pomyœla³.

Dzieci siedzia³y na niskim parapecie wityny wystawowej, pe³nej s³odocy i czasopism, obracaj¹c kartki komiksów. Zdjêcia na ok³adkach, zapowiadaj¹ce artyku³y wewn¹trz numerów,

traktowały o telewizji i rzadziej, nawet jeżeli znajdowały się w takich magazynach jak „Time”, „Rolling Stone” czy „Playboy”, które Chaos pamięta z przeszłości. Nic nie nawiązywało do cokolwiek, co miało być poza Vacaville. Dave pociągnął matkę za rękaw i pokazał jej, co czyta - pełną przemocy historyjkę obrazkową z anem Cooleyem w roli głównej.

- Mówię ci, żebyś mu tego nie dawała - powiedziała Edie. - Powinieneś to już wiedzieć, Ray, jesteś starszy. Wyrwała pisemko z ręki Dave'a.

- Mogę to zobaczyć? - spytał Chaos. Edie spiorunowała go wzrokiem.

- Nieważne.

Pojechali do domu. Melinda siedziała z tyłu, z Dave'em i Rayem, wyniosła, nagle w swoim żywiole. Opowiadała im o Hatfork i jej wcześniejszym życiu na pustyni; wyjaśniała chłopcom, dlaczego programy telewizyjne, które oglądają, uważa za głupie - według niej nie są one prawdziwe; powiedziała im, jak rzeczy będą się miały, „gdy dorosną”.

Chaos zauważył, że obecność chłopców uspokoiła ją. Przy nim nie mógł się powstrzymać przed ciągłym udowadnianiem, że jest dorosła. Nawet teraz, przy całej swej wylewności, zdawała się obrażona na niego. Od zeszłej nocy nie zwracała się do Chaosu bezpośrednio ani nie patrzyła mu w oczy.

Kiedy wypakowali zakupy z auta i zanieśli je do kuchni, Edie poszła na górę, a chłopcy włączyli telewizor. Chaos został na chwilę sam na sam z Melindą.

- O co chodzi? - spytał. - Nie podoba ci się, że jestem z nią?

- Nie obchodzi mnie to - odparła wzdorczym tonem. - Tylko to, że cię oceniła o tamtej. A tego nie lubię.

Powiedziawszy to, odwróciła się i czmychnęła do living roomu, dostrajając do chłopków przed telewizorem.

Chaosowi nadal z trudem przychodziło uwierzyć, że może emitować swoje sny. Czy naprawdę był taki jak Kellogg? Czy zawsze już będzie nadawał swoje marzenia senne?

Tutaj, w Vacaville, stała się świadomą swej wcześniejszej osobowości, wspomnień z Hatfork i podróży na zachód. Czując z tego powodu pewną dumę. Chciał wierzyć, że stał się silniejszy, że rozwinął w sobie odporność na lokalne efekty - i Vacaville w oczywisty sposób miało swój udział w tych zmianach. Chaos nie pamiętał zbyt wiele, ale wiedział, że ludzie nie powinni przeprowadzać się dwa razy na tydzień ani codziennie zmieniać pracy. Czy też poddawać się testom szczęścia.

Z drugiej strony, tutejszy efekt wydawał się słabszy. Miejscowy ekwiwalent czy to Kellogga, czy Elaine - gwiazdy rzędu - zamiast nawiedzać cudze sny, żyli w mediach. Zawsze można było zobaczyć telewizor. Odzyskanie świadomości dawnego „ja” mógł zawdzięczać lokalnie panującym warunkom. Edie wróciła na dół.

- Chcesz się zobaczyć z Geraldem? - spytał.

- No cóż, pewnie...

- Mam mu podrzucić ch³opców na weekend - wyjaœni³a. - Nie musisz tam iœæ.

- Nie, chcia³bym, tylko...

- Tak?

- Melinda bêdzie têskniæ za nimi. Uœmiechnê³a siê, ale nic nie powiedzia³a.

- Gerald rezyduje w budynku Eastman-Merrill - wyjaœnia³a Edie w czasie drogi. - Mieszka³ tam wczœniej. Kiedy siê rozstalicemy, prze¿y³ rodzaj za³amania nerwowego i ukry³ siê w nim. Myœla³, ¿e bêdzie móg³ wróciæ do tego, co by³o przedtem, czy coœ w tym rodzaju. Cooley pomóg³ mu dostaæ specjalne zezwolenie na przebywanie tam na sta³e. W innym wypadku Gerald musia³by iœæ do obozu dla pechowców.

- Dlaczego Cooley mówi³ o windzie? - zapyta³ Chaos.

- Gerald nadal czuje przymus przeprowadzania siê w ka¿d¹ œrodê i sobotê, ale boi siê opuœciæ budynek Eastman-Merrill. Trzyma wiêc swoje œó³ko, ubrania i wszystkie rzeczy w windzie...

- W Dzieñ Przeprowadzki zmienia piêtra - powiedzia³ z tylnego siedzenia Ray.

Edie skinê³a g³ow¹, patrz¹c ponuro przed siebie.

- To œmieszne - doda³ rozbawiony Dave.

Budynek Eastman-Merrill okaza³ siê opuszczonym biurowcem, stoj¹cym w œrodku dawnego centrum Vacaville. Jego otoczenie sk³ada³o siê z zabitych deskami okien wystawowych zamkniêtych sklepów. W porównaniu z dzielnicami mieszkalnymi wygl¹da³o to na miasto duchów. Edie mia³a klucz do bocznych drzwi i wprowadzi³a ich tamtêdy do œrodka, a potem poszli przez olbrzymi pusty hali do wind. Ray pobieg³ naprzód i nacisn¹³ guzik z napisem W GÓRÊ.

Drzwi windy otworzy³y siê, ukazuj¹c chudego, bladego mê¿czyznê w wieku Edie, ale z siwiej¹cymi w³osami, siedz¹cego prosto na œó³ku i coœ czytaj¹cego. Mia³ na sobie pi¿amê oraz czarne, ciê¿kie buty, a z górnej kieszonki bluzy wystawa³ mu szereg o³ówek oraz szczoteczki do zêbów. Winda by³a pe³na rozchwieutanych pó³ek, wy³adowanych ubraniami, ksi¹¿kami oraz pustymi butelkami i puszkami.

- Gerald, to s¹ Chaos i Melinda, moi przyjaciele.

- Czeœæ - powiedzia³ tamten uprzejmie. - Czy ja was znam?

- Oni dopiero co przyjechali - wyjaœni³a Edie.

- Ach tak - Gerald uœmiechn¹³ siê œagodnie. - Z... Chaos otworzy³ usta, aby odpowiedzieæ, ale Edie uprzedzi³a go.

- Ze wschodu.

- No cóż, to mi³o, mi³o. Mogê was poczêstowaæ drinkiem... Ch³opcy wdrapali siê ju¿ na œó³ko ojca. Dla stoj¹cych zosta³o niewiele miejsca.

- Nie bêdziemy d³ugo - zapewni³a Edie.

Pakunek z zakupami, który przynios³a, po³o¿y³a na krawêdzi ³ó¿ka. Drzwi windy zaczê³y siê zamykaæ, ale powstrzyma³a je ³okciem, naciskaj¹c nastêpnie na guzik bezpieczeñstwa.

- Widzia³em siê z panem Cooleym - rzek³ Gerald. - Przyszed³, ¿eby zobaczyæ, jak mi leci. Rozmawialicemy o ch³opcach.

- Tak? - spyta³a Edie niecierpliwie.

- Bardzo siê o ciebie martwi, Edie. Mówi, ¿e masz k³opoty ze swoim szczêœciem...

- To s¹ moje k³opoty - odpar³a.

- S¹dzê, ¿e troszczy siê o ciebie - ci¹gn¹³ Gerald. - Z pewnoœci¹ interesuje siê losem malców.

- Wiem - przyzna³a Edie. - Pos³uchaj, Gerald, zobaczymy siê w niedzielê. Bawcie siê dobrze.

- Tak, oczywiœcie - oczy Geralda zdawa³y siê zachodziæ mg³¹. - Edie, czy zamierzasz pocelubiaæ pana Cooleya?

- Nie, Geraldzie.

- Nie mówiê, ¿e mia³bym coœ przeciwko temu - powiedzia³ szybko. - Nie chcia³bym, ¿ebyœ tak myœla³a.

- Nie myœlê, Geraldzie. Ale i tak bym go nie pocelubi³a. Do zobaczenia.

- To bardzo wa¿ny cz³owiek - stwierdzi³. - On wiele dla ciebie zrobi³, prawda?

- To nie ma znaczenia. Do widzenia, Geraldzie.

- Edie...

- Tak?

- Nie ma do mnie ¿adnej poczty?

- Nie.

Ze sposobu, w jaki to powiedzia³a, Chaos wywnioskowa³, ¿e w Vacaville od bardzo dawna nie dostarcza siê ¿adnej korespondencji.

- Oczywiœcie - rzek³ Gerald niejasno. - No có¿... Pomacha³ im rêk¹, a ch³opcy przy³czyli siê do tego. Edie pozwoli³a, by drzwi windy zamknê³y siê.

- Bo¿e, jak on mnie zez³oœci³ - powiedzia³a chwilê póŹniej, kiedy znaleŹli siê z powrotem na ulicy.

- Jest dziwny - odezwa³a siê Melinda ze wspó³czuciem- To wszystko.

Wziê³a Edie za rêkê, jakby pragn¹c wype³niaæ powsta³¹ po ch³opcach lukê.

- Tutaj jest mnóstwo dziwnych ludzi.

Chaos bez s³owa usiad³ na miejscu obok kierowcy. Widok Geralda, zamkniêtego w windzie, zmusi³ go do pomyœlenia, po raz pierwszy odk¹d przyby³ do Vacaville, o oœwietlonej œwiecami kabinie projekcyjnej w Hatfork, jego ma³ym œwiecie. Poza tym by³ zazdrosny o Cooleya. Nie rozumia³, co by³o miêdzy Edie a tym cz³owiekiem z rz¹du, ale wiedzia³ wystarczaj¹co du¿o, aby poczuæ zawieœæ. Do domu zajechali w milczeniu.

Tego wieczoru wszystko szło nie tak. Melinda nudziła się bez chłopców. Kiedy włączyła telewizor, Chaos usiłował oglądać program, ale bez komentarzy Raya i autentycznego zaangażowania Dave'a, cedełczego akcję zachęcanymi oczyma, to nie było już to samo. Siedzieli z Edie obok siebie na kanapie, ale zdawało mu się, że jest milion mil stąd, oddzielony od niej gmatwaniną jego zazdrości oraz zawstydzenia z powodu snu o Gwen. Edie wydawała się spięta, jakby zmartwiona tym, gdzie Chaos będzie spał tej nocy. Chaos chciał, aby pobylili trochę sami, ale zamiast tego czekała go niezapowiedziana wizyta Cooleya, który wszedł do living roomu.

- Idę na górę - powiedziała Melinda w chwili, gdy tylko Ian wkroczył do pokoju.

- Nie dasz mi chwili spokoju? - spytała Edie.

- A po co ci spokój? - odparł Cooley, zdejmując marynarkę i przerzucając ją przez oparcie kanapy. - Przyszedłem pogadać z Chaosem.

- Dobra, nie sładź, żebyś chciała cię oglądać dzień wieczorem - stwierdziła. - Nie zapraszam cię.

- Daj spokój. Edie - głos miał spokojny. - Wiesz, że ja nie potrzebuję zaproszenia. Dlaczego muszę to mówić?

- Lubisz stwarzać pozory, że jesteś moim przyjacielem - odrzekła z goryczą.

Cooley wyglądał, jakby stwierdzenie Edie zabolowało go czy ubolało, ale szybko nad tym zapanował i zwrócił się do Chaosa.

- Celenie jej postępowania to moja praca, bez względu na to, czy chce to przyznać czy nie - westchnął. - Dlatego też jestem odpowiedzialny za to, abyś spróbował zrozumieć, w co się pakujesz.

- Pakuje się w... - zaczęła Edie.

- Pakujesz Edie w kłopoty - cięgnął Cooley, ignorując ją.

- Nie wiem, skąd się tu wzięła, ale nie jestem niczym kuzynem. Jeżeli zamierzasz zainstalować się w Vacaville, możemy o tym pogadać. Ale zabrawe się do tego z niewłaściwej strony.

- Ian zamierza cię ostrzec, że pech jest zaraźliwy - rzekła Edie pospiesznie, jakby chciała odebrać Cooleyowi punkt, mówiąc to pierwsza. - Będzie się starał cię nastraszyć. Wszystko, co powie, ma na celu przekonanie cię, że przebywając ze mną pod jednym dachem, znajdujesz się w oemiertelnym niebezpieczeństwie. Ma to nas rozdzielać.

- Edie - powiedziała Cooley ostrzegawczo.

- Muszę się napić - stwierdziła. - Ktoś jeszcze?

- Napij się piwa - rzekł Cooley; jego niedawne zachowanie z zabawy w „policjantów i złodziei” ulotniło się bez śladu.

Chaos zrozumiał, że wszystko, czego ten facet chce, to być mile widzianym w tym domu.

- Piwo - powtórzył jak echo. - Pewnie.

- Siadamy - powiedziała Cooley i usiadł na kanapie; Edie wyszła do kuchni. - Nie wiem, jak

dalece orientujesz się w sytuacji Edie, Chaos, ale nie jest ona dobra. Osi¹gnę³a najniższy wskaźnik procentowy - a tak naprawdę to oznacza, że nie zaliczy³a testu. Nie umiemy stwierdzić ostatecznie, jak wielki jest pech twojej przyjaciółki, ale mog⁶ powiedzieć, że osiemdziesiąt pięć procent ludzi, którzy mają¹ równie niskie wyniki skończy³o w ośrodkach przystosowawczych. Nie dlatego, że ich do tego zmusiliśmy - co zamierza³a ci przed chwil¹ powiedzieć

- ale dlatego, że wyczerpali swoje możliwości.

Wróci³a Edie i wręczy³a im po szklance piwa. Wcześniej kiedy częstowa³a Chaos, da³a mu butelkę. Chcia³a zrobić wrażenie na Cooleyu? Z³y znak.

Cooley siorbn¹³ piwa i ci¹gn¹³ dalej:

- Co więcej, ba³agan, jaki pozostawiaj¹ po sobie ci staczaj¹cy się ludzie, kosztuje ten kraj każdego roku miliony - na skutek powodowania zniszczeń, straconych pensji i temu podobnych rzeczy. Oto, dlaczego musimy ich wy³awiać.

- Wywozisz ludzi do obozów - powiedzia³a Edie gwałtownie - a potem nazywasz to statystyk¹.

Zwróci³a się do Chaos.

- Popatrz tylko, co on robi. Za każdym razem, kiedy poddaj⁶ się testowi, przeoceladuje mnie jak pies gończy. A sam przyznaje, że nawet nie wie¹, co oznaczaj¹ jego wyniki!

- To test naukowy - stwierdzi³ Cooley, ucemiechaj¹c się.

- Mówi nam to, co powinniemy wiedzieć na temat twojej przysz³ooci.

- Ustalisz moją przysz³ość, jeżeli wreszcie sobie pójdiesz

- odrzek³a. - To samosp³niaj¹ce się proroctwo. Mówisz o braku szczęścia, a sam jesteś najgorszą¹ rzeczą, jaka mi się przytrafi³a.

- Wiesz, że to nieprawda.

- On chce, żeby mi by³o przykro z powodu Geralda - powiedzia³a. - Szaleństwo Geralda ma być przypuszczalnie spowodowane przez przeoceladuj¹cy mnie „pech”.

- Edie ma najgorszy rodzaj pecha - wyjaśni³ Cooley. - Na szczęście, jest dosyć rzadki. Osi¹gaj¹c odpowiedni poziom, ujawnia w otaczaj¹cych ludziach to, co jest w nich ukryte. Ona zawsze jest w oku cyklonu.

- Niestety - stwierdzi³a Edie z sarkazmem - nie potrafię sprowadzić niepowodzenia na łana. Jeszcze nie.

Chaos ³yn¹³ piwa i zastanowi³ się. Między tymi ludźmi istnia³a za¹y³ość tego rodzaju, że jej szamotanina nie wydawa³a niczym innym jak gr¹, flirtem. A może myli³ się, traktuj¹c to zbyt poważnie? To jest ich świat, przypomni³ sobie.

- Okay - rzek³ Cooley. - Zapomnijmy na chwilę o szczęściu Edie. Pogadajmy o twoim.

- Moim? - spyta³ Chaos.

- Taaa... Myśla³ość już o poddaniu się testowi? Im wcześniej, tym lepiej.

- Nie mam szczęścia - powiedzia³ Chaos. - Ani pecha. Idê, dok¹d idê, i robiê to, co robiê. Szczęście nie ma z tym nic wspólnego.

Cooley rozcemia³ siê.

- Cudownie! Lecz nauka mówi nam, i² szczęście jest wszêdzie - czy zdajemy sobie z tego sprawê czy nie. I obawiam siê, *ç*e w twoim przypadku widzê pewne oznaki niepowodzenia. Nawet nie tak bardzo ukryte, jak w niektórych rozwiniêtych przypadkach, nie zauwa²onych z powodu braku kontekstu.

Nie, pomyela³ Chaos, nie poddam siê tak ³atwo lokalnemu nonsensowi.

Cooley kontynuowa³ swój¹ mycel.

- Zastanawiam siê, czy mo²esz sobie pozwoliæ na pogorszenie swej sytuacji siedzeniem w przytulnym gniazdku z Edie?

- Wybaczcie - odezwa³a siê Edie, wstaj¹c. - Robi mi siê niedobrze.

- Co w³acciwie o mnie wiesz? - spyta³ Chaos.

- No c²ç, zobaczymy - na twarzy Cooleya ukaza³ siê nad wyraz szeroki uśmiech. - Po pierwsze, jest samochód, który zostawi³e na autostradzie. Przypadkowo nie dzia³aj¹cy samochód. Dok¹d byæ nim zajecha³? Kiepska sprawa, jeżeli chodzi o to, dlaczego przesta³ dzia³aæ. Powiedzia³bym, *ç*e stracia w ten sposób auto to naprawdê pech, albo i naukowy cud. A potem ta twoja biedna, zszpecona dziewczynka; chocia², przynajê, ca³kiem dobrze to znosi, jeżeli wzi¹a pod uwagê wszystkie okolicznoœci. A wreszcie i twoje imiê. Chaos. Nie jest prawdziwe?

- S¹dzê, *ç*e nie.

- I nie pamiêtasz tego prawdziwego, co?

- Nie.

- Nie pamiêta swego imienia - w moim senniku oznacza to pech. Ale jest wiêcej rzeczy, jakich nie pamiêtasz, pochodz¹cych ze snu. Kobieta, o któr¹ siê martwisz.

Chaos drgn¹³. Czyjego sny wyciekaj¹ a² tak daleko? Unika³ wzroku Edie.

- Mam ci¹gn¹aæ dalej? - spyta³ retorycznie Cooley. - Moim zdaniem przyby³e z tak popierdolonego miejsca, *ç*e wszystkie swoje problemy traktujesz jako c²e normalnego. S¹ takie okolice daleko st¹d.

Chaos milcza³.

- Uwagam, *ç*e wyrazi³em siê jasno. Oczywiście, jedn¹ z twoich najbardziej pechowych ocie²ek, chocia² jeszcze o tym nie wiesz, stanowi ta, która przywiod³a ciê do Edie. To największy niefart, jaki mo²esz sobie wyobraziæ. Nie macie sobie do zaoferowania nic oprócz k³opotów.

- Rzygaæ mi siê chce - rzek³a Edie i wysz³a do kuchni.

- Nie twierdzê, *ç*e nie wolno ci tu zamieszkaæ. Id² na test. Mam wra²enie, *ç*e go zdasz; przynajmniej na tyle pomyêlnie, aby tu zostaæ. Wasze indywidualne pechy s¹ niebezpieczne tylko wtedy,

gdy się po³cz¹.

Chcesz Edie. Chaosa kusi³o, żeby to powiedzieć. Jeżeli to pech, to tak samo mój, jak i twój.

- Nie wierzę w szczęście - powiedzia³ g³oceno.

- Nie? - Cooley wsta³ i podniós³ marynarkę, przybieraj¹c boleściwy wyraz twarzy. -

Powiedzia³a ci o Davie?

- Co? - Chaos poczu³ zmieszanie. - Co z nim?

- Zapytaj j¹.

- Co...

- Pogadamy pó³Yniej. Trzymaj się.

Cooley wyszed³ po³piesznie. Chaos s³ysza³, jak uruchamia silnik samochodu, a potem z warkotem odjeżdża w noc. Kiedy d³więk zamar³ w oddali, w domu sta³o się bardzo cicho.

Znalaz³ Edie w kuchni; siedzia³a za sto³em ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i z zadart¹ g³ow¹ wpatrywa³a się w sufit.

- Jest co³e, co powinnam ci powiedzieć - rzek³a po chwili. - To pozwoli ci wyrobić sobie pogl¹d na lana.

- Mów.

- Przychodzi³ do mnie w czasie tego ca³ego zamieszania.

Mówi³, że jeżeli by³abym z nim... to moje sprawy nie potoczy³yby się tak ³le.

- Mogę to sobie wyobrazić - mrukn¹³ Chaos.

- Jest bardzo pewny swego powodzenia. Twierdzi, że to, co dostaje w departamencie szczęścia, pokryje z nadwy¹k¹ wszystko, czego mnie brakuje. To s¹ jego w³asne s³owa. Mówi, że za każdym razem, kiedy poddaje się testowi, osi¹ga coraz lepsze wyniki.

- Ale mimo to nie chcesz go?

- Nienawidzę tego dupka.

Chaos widzia³, że tak naprawdę by³o to nieco bardziej skomplikowane. Chcia³a nienawidzić Cooleya, ale tak do końca nie potrafi³a. Przypomnia³o mu to jego relację z Kelloggiem.

Nie macie sobie do zaoferowania nic oprócz k³opotów, powiedzia³ Cooley. I prawdopodobnie mia³ rację, ale nie z powodu szczęścia czy jego braku. Chaos nie mógł³ tutaj zostać i pozwolić, aby miejscowe problemy zapuściły w nim korzenie. Ale, w takim razie, jak mógł³by pomóc Edie odzyskać powodzenie? Co mógł³ zaproponować kobiecie, której problemu nie potrafi³ nawet poważnie potraktować?

Jeżeli chodzi³o o niego samego, to nie by³ pewien, czy mia³ problemy; w każdym razie nie w tym sensie. W jego życiu by³o zbyt wiele luk. To cęwiat by³ w tarapatkach, a on tylko ich do³ewiadcza³.

A może to Gwen stanowi³a jego podstawowy k³opot? Towarzyszy³a mu wszędzie, bez względu na to, ile granic przekroczy³. Ale w sprawie Gwen Edie raczej nie mog³aby mu pomóc.

- Powiedzia³ mi, żeby³ zapyta³ cię o Dave'a - przypomnia³ sobie.

- Wiedzia³am - stwierdzi³a cicho.

- Co mia³ na myce³? Westchnę³a.

- Dave jest chory.

- Chory?

- Na nerki. Urodzi³ się z defektem. Jakie³ rok temu przesta³y pracowa³. Jego ojciec da³ mu jedn¹; musia³ to być dawca blisko spokrewniony - ja, Ray lub Gerald. Teraz obaj maj¹ tylko po jednej nerce. Jednak nie ma w tym nic niezwyk³ego. Takie rzeczy się zdarzaj¹.

Chaos podszed³ i po³o³y³ d³oń na jej szyi.

- Chce cię przekona³, że stanie ci się coś z³ego, gdyby³ ze mn¹ zosta³ - stwierdzi³a. - Jak Geraldowi lub Dave'owi.

- Jest zazdrosny. Skinę³a g³ow¹.

- Nie obchodzi mnie to. Moż³e nadal mnie dręczy³, jeżeli chce, tak d³ugo, dopóki nie zostaną odes³ana do obozu dla pozbawionych szczęścia. To okropne miejsce. Wszyscy poruszaj¹ się bardzo ostro³nie, ca³y czas rozmyślaj¹c, kto nagle potknie się o w³asne nogi lub zad³awi kanapk¹. Zabi³abym się.

- Tak nie bę³dzie - powiedzia³ Chaos. - Nie pójdziesz tam. Zastanowi³ się, co mia³ na myce³.

Zasnę³li razem na sofie, tak się uk³adaj¹c, że w¹skie poduchy im nie przeszkadza³y, ale przed ce³witem Chaosa obudzi³ ha³asuj¹cy na zewn¹trz domu motocykl. Pokój p³on¹³ i ó³tym ce³wiat³em. Podniós³ g³owę i nas³uchiwa³ przez chwilę, podczas gdy silnik zawy³ i zaraz zamar³. Zamkn¹³ ponownie oczy i przytuli³ twarz do w³osów Edie. Us³ysza³ kroki na werandzie. Kto³e cicho zapuka³ do drzwi.

Wsta³ i w³elizn¹³ się w ubranie, myśle¹c: czy to mój pech czy jej?

Otworzy³ drzwi i poczu³ zapach dymu z papierosa. S³ońce wznios³o się w³acenie ponad dach stoj¹cej po drugiej stronie ulicy fabryczki, a rozci¹gaj¹ce się za ni¹ niskie wzgórza skrywa³a mg³a. Na skraju werandy, zwrócony plecami do drzwi, siedzia³ jakie³ cz³owiek w czarnej skórzanej kurtce i jaskrawoczerwonym motocyklowym kasku na g³owie. Mę³czyzna rzuci³ niedopa³ek na pokryty ros¹ trawnik i odwróci³ g³owę.

- Cze³e, Everett - powiedzia³. - Obudzi³em cię?

- Billy - rzek³ Chaos; nazwisko tego cz³owieka mia³ w pamięci: Billy Fault.

Billy wyszczerzy³ się rado³enie, wsta³ i wyci¹gn¹³ rękę. Chaos gapi³ się na niego. Oczy osadzone zbyt blisko siebie, zbyt w¹skie czo³o, ucemi³ch ods³aniaj¹cy dzi¹s³a. Musia³by³ mieć powody, aby przyja³nia³ się z kim³ takim; ten cz³owiek nie dostarcza³ ani jednego. Chaos podejrzewa³, że w przesz³oeci istnia³y po temu jakie³ przyczyny. Widzie³ go ponownie, to jakby dwa razy znale³æ na pla³cy ten sam dziwacznie wygl¹daj¹cy kamyk.

- W końcu wiem, że spa³ece. Tylko dzięki temu mog³em cię znale³æ. Mam na myce³ twoje sny.

- Sny? - Chaos nie chciał tego usłyszeć.

- Taaa... Odbieram je od paru nocy i w końcu doprowadzi mnie na twój celad.

- W jaki sposób?

- Po prostu włączym się do nich, Everett. To jak dostroić radio do odpowiedniej stacji.

Jestem w tym dobry, wręcz superczłowiek. Chociaż zabrano mi to cała noc.

- Skąd przyjechał?

- Z San Francisco, jak zawsze.

- Jak zawsze kiedy?

- Nadal tam jesteśmy, Everett. Wszyscy prócz ciebie. A ty w tym Fuckaduck? - przepraszam, w Vacaville. „Wszyscy oprócz ciebie”. Kogo miał na myśli? Gwen?

- ..nie mogłem się dostać do tego miejsca - cięgnię Fault. - Wszystkie te stare samochody to jakby dawny, podmiejski koszmar z odcinka „Twilight Zone”. Gli-gli, gli-gli... - poruszy palcami przed twarzą Chaosa. - Od dawna tutaj jesteśmy?

- Nie - odparł Chaos. - Jak daleko stąd do San Francisco?

- Około godziny jazdy - rzekł Fault. - Jednak to całkiem inny świat, sam zobaczysz.

Przyjedziesz, prawda?

- Nie wiem.

- Cale spodziewa się ciebie - przerwał, badając wyraz twarzy Chaosa. - Pamiętasz Cale'a, Everett?

Cale Hotchkiss. To nazwisko także było w jego pamięci.

- Tak - potwierdził.

- To dobrze - powiedział Fault i znowu się wyszczerzył. - Ty i Cale macie trochę do odrobienia.

Słuchaj, może się ze mną przejedziesz? Jest tu facet, którego chcę odwiedzić.

- Dobra - odrzekł Chaos.

W tym momencie na werandę wszedł Edie; w szlafroku, mrugając z powodu światła.

- Edie - powiedział Chaos nerwowo. - To jest Billy, mój stary przyjaciel z San Francisco.

- Cześć - odezwał się Edie, patrząc na przybysza.

- Cześć - odparł tamten.

- Wychodzimy na chwilę - wyjaśnił Chaos. - Wracaj do domu, jeżeli chcesz. Niedługo będę z powrotem.

Teraz spojrzaj na Chaosa. Wzrok miał badawczy, ale powiedział spokojnie:

- Okay. Do zobaczenia później.

- Dobra, w porządku - stwierdził Chaos.

Fault zapalił kolejnego papierosa i zszedł po schodach werandy.

- Pamiętaj, dzisiaj się przeprowadzam - przypomniał mu Edie.

- Bêdê z powrotem przed po³udniem - odpar³.

Poszed³ za Faultem do motocykla i usiad³ na tylnym siode³ku.

- Staram siê odwiedzaæ tego faceta, ilekroæ jestem w pobliżu - powiedzia³ Billy, kiedy grzmie³ silnikiem, pêdzili okr¹aj¹c¹ miasto autostrad¹. - Za ka³dym razem myœlê, że widzê go po raz ostatni, jednak on wci¹¿ żyje. Dawniej, w latach szeœædziesi¹tych, chcieli go pos³aaæ na krzes³o.

- Co?

- By³ wówczas s³awny, wpl¹tany w sprawê o morderstwo, chocia¿ go nie pope³ni³. Twierdzili, że jego dziewczyna zabi³a prezydenta. Stanowi³ klasyczny przyk³ad koz³a ofiarnego, mówi³ ludziom rzeczy, których nie chcieli s³uchaæ. Nigdy nie odniós³ korzyœci z wyprzedzania swoich czasów.

- Wówczas? - spyta³ Chaos.

By³o to jedyne pytanie, jakie mógł zadaæ. Wiatr wyciska³ mu z k¹cików oczu cieniutkie strumyczki ³ez.

- Wiesz - powiedzia³ Fault. - Wczeciej, zanim zmienili³y siê wszystkie regu³y.

Przelecia³ obok kilku samochodów na obwodnicy i zjecha³ z niej na przeciwnym krańcu miasta w ulicê pe³n¹ opuszczonych barów szybkiej obs³ugi. Zwolni³ przy tablicy reklamowej polecaj¹cej szumnie: ZAGUB SIÊ W NAJWIÊKSZYM LABIRYNCIE ŒWIATA! Zahamowa³, wy³czy³ silnik i postawi³ motocykl na podnó¿ku.

- Tutaj mieszka.

- W labiryncie?

- Taaa... Jest jedynym facetem w okolicy, który nie musi siê ca³y czas przeprowadzaæ.

- Spotka³em jeszcze jednego. Mieszka w windzie - powiedzia³ Chaos.

Fault podniós³ brwi.

- Vacaville s³ynê³o z dwóch rzeczy - ze szpitala dla umys³owo chorych i labiryntu. Lucky przebywa³ w obu tych przybytkach.

- Nigdy wczeciej nie s³ysza³em o tym labiryncie.

- Wzorowali go na japoñskim, który stanowi³ tam najwiêksz¹ atrakcjê turystyczn¹. Ludzie przybywali z ca³ej Japonii, by siê zagubiaæ w jego gigantycznym wnêtrzu. Ale po przeszczepieniu na nasz grunt nie sprawdzi³ siê. S¹dzê, że by³ potrzebny w Japonii, gdzie wszystko jest schludne i porz¹dne. W Ameryce ludzie czuli siê zagubieni nawet przed zmianami.

Ameryka. Chaos pamiêta³ takê i tê nazwê. Obejmowa³a wszystko - Wyoming, Kaliforniê, Utah i ca³e mnóstwo innych terenów. To nie by³o tylko drugie s³owo w „Ma³ej Ameryce”. To by³a Wielka Ameryka, naprawdê tak wielka, że nie musieli jej w ten sposób okreœlaæ.

- Kiedy nadesz³y zmiany, Lucky z kilkoma innymi facetami uciekli ze szpitala i ukryli siê w labiryncie. Inni odeszli, ale Lucky nigdy o tym nie pomyœla³. S¹dzi, że nadal jest s³awny.

A prawda jest taka, że nikt by go nawet nie pozna³. Przesta³em ju¿ mu to tłumaczyæ.

Fault poprowadzi³ ich przez jaskrawo pomalowane, karnawa³owo ustrojone wejście do pierwszej komory labiryntu. Wysokie ściany pokrywa³o graffiti, niektóre obrazki niezrozumia³e, inne obsceniczne. Billy szed³ wiedziony kilkoma czerwonymi strza³kami, wymalowanymi sprayem, i Chaos, id¹c za nim, straci³ wkrótce orientację.

- Lucky! - zawo³a³ Fault.

Chaosowi cisn³ę się na usta różne pytania, ale nie wiedzia³, od którego ma zaczą¹ć. Chcia³ zapyta³ę Faulta o zmiany, chcia³ spyta³ę o Gwen. To Everett by³ tym, kogo Gwen kocha³a w snach, więc jeceli naprawdę Chaos mia³by okaza³ę się Everettem...

Na razie stara³ się o tym nie myśle³ć.

Skręcili za róg i w pozbawionej dachu części labiryntu znale¹li Lucky'ego, który, le¹c w cieniu na plastikowym materacu, czyta³ pozbawione ok³adek kieszonkowe wydanie jakiejś ksi¹żki i mruca³ przy tym g³łośno. Podniós³ na nich wzrok i uśmiechn¹³ się, ukazuj¹c usta pełne szarych, zniszczonych zębów. Twarz mia³ ogorza³¹ i pomarszczon¹, okolon¹ frędzlami rzadkiej brody. Ubrany by³ w ³achmany.

- Witaj, Lucky - powiedzia³ Billy.

Sięgn¹³ do swego skózanego plecaka, wyj¹³ kilka puszek jedzenia i wręczy³ je wychud³ej postaci. Lucky usiad³ prosto na materacu i przeczyta³ etykiety, a potem rzuci³ konserwy na stos rupieci pod zardzewia³ym karcianym stolikiem.

- Co porabiasz? - spyta³ Fault.

Lucky wzruszy³ ramionami i uśmiechn¹³ się ponownie.

- W ogóle nic nie robię.

- Ale utkn¹³ę tu na dobre.

- Wcale nie utkn¹³em - powiedzia³ Lucky i zachichota³. - To oni chc¹ mnie usadzi³ć, Jack, z ca³ego serca tego pragn¹. Nie, po prostu siedzę w tym labiryncie, staraj¹c się, aby deszcz nie kapa³ mi na brodę, a gliny trzyma³y się ode mnie z daleka. Kim jest twój kumpel, Jack?

- Na imię ma Everett.

- Everett, hmmm. - Lucky przeczes³ palcami brodę, najpierw w zamyśleniu, a potem tak, jakby znalaz³ w niej wesz; zdawa³o się, że ma zamiar co³e powiedzie³ć, ale chwila przeci¹ga³a się i przeci¹ga³a.

- Lucky... - zaczą¹³ Fault.

Stary cz³owiek wyprostowa³ się nagle i zagapi³ na Chaos.

- Po co tu przyjecha³ę? - zapyta³.

- Co?

- Po co tu przyjecha³ę, Everett? Co, do diab³a, robisz w Vacaville?

- Everett pozostawa³ przez jakiś czas na uboczu spraw - odpar³ Billy. - Wraca do miasta, aby spotka³ę się ze starymi przyjació³mi, nawi¹za³ć ponownie kontakty...

- Czemu nie pozwolił temu facetowi mówić za siebie, Jack? - Lucky machnął niecierpliwie ręką. - Nawiązać kontakty... Taaa, taaa... Skąd jesteś, Everett?

- Mieszkałem na pustyni - odparł Chaos.

- Och, mieszkałem na pustyni - Lucky odwrócił się do Faulta. - To nie jest pozostawanie na uboczu spraw. To jest pozostawanie na pustyni.

- Nic takiego nie myślałem - powiedział Billy.

- Taaa... Wiem, to jest właściwy problem. Nie myślałem - odwrócił się znowu do Chaosa. - Nie jedź z tym narwanym. To nie jest łatwe, wrócić z pustyni. Ja to wiem, człowieku. Kiedy przyjedziesz do miasta, nikt cię nie będzie rozumiał. Nikt, oprócz ciebie, nie będzie miał za sobą pustyni.

- Ale Everett pochodzi z miasta - wyjął Fault. - Wraca do swoich przyjaciół.

- To nie z powodu przyjaciół - stwierdził Lucky. - No nie?

- Nie wiem - wyznał Chaos.

- To z powodu kobiety, prawda? Szukasz kobiety. O to chodzi, dlatego Everett wraca do miasta. Mam rację?

- Nie wiem - powtórzył Chaos.

- Śluchaj, Lucky - wtrącił się Billy. - Musimy iść.

- Taaa... - mruknął Lucky. - Ty zawsze musisz iść. Zobaczymy się później, człowieku.

Zanim skręcili za róg, ponownie byli przy swoich księżkach.

- Przepraszam za to - powiedział Fault podczas powrotnej drogi przez labirynt. - Nie zawsze zachowuje się tak dziwnie.

- Nie ma sprawy - odparł Chaos, cięgle pełen nie zadanych pytań.

Prawie się zastanawiał, czy nie leży nadal na kanapie z Edie, o tym wszystkim. Ten labirynt wydawał się wystarczająco dziwny, by stanowić sen Kellogga. Ale kiedy wrócili do motocykla i ujrzał wzgórze za Vacaville, wiedział, że nie oeni. Albo raczej, że jego sny i życie szły w końcu ręką w rękę.

- Billy? - odezwał się.

- Taaa...

- Kiedy to się stało? Chodzi mi o zmiany.

- Kilka lat temu.

- A co się wydarzyło?

Fault wyszczerzył się, ponownie ukazując dziś.

- To dobre pytanie, Everett. Zasadniczo można powiedzieć, że wiele dawnych związków pomiędzy sprawami ulotniło się, co dało ludziom szansę na wymyślenie nowych. Ale te nowe nie zawsze się przyjeły. Tak czy inaczej, to jest moja wersja. Ludzie tacy jak Cale mają dużo bardziej skomplikowane teorie na ten temat.

- Ale była jakże katastrofa.

- Osobicie nie uznabym tego za katastrofê...

- Jest mnóstwo rzeczy, których nie pamiętam, Billy. Fault wyglada na zniecierpliwionego rozmowca.

- Jestem głodny - powiedzia i poklepa tylnie siodeko. - Chcesz co zjeść?

- Jasne - stwierdzi Chaos i wsiał na motocykl.

Pragn wrócić do Edie i Melindy na czas przeprowadzki, ale również czuć głód. Chcia także ponownie przejechać się na Rotorze, pragn poczuć wiatr. Tak naprawdę to miał ochotę na przejazd motocyklem Faulta, ale bez Faulta. Nie zaproponował tego jednak.

W Vacaville Mali stanęli w kolejce do jednego z bankomatów. Fault był uzbrojony w trefną kartę bankową. Poprowadził ich do centrum miasta, bo zdawało mu się, że będzie to odpowiednie miejsce, ale ociecali tutaj na siebie mnóstwo spojrzeń ludzi w samochodach, na chodnikach i na parkingu centrum handlowego. Do tej pory Chaos nie widział w Vacaville żadnych innych motocykli i czuł, że rzucają się w oczy.

Billy wyłudził forsy od urzędnika i poprowadził Chaosa do Palmer O'Brian, restauracji nazwanej tak na cześć postaci, którą Chaos widział u Edie w telewizji - pewnego piosenkarza stylu rockabilly, który stał się niezależnym członiem rzdu. Wewnątrz, za barem, rozkwitał olbrzymi plakat O'Briana z gitarą. Menu, które Chaos i Fault znaleźli wydrukowane na laminowanych podkładkach w ich boksie, proponowało Jajecznice O'Briana, Klubowe Kanapki Palmera i Gorący Obiad O'Briana, wszystko ulubione potrawy bohatera. I rzeczywiście, jadał tutaj, albo jadł przynajmniej raz - ociany pokrywał kilkanaście oprawionych w ramki zdjęć O'Briana, siedzącego w rozmaitych boksach lokalu i wizytującego w kuchni wdzięcznych się pomywaczy. Restauracja była pełna ludzi, ale panowała w niej cisza i kiedy usiedli, Chaos poczuł ciężar skupionej na nich uwagi. Czy to ich nieznanym mieszkańcom twarze, czy też coś w zachowaniu Faulta mówiło im, że s tu obcy? Dwa dni wcześniej Chaos nie ociecał na siebie zbyt wielu spojrzeń, ale wówczas znajdował się w towarzystwie Edie. Kiedy podeszła do nich kelnerka, aby przyjąć zamówienie, miał wrażenie, jakby cała restauracja nastawiła uszu, słuchając, co zamówi.

Chaos poprosił o kanapkę z szynką. Fault studiował menu, pozwalając, aby dziewczyna czekała; potem zachichotał do siebie.

- Nie wiem - powiedzia, podnosząc wzrok. - Nie widzę tutaj...

- Tak? - spyła niecierpliwie kelnerka. Była młoda i z natury nadłšana.

- Mogłabyś mi przynieść Gówe Palmera O'Briana Na Tacy?

W sali zrobiło się tak cicho, że Chaos słyszał ludzi unoszących się na swoich miejscach, aby odwrócić się i popatrzeć na Billy'ego. Kelnerka cofnęła się i skrzywiła z niesmakiem.

- Artowcem - powiedzia Fault, nadal chichocząc. - Weźm to, co on...

Ale dziewczyna już odeszła i nie było jasne, czy go słyszała. Z pewnością niczego nie

zanotowa³a, o³ówek mia³a nadal za uchem. Fault rozpar³ siê w boksie i wykrzywi³ szyderczo.

- Pieprzona cielêcina - powiedzia³ Billy pod adresem kelnerki. - Nie zamieszka³bym w tym miejscu, choæby mi za to p³acili. Wszyscy s¹ zakochani w tych fa³szywych bo¼kach, gwiazdach mydlanej opery...

Jego g³os nie by³ wystarczaj¹co cichy. Kiedy ludzie zaczêli s³uchaæ, rozmowy zamar³y. W odpowiedzi Fault zamucza³ jak cielê, ju¿ teraz ca³kiem g³oœno.

- Billy - odezwa³ siê Chaos ³agodnie - mo¿e powinniœmy poszukaæ innego miejsca?

- Nie ma mowy - odpar³ Fault. - Jestem g³odny.

Teraz znaleŹli siê w centrum uwagi. Kiedy kelnerka pojawi³a siê ponownie z talerzem, ca³a restauracja œledzi³a wzrokiem, czy pójdzie do ich stolika, a gdy postawi³a przed Chaosem samotn¹ kanapkê z szynk¹, rozleg³ siê szum szeptów. Chaos usi³owa³ za³agodziæ sprawê, przesuwaj¹c talerz na œrodek sto³u: sandwich zosta³ przeciêty na p³. Ale Fault odepchn¹³ go.

- Gdzie jest moje zamówienie? - zapyta³ g³oœno. Kelnerka odesz³a.

- Cholera - powiedzia³ Billy.

Odwróci³ siê i wykrzywi³ do ludzi za jego plecami. Chaos u³ rozpaczliwie róg trójk¹tnej kanapki; g³ód dawno mu min¹³.

Fault ponownie zamucza³, a potem ostentacyjnie opró¿ni³ na stolik zawartoœæ kieszeni swojej czarnej kurtki. Wy³o¿y³ strzykawkê i fiolkê ze szklan¹ zatyczk¹, po czym zanurzy³ ig³ê we flakoniku, naci¹gn¹³ jego zawartoœæ do szprycy i podwin¹³ rêkaw.

Siedz¹cy naprzeciwko nich mê¿czyzna siêgn¹³ szybko do kieszeni p³aszcza, wyj¹³ bloczek mandatów oraz pióro i zacz¹³ gryzmoliæ, jakby parodiowa³ przyjmuj¹c¹ zamówienia kelnerkê. Potem, jak na komendê, piêcioro czy szeœcioro innych ludzi wyszarpnê³o identyczne ksi¹¿eczki i zaczê³o na wyœcigi wype³niaæ bloczki mandatowe. Fault tylko siê gapi³. Pierwsi, mê¿czyzna i gruba kobieta z puco³owatym synem, zerwali siê jednoczenie i wyci¹gnêli do Billy'ego wype³nione kwity.

- Ja by³am pierwsza - powiedzia³a szybko kobieta, wyskakuj¹c przed mê¿czyznê.

- Nie. Ja ich ujrza³em wczesniej - odpar³ tamten napiêtym g³osem.

- Wszyscy ich widzieliœmy - stwierdzi³a kobieta. - To siê nie liczy. Wszyscy dostrzegliœmy ich w chwili, gdy tutaj weszli.

Rzuci³a mandatem w Faulta, który klepa³ siê w przedramiê w poszukiwaniu dobrej u³y³y.

- By³oby lepiej, gdybyœ to wzi¹³ - rzek³a. - Mogê wypisaæ ci kolejny, za odmowê przyjêcia poprzedniego.

- WsadŹ to sobie, paniusiu - Billy wk³u³ siê w u³y³ê.

- Przestañ - odezwa³ siê mê¿czyzna, który, jeœli chodzi o wypisanie mandatu, zosta³ daleko w tyle i da³ sobie z tym spokój. - Nie mo¿esz tego tutaj robiæ.

- Lepiej weŹ mandat i znikaj - poradzi³a kobieta.

- Nie s'dzê, aby mia³o to jakieœ znaczenie - stwierdzi³ Fault; od³o¿y³ strzykawkê na stolik. - Nie jestem st¹d, rozumiecie? A tam, sk¹d pochodzê, ludzie nie ganiaj¹ w k³³ko, wrêczaj¹c jeden drugiemu upomnienia.

- Dajcie to jemu - odezwa³ siê mê¿czyzna z boksù za plecami Billy'ego, wskazuj¹c na Chaosa. - Mieszka tutaj. To on go tu przyprowadzi³. Powinien lepiej wiedzieæ, o co chodzi.

- Jasne - stwierdzi³a kobieta radoœnie. - Ty to weŸmiesz.

Wrêczy³a mandat Chaosowi, który wzi¹³ go i schowa³ do kieszeni. Pragn¹³ st¹d wyjœæ, ale czu³ siê sparali¿owany. W tym momencie zjawi³a siê ponownie kelnerka, w towarzystwie wysmarowanego t³uszczem kucharza, który stan¹³ za ni¹, patrz¹c groŸnie na k³opotliwych goœci.

- Wynoœcie siê - powiedzia³a dziewczyna.

- Pieprzê ciê - odpar³ Fault.

- Wezwa³am rz¹d - poinformowa³a go. - S¹ ju¿ w drodze. Bêdzie ci bardzo przykro, je¿eli nie wyjdiesz. Natychmiast.

- Nie wyjdê, póki nie dostanê swojej kanapki. Albo dopóki nie sprowadzisz tu Palmera O'Briana w jego w³asnej postaci.

- To prawdopodobnie da siê za³atwiæ - warkn¹³ kucharz. - Ale nie bêdziesz siê d³u¿ej œmia³, kiedy do tego dojdzie.

- Bardzo dobrze, bo chcê, ¿eby Palmer OTierdolony Brian przyniós³ mi mojego sandwicza i zaoœpiewa³ serenadê, kiedy bêdê jad³ - zadrwi³ Fault. - To by dopiero by³a sztuczka.

- Okay, dupku - powiedzia³ kucharz, odsuwaj¹c na bok kelnerkê i chwytaj¹c Faulta za ko³nierz.

Wytarga³ go z boksù i popchn¹³ do wyjœcia. Chaos wzi¹³ motocyklowy kask Billy'ego, pozostawiaj¹c na stoliku ampu³kê i strzykawkê, po czym ruszy³ za kucharzem i Faultem do frontowych drzwi restauracji. Mê¿czyzna, który pierwszy wypisa³ mandat, kelnerka oraz parê innych osób posz³o za nim. Na zewn¹trz wok³³ Billy'ego i kucharza zebra³ siê t³umek gapiów.

- Zap³aæ - powiedzia³ kucharz, wskazuj¹c kciukiem za siebie.

- Niczego nie zjad³em - zapar³ siê Billy. Splun¹³ na ziemie i wyzywaj¹co poprawi³ ko³nierz kurtki. Kilka osób pospiesznie wypisywa³o upomnienia.

- Nie weŸmie tego - ostrzeg³ jeden z gapiów. Ktoœ inny powiedzia³:

- Ten facet, który z nim przyszed³, mieszka z by³¹ ¿on¹ Geralda Bittera. Je¿eli nie wezm¹ mandatów, mo¿ecie pos³aæ je do niej.

Chaos przepchn¹³ siê obok kucharza i poda³ Faultowi jego kask.

- ChodŸmy - powiedzia³.

Billy ponownie splun¹³, ale kucharz nie zwa¿a³ na to, ktoœ próbowa³ bowiem wrêczyæ mandat jemu - za opuszczenie stanowiska pracy.

- ...s¹dzi, ¿e jest w telewizji - stwierdzi³a pogardliwie kobieta.

Incydent przerodził się w sprzeczkę pomiędzy zwolennikami Palmera O'Briana, którzy znajdowali się w restauracji, i pozostałymi ludźmi z ulicy, którzy widzieli tylko kucharza wyrzucającego Faulta z lokalu. Tym ekscytowała się wiadomość, że rzekł został wezwany: ale kto się zjawi? Ktoś twierdził, że widział samego prezydenta Kentmana. Chaos i Fault wymknęli się na parking.

Okazało się, że Billy nie zna drogi do domu Edie. Wyjacie, że trafił tam tylko raz, prowadzony przez sny Chaosa. Dotarli w końcu do jej domu, jadąc z powrotem autostradą na wschód i okrążając miasto, a potem zwracając dwa razy, aż Chaos znalazł właściwy wyjazd. Jegoznaczony różowo samochód został usunięty z miejsca, w którym go porzucił - stanowił zapewne coś, na co rzekł najwyraźniej nie mógł sobie pozwolić. Chaos pomyślał o Melindzie, o ich wspólnej podróży i poczuł wyrzuty sumienia.

Kiedy Fault zwołał przed frontem domu, Chaos spostrzegł, że coś było nie w porządku. Na miejscu samochodu Edie stał inny wóz, na werandzie leżał rozciągnięty biało-czarny świąteczny pies, który warknął na nich, kiedy zsiadł z motocykla.

- Cholera - powiedział Chaos.

- Co się stało?

- Dzień Przeprowadzki.

- Och, stary, przykro mi.

Chaos wszedł na stopnie werandy, pozwolił psu obwąchać swój dłoń i zapukał do drzwi. Kobieta, która się w nich pojawiła, była Murzynką w średnim wieku.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Chaos. - Ci ludzie, którzy mieszkali tutaj wcześniej...

- Tak?

- Widziała ich pani?

- Spytali się nieco z wyprowadzką, mówiąc szczerze W czym mogę panu pomóc?

- Czy była z nimi mała dziewczynka, taka cała porośnięta włosami?

- Tak. Ona i starsza od niej kobieta - Murzynka spojrzała podejrzliwie na Faulta i jego motocykl. - Ale kto o nią pyta?

- Nie wie pani, dokąd się przeniosły? Nie zostawiły żadnej wiadomości?

- Nie, przykro mi.

Kobieta zamknęła drzwi. Kiedy Chaos schodził ze stopni werandy, pod dom podjechał Cooley i zaparkował za motorem Faulta, a potem wysiadł i podszedł do niego. Chaos pocieszył się, aby ich oddzielić od siebie.

- Cześć, Chaos - powitał go Cooley. - Szukasz Edie?

- No cóż, w zasadzie...

- Wiem. Dopiero co ją widziałem. Bardzo się martwi, mówiła, że wyszedł z dawnym

przyjacielem. Powiedzia³em jej, ¿eby siê uspokoi³a, ¿e wrócê i ciê znajdê. To jest twój kumpel?

- Taaa... Billy...

- ³an. Mi³o ciê poznaæ.

- Taaa... - Fault potrz¹sn¹³ jego rêk¹.

- Sk¹d jesteœ?

- Z San Francisco - g³os Billy'ego zabrzmia³ trochê nerwowo.

- Doprawdy? Dawno tam nie by³em. Co ciê tutaj sprowadza?

Fault wskaza³ kciukiem na Chaosa. Mia³o to wygl¹daæ jak zwykle wyzywaj¹co, ale tym razem Billy sprawia³ wra¿enie onieciemionego.

- Starzy kumple, co? - w tonie g³osu Cooleya kry³o ciê coœ daj¹cego do myœlenia. - S³ysza³em, ¿e narobi³eœ w centrum nieco zamieszania?

Fault cofn¹³ siê o krok. Wygl¹da³ na przestraszonego. Chaos zastanawia³ siê, czy Billy jest uczulony na status Cooleya jako gwiazdy rz¹du, dostrojony do ideologii, jak wszyscy dooko³a? Z drugiej strony to nie mia³o sensu: Ian nie wygl¹da³ wcale bardziej imponuj¹co ni¿ kucharz z restauracji i nie mia³ poparcia t³umu.

- Trochê - przyzna³ Chaos za Faulta.

Nast¹pi³a chwila napiêtej ciszy, a potem Cooley rozcemia³ siê g³oœno. Billy gapi³ siê na niego, a potem tak¿e zachichota³, jakby chcia³ siê przypochlebne. Chaosowi przypomnia³o to nagle Edge'a.

- Trochê - powtórzy³ Cooley. - Dali wam mandat?

Wyci¹gn¹³ rêkê.

Chaos wyj¹³ kwitek z kieszeni i Cooley obejrza³ go dok³adnie.

- Dobrze, dobrze - przedar³ go na pó³, a potem jeszcze raz, i pozwoli³ skrawkom opaœæ w kurz drogi. - Nie pomog¹ Edie w tym momencie. Poza tym to nie by³a jej wina. Przynajmniej raz. Ani twoja, w tym wypadku. Z tym ¿e to twój pech sprowadzi³ do miasta tego gnojka.

- Co? - spyta³ Fault.

- S³ysza³eœ - powiedzia³ Cooley. - U¿y³eœ trefnej karty w bankomacie. Ukrad³eœ pieni¹dze ludziom, którzy tutaj ¿yj¹. Nie chcemy u siebie takich cwanych gówniarzy z San Francisco. Daj mi ten plastik.

Billy wrêczy³ Cooleyowi kradzion¹ kartê, a Ian schowa³ j¹ do kieszeni.

- W porz¹dku, motocyklisto. Chcê, ¿ebyœ wyniós³ siê z miasta zaraz po tym, jak podwieszysz swojego kumpla do nowego mieszkania Edie. Wiêc si¹dŹ sobie na chwilê na werandzie i poczekaj, a¿ zamieniê kilka s³ów z Chaosem.

Fault odszed³ w kierunku werandy, nawet nie mrugn¹wszy.

- Ty i Edie stanowicie doprawdy magiczn¹ kombinacjê. Chaos. Pech roœnie wyk³adniczo, wiesz? Je¿eli zamierzasz dodaæ do jej ¿ycia tak¹ furê niepowodzeñ, to chyba by³oby lepiej, ¿ebyœ

nastawi³ swój radar i znikn¹³. Naucz się wyczuwać k³opoty, zwłaszcza takie jak te, na mil⁶ - zadar³ brod⁶ w kierunku Faulta.

- Gdzie jest Edie? - spyta³ Chaos.

- Dam ci jej nowy adres, Chaos, ale chc⁶ co⁶ w zamian. Przyrzeknij, że w poniedział³ek rano przyjdiesz na test.

- Znam drog⁶ do budynku, w którym mieszka Gerald - zauważy³ Chaos. - Zaczekam tam, aż Edie przyjdzie wzi¹æ ch³opców. Nie potrzebuj⁶ twojej pomocy.

- Nie rozumiesz. Uważasz, że szarpie⁶ za twój ³ańcuch, ale ja staram się pomóc. Mówi⁶, żeby⁶ dosta³ test, dosta³ mieszkanie i zarejestrowa³ się. Zapiszemy ci⁶ także do pracy. Chc⁶ tym samym powiedzie⁶ - witaj na pok³adzie, zostań na jak⁶o czas. Test jest sposobem, w jaki tutaj za³atwiamy swoje sprawy. Nie wszyscy ca³y czas ganiaj¹ w kó³ko i wariuj¹, Chaos. Nie ka⁶dy jest taki jak Edie. Odkryjesz to, jeżeli dasz temu szans⁶.

- Chcesz, żeby⁶m oszed³ od Edie.

- Okay, Chaos. - Cooley wyszczerzy³ z⁶by w szerokim uśmiechu. - Jak sobie życysz. Zamierzam da⁶ ci jej adres i postaram pomóc ustawi⁶ się w kolejce do testu, który - jeżeli zamierzasz zosta⁶ tutaj, z Edie czy nie - jest przymusowy; ty za⁶ sugerujesz, że zamiast tego wolisz spędzi⁶ noc z Geraldem. Wybieraj.

Chaos milcza³.

- Termin pracy Edie zosta³ przesuni⁶ty na poniedział³ek. Po drodze może podrzuci⁶ ci⁶ do mojego biura. Test trwa oko³o pó³torej godziny.

- Pomyśl⁶ o tym - mówi¹c to, czu³ się pokonany.

- Dobrze.

Cooley udzieli³ mu wskazówek, jak ma znale⁶ć Edie, i Chaos natychmiast poczu³ się oszukany; przeprowadzi³a się zaledwie kilka przecznic dalej.

- Nie chcia³bym by⁶ niemi³y... - ci¹gn¹³ Cooley.

- Tak?

- Ale po tym, jak ten skurwysyn zawiezie ci⁶ na miejsce, chc⁶, żeby st¹d znikn¹³.

Pojechali - Chaos i Fault w stron⁶ nowego mieszkania Edie, a Ian w przeciwnym kierunku. Kiedy tylko samochód Cooleya znikn¹³ z pola widzenia, Billy zacz¹³ mruzc⁶ pod nosem przekleństwa; Chaos nie zapyta³, dlaczego czeka³ z tym tak d³ugo.

- Musz⁶ się przespaa⁶ - stwierdzi³ Fault, kiedy podjechali Pod dwupiętrowy blok; Edie mieszka³a na samej górze. - Pozostan⁶ w okolicy.

- W porz¹dku - powiedzia³ Chaos.

Chcia³ i⁶æ na gór⁶ i zastanowi⁶ się nad ró⁶znymi sprawami.

- Wi⁶c pouk³adaj to sobie - ci¹gn¹³ Billy. - Jutro przyjad⁶ ci⁶ zabra⁶, okay?

- Co?

- Błędym oświetem, gdy miasto będzie jeszcze spa³o, więc nie wpadniemy na żadnego z twoich faszystowskich przyjació³. Po prostu wymkniemy się, kiedy będ¹ sobie parzyli porann¹ kawê.

- No cóż...

- Jedziesz do miasta, tak? Cale czeka na ciebie.

- Nie wiem jeszcze. Nie wiem w ogóle, co zrobiê - nie chcia³ opuszczać Edie, ale nie zamierza³ także zdawać testu szczêcia.

Nie będzie mu przeszkadza³o, jeżeli Fault wróci. Jeżeli nie będzie chcia³, to z nim nie pojedzie.

- Masz - odezwa³ się Billy.

Sięgn¹³ do swego plecaka i wydoby³ p³ask¹ kasetê.

- Cale chcia³, żeby ci to da³. Będziesz potrzebowa³ VCR, żeby to zobaczyć.

- VCR?

- Zapytaj Edie. Wbudowali to w większość tutejszych telewizorów, jak s¹dzê. Będzie wiedziać.

Chaos wzi¹³ kasetê. Fault zapali³ papierosa i przyj¹³ na motocyklu tak¹ póź, jakby, po rozmontowaniu go przez Cooleya, rekonstruowa³ w³acenie swój wizerunek buntownika. Zapi¹³ kask pod brod¹ i uruchomi³ silnik.

- Zobaczymy się jutro, Everett.

Everett. Chaos chwilami o tym zapomina³.

Zaniós³ imiê i kasetê na górê.

Tacema mia³a oko³o trzech minut. Pierwsze dwie i pó³ zajmowa³ Cale - Cale Hotchkiss - gadaj¹cy na zbliżeniu do kamery. Pierwsza rzecz, jak¹ powiedzia³, brzmia³a:

- S³uchaj, Everett. Pamiêtasz, jak mieliemy po dwanaście czy trzynaście lat i w³amaliemy się do wagonowni?

Chaos przypomina³ to sobie. Poszli torami do końca linii, do zajezdni, gdzie poci¹gi chroniły się na noc, z puszkami farby w sprayu, aby malować graffiti. Pokryli malunkami jeden wagon od góry do do³u, potem powędrowali do centrum, planuj¹c zaczekać, aż wtoczy się na stacjê, ale zasnêli na ³awce na peronie i przegapili go. Cale by³ jego najlepszym przyjacielem. Pytanie mia³o, oczywiście, zwolniać zapadkê jego pamiêci i spe³ni³o swoje zadanie. Z pewnościc¹ musia³ zacząć się przyzwyczajać do imienia Everett.

- Chcia³bym się z tob¹ zobaczyć - ci¹gn¹³ Cale. - Cieszê się, że wracasz. Jest coce, w czym mógł³byce mi pomóc, jak s¹dzê.

Przerwa³, patrz¹c ca³y czas w kamerê, a Chaos poj¹³, że powinien coce odpowiedziać. Twarz oraz g³os z tacemy by³y w jakiej sposób realniejsze niż ktokolwiek czy cokolwiek, co widzia³ od d³uższego czasu. Niemal mógł³ z nich poznać smak swego życia sprzed prze³omu.

- Masz rację, Everett - kontynuowa³ Cale. - We wszystkim, co mówi³e o tym, co siê dzie³o, mia³e racjê. Reszta jest tylko tym, co musisz zrobiæ, aby dotrzeæ z powrotem do tego sposobu widzenia spraw, kiedy mia³e dwanaæcie czy trzynaæcie lat.

Znowu przerwa³.

- Zmiana jest tajemnicza. Kiedy by³e m³ody, chcia³e wszystko odmieniaæ, pragn¹³e, aby œwiat rós³ wraz z tob¹. Teraz czêœciowo tak siê dzieje.

Chaos pragn¹³ wierzyæ, ¿e ten ciemnooki mê¿czyzna jest jego przyjacielem. Chcia³ wierzyæ, ¿e Cale potrzebuje go, ¿e mu go brak. I ¿e go zna. Chaos pragn¹³ byæ znany, znany w sposób, który pozwoli³by mu poznaæ samego siebie.

- Pogadamy, kiedy tu przyjedziesz - powiedzia³ Cale. - Nie chcê ciê zmuszaæ. Martwiê siê tylko, ¿e mo¿esz nie pamiêtaæ wystarczaj¹co wiele, aby wróciæ; ¿e bêdziesz blisko, a potem znowu odejdziesz.

Cale oderwa³ wzrok od kamery i ekran zbiela³. Potem pokaza³ siê nastêpny klip, bardzo krótki. Na tle czarnej kurtyny sta³a ubrana na czarno kobieta, tak ¿e ledwo by³o j¹ widaæ - tylko jej twarz i d³onie, poruszaj¹ce siê w statycznej mgle. Odrzuci³a w³osy i kamera podjecha³a bli¿ej. Kobieta by³a piêkna.

Pozna³ Gwen, a neutralna przestrzeñ, zamieszkiwana przez ni¹ na ekranie telewizyjnym, przypomina³a ciemniej¹cy pokój, w którym Chaos spotyka³ j¹ w swoich snach.

- Everett - mrugnê³a i spuœci³a wzrok. - Cale mówi, ¿e naprawdê tutaj jesteœ. Twierdzi, ¿e wie o tym z twoich snów - ale ja ju¿ wcale nie ceniê.

Podnios³a oczy i rozcemia³a siê do czegoœ poza kamer¹.

- Nie wiem, co powiedzieæ. Och, przyjedŸ i spotkajmy siê, okay, Ev? Chcia³abym ciê zobaczyæ. To wszystko, jak mi siê zdaje.

Kamera trzyma³a j¹ jeszcze kilka sekund, a potem ekran pobra³.

Edie pokaza³a wczesniej Chaosowi, jak obs³ugiwaæ magnetowid, a potem usiad³a na krzeœle i wraz z nim ogl¹da³a w milczeniu nagranie. Ale kiedy na ekranie pojawi³a siê Gwen, wsta³a i wysz³a do sypialni, zamykaj¹c za sob¹ drzwi. Melinda siedzia³a na pod³odze, krêc¹c siê nerwowo. Gdy Chaos wy³czy³ telewizor, zrobi³a kwacên¹ minê i zapyta³a:

- Sk¹d to masz?

- Da³ mi jeden facet - stwierdzi³ Chaos obojêtnie. - Facet, którego zna³em.

- Motocyklista?

- Tak.

- Co zamierzasz zrobiæ?

- Nie wiem - wsta³ i zapuka³ do drzwi sypialni, a kiedy Edie nie odpowiedzia³a, wszed³ do œrodka. Siedzia³a na skraju ³ó¿ka, obok stosu ubrañ.

- Ktoś zostawił stare ubrania - powiedziała. - Mogł pasować na ciebie. Musisz wyprać to, co na sobie nosisz.

- Słuchaj, nie powinieliśmy niczego brać.

- Ubrania są do wzięcia. Powinno się zabierać je ze sobą. Jeżeli pozostały, są twoje.

- Okay - zgodzi się. - Przymierz je. Dzięki. Podniosła się, patrzyła na niego nerwowo.

- Kiedy się przebierzesz, zostaw stare ciuchy w sieni. Wypiorę je i rozwieszę.

- Słuchaj, nie pojedę jutro do San Francisco.

- Wiem?

- Prawdopodobnie nie zdążę wyschnąć.

- Cuchnie - stwierdziła. - Upierz je albo wyrzuć.

Odwróciła się od niego i wyszła z pokoju. Poszedł za nią, mijając Melindę, która ponownie włączyła telewizor; weszli razem do kuchni.

Edie zaczęła inwentaryzować i przestawiać zapasy w lodówce oraz w szafkach, ale ze sposobu, w jaki to robiła. Chaos domyślił się, że już raz tego dokonała. Żadne z nich nic nie mówiło. Po kilku minutach wyjął pudełko krakersów i zaczęła je zjadać, smarując grubo masłem orzechowym z ręcznie opisanego, plastikowego pojemnika.

- O co chodzi? - spytał Chaos.

- Nie podobają mi się twoi nowi przyjaciele - powiedziała głośnie przez usta pełne krakersów.

- To nie są nowi, ale dawni przyjaciele.

- Wszystko jedno, nie podobają mi się, szczególnie ten poranny, jedyny rzeczywisty, Pan Skórzana Kurtka. Jest wstrętny, Chaos. I już zdążę wpakować cię w kłopoty.

Chaos nie chciał się sprzeczać na temat zalet Faulta; nie był pewien, czy Billy posiada choć jedno.

- Co masz na myśli, mówisz, że jedyny rzeczywisty?

- Dwoje pozostałych to tylko film - odparła. - W telewizorze. Są tacy, jak twoje sny. Nie słuchaj, aby byli realni. Pochodzą z twego wnętrza.

- To nie ma sensu, Edie. To była taśma.

- No cóż, wiele rzeczy nie ma sensu. Nauczyłam się nie wierzyć w to, co widzę w telewizji; to wszystko. Jacyś ludzie wmawiają ci, że są twoimi przyjaciółmi, a wszyscy wyglądają charyzmatycznie. Myślenie, że wiesz lepiej.

- To nie jest telewizja, a nagranie. Przedstawia ludzi, których znam, przemawiających do mnie z taśmy.

- Dla mnie to wygląda jak telewizja.

- Jesteś nierozsądna, Edie. Poza tym to nie ma nic do rzeczy. Muszę wyjechać, Ian mówi, że

muszê poddaæ siê jego testowi. Nie zostawi nas w spokoju, Edie. Zrobi, co bêdzie móg³, ¿eby nas rozdzielaæ.

Jej oczy sta³y siê du¿e i pe³ne nadziei.

- To nie jest wa¿ne, Chaos. Mo¿emy dogadaæ siê z ³anem...

- On jest z rz¹du, zrobi wszystko, co tylko chce. Trzyma siê na uboczu, bo myœli, ¿e ciê zdobêdzie. Je¿eli zostanê, zrujnuje twoje ¿ycie i nazwie to pechem. Zabierze ci dzieci.

Siedzia³a przez chwilê w milczeniu, a potem powiedzia³a czêœciowo do siebie:

- Starasz siê przedstawiaæ to tak, aby wygl¹da³o, ¿e to dla mnie odchodzisz.

- Nie...

- Tak. Powiesz mi, ¿e to dla mojego w³asnego dobra. A potem przyjdzie Ian i uzna to za kolejny dowód mego niepowodzenia. Jeœli wyjedziesz, po prostu utwierdzisz go w tym. Wszystko spadnie na mnie. Ian ma racjê.

- Nie. Je¿eli zostanê i poddam siê jego testowi, oboje bêdziemy musieli robiæ, co nam ka¿e.

Wyje¿d¿am, poniewa¿ nie wierê w szczêœcie.

- Czemu nie jesteœ szczery? Wyje¿d¿asz, poniewa¿ chcesz siê spotkaæ z t¹ kobiet¹.

S³owo „kobieta” zawis³o miêdzy nimi, dzwoni¹c nieprzyjemnie w ciszy. Chaos nie by³ w stanie wymyœliæ niczego, co by to zag³uszy³o.

- W porz¹dku - odezwa³a siê Edie. - Musisz siê przeko

naæ. Nie mo¿esz siê tylko zastanawiaæ. Rozumiem, musisz odejœæ - zawaha³a siê, a potem doda³a: - Tak czy inaczej, nie potrafiê dalej ¿yæ z twoimi snami. Czujê siê tak, jakbym spa³a z ni¹.

- Tu nie chodzi o Gwen - powiedzia³ Chaos. - Tu chodzi o mnie; o to, kim wczêœniej by³em.

- Okay - zjad³a kolejnego krakersa. - Nie chcê wiêcej o tym mówiæ.

Czu³ siê pobity, mimo ¿e osi¹gn¹³, co chcia³.

- A co z Melind¹? - spyta³a.

- Czy mo¿e zostaæ z tob¹?

Nie chcia³ dalej ci¹gn¹æ ze sob¹ dziewczynki, a Edie mog³a to przyj¹æ jako gwarancjê jego powrotu. Nie wiedzia³, czy tak by³o w istocie.

Zawaha³a siê, a potem powiedzia³a:

- Dobrze.

Ale Melind¹ sta³a ju¿ w drzwiach kuchennych. Telewizor gra³ w pokoju.

- Ty draniu - stwierdzi³a. - Jedziesz spotkaæ siê z t¹ dziewczyn¹.

- Nie bêdzie mnie dzieñ lub dwa - odpar³ niezrêcznie.

- I co, myœlisz, ¿e chcê z tob¹ jechaæ? - oczy mia³a wilgotne, ale w jej gro¿nej minie nie by³o ani œladu s³aboœci. - Ty kutasie! Jesteœ dok³adnie taki sam jak Kellogg, z tymi twoimi g³upimi snami. Nienawidzê ich.

Tej nocy Melinda i Edie spały w dwóch osobnych sypialniach, a Chaos siedział w living roomie, oglądając telewizję, a zasnął przy włączonym odbiorniku. Obudził go oświetlenie słoneczne oraz ryk uruchamianego pod domem silnika motocykla Faulta.

Everett przypomina sobie San Francisco. Fault wiozł go przez miasto dużą drogą, przez Submission District, zanim wspięli się na wzgórze No Alley. Ulice Submission okazały się ruchliwe i zatłoczone. Płonące zasilane z baterii słonecznych neony, chodniki kipiały od ulicznych sprzedawców, a jezdnie wypełnione były zwierzętami, pojazdami i pieszymi. Wąwozowate kolumny parowych stali przed kubikami swych urzędników, połując na chętnych na piętnastominutowy seans. Klienci tańcerzy tłoczyli się ramię w ramię z pijakami, dziećmi i kieszonkowcami, oraz z pijanymi kieszonkowcami kradnącymi dziećmi i pijanymi dziećmi. Na wpół ubrani osobnicy po zmianie poci wychylali się z okien nad sklepami, wrzeszcząc do siebie przez szerokość ulicy. Strumień ulicznego ruchu podzielił się - w sąsiedztwie psy, sprzedawcy i motocykl Faulta umknęły na trotuar, aby zrobić miejsce dla gigantycznej, dwukołowej przyczepy kempingowej, której rozdęte, podobne do kuchenki mikrofalowej cielsko unosiło się w górę dzięki antygravitacji.

Choć wszystko z pozoru było tak, jak to Everett zapamiętał, to jednak sporo się zmieniło. Albo może to Everett się zmienił. Miasto zawsze było jak zruinowane; stanowiło miejsce, które logicznie nigdy nie trzymało się kupy. Prawdopodobnie żyli w nim ludzie śdzicy, że w otaczającej ich rzeczywistości nie istniały żadne szczeliny. Everett podejrzewa, że gdyby został w mieście, w końcu zgodziłby się z nimi.

Billy usiłował skręcić z powrotem na jezdnię, ale drogę zagroził mu zataczający się robot-teleewangelista, blokując przejazd. Jego ferroplastikowe kończyny skrzypiały przy każdym ruchu, a kiedy klęknął, aby ucałować ziemię, Everett dostrzegł pasy postrzępionej gumy, zwisającej u jego podeszew. Billy nacisnął klakson. Teleewangelista spojrzął w górę. Gdy oko kamery dostrzegło ich, graficzna twarz, wygenerowana przez komputer na jego skądącej się z monitora głowie, zagadała cicho i zadeklamowała z patosem.

Everett przypomina sobie te maszyny, chociaż nigdy wcześniej nie widział żadnej w takim stanie. Przy każdej sposobności teleewangelicy wygłaszali kazania na rogach ulic, starając się nawrócić niewierzących na rozmaite wyznania. Ten mówił wyjątkowo do samego siebie. Everett przypomina sobie, że widywał doprowadzone do podobnego stanu roboty wcześniej, jeszcze przed zmianami.

Fault ponownie zatrzymał się. Twarz na ekranie, należąca do korpulentnego, wiejskiego kaznodziei w średnim wieku, zmarszczyła czoło i drgnęła.

- Zgubiona owieczko - zamruczał. - Czy poszukujesz mojego pasterza?

- Zjeżdżaj z drogi - powiedziała Billy. Teleewangelista obruszył się i wzniosł palec oskarżycielskim gestem.

- Albo moje szatana...

- Chryste-jêkn¹³ Fault i zapieraj^{1c} siê obcasami o trotuar, zacz¹³ wycofywaæ motocykl, chc^{1c} omin^{1æ} robota.

- Wymówi^{3e}ce imiê swego mistrza, szatanie - wœciek³ siê teleewangelista.

Z kieszeni jego obszarpanej tuniki wysypa^{3y} siê broszury, zaœcielaj^{1c} chodnik.

Fault wytoczy³ siê na woln¹ przestrzeñ i przejecha³ obok robota, wje³d³aj^{1c} z powrotem na zat³ocz¹ jezdniê. Wkrótce znale³li siê poza Submission, na wzgórzach.

Everett przypomni³ sobie teraz Faulta. Tkwi^{3o} w tym wspomnieniu tyle samo wzgardy, co podziwu. Everett i Cale byli przyjació³mi, a Billy tym trzecim, który chodzi³ za nimi, i ostatnim, który chwyta³ ka³dy dowcip. Everett czu³ siê g³upio, gdy pomyœla³, ¿e Chaos chodzi³ za nim jak cielê po Vacaville, pozwalaj^{1c} mu wpakowaæ siê w k³opoty w centrum handlowym. Everett z ³atwoœci¹ móg³by tego unikn^{1æ}, ale Chaos, podobnie jak Billy, nie grzeszy³ m¹droœci¹.

G³upi Chaos, pomyœla³ Everett. Ale przeprowadzi³ mnie przez to.

No Alley okrywa³ ca³un mg^{3y}. Kiedy w ni¹ wjechali, Everett wspomni³ nagle zielonoœæ, ale szybko siê z tego otrz¹sn¹³. Nieprzenikliwy zielony opar w górach stanowi³ coœ zupe³nie innego ni³ bia^{3a} zas³ona, spowijaj^{1ca} wzgórza No Alley. W San Francisco nale^{3a}o spodziewaæ siê mg^{3y}.

Mia³ wra³enie, ¿e wyjechali z miasta w strefê wyburzeñ. Od czasu do czasu z oparu wyrywa³ siê szczyt dachu przypadkowego budynku, móg³ te³ dostrzec obie krawêd³ie jezdni. Podczas gdy ulice Submission zape³nia^{3y} zaparkowane lub rdzewiej^{1ce} samochody, tutaj krawê³niki by^{3y} wolne, a widniej^{1ce} za nimi furtki i schody wiod^{3y} w mg^{3ê}.

Kiedy Fault zatrzyma³ siê przed bramk¹ domu Hotchkissa, Everett poczu³ wstrz^{1s} powracaj^{1c}cych wspomnieñ. By³ pewien, ¿e w tym miejscu znajduj¹ siê jego odpowiedzi i ¿e brzmie^{1ce} mu w g³owie echa powinny przemieniaæ siê w coœ wiêcej. Dom majaczy³ za zas³on¹ cyprysów - z daleka i na uboczu. Górne piêtro w wiêkszoœci sk³ada^{3o} siê ze szk^{3a}, wiktoriañsk¹ fasadê zdarto i zast¹piono nowoczesnym oknem. Zdawa^{3o} siê odbijaæ promienie s^{3o}ñca, chocia³ s^{3o}ñca wcale nie by^{3o} widaæ i Everetta zabela^{3y} oczy, kiedy w nie spojrze³. Fault zaparkowa³ motocykl dok³adnie przed furtk¹ i w milczeniu podeszli podjazdem do domu.

Billy zszed³ po betonowych stopniach do mieszkania w przyziemiu. Everett spojrze³ na schody prowadz^{1ce} w górê, przypominaj^{1c} sobie coraz wiêcej szczegó³ów.

- Cale nadal mieszka ze swoim ojcem?

- Zobaczysz.

Piwnica stanowi^{3a} kwatere³ g^{3o}wn¹ Everetta i Cale'a; miejsce, gdzie opowiadali sobie dowcipy, które Fault rozumia³ jako ostatni. Teraz zosta^{3a} obrócona w kryjówkê jaskiniowca. Na pod³odze le^{3a}3y rzeczy do prania oraz poœciel, a ksi¹¿ki i komputer Cale'a zniknê^{3y}.

- Gdzie jest Cale? - spyta³ Everett.

- Teraz to moje mieszkanie - odpar³ Billy. - Chcesz piwa? Everett wzruszy³ ramionami.

- A masz.

Fault podszed³ do lodówki - olbrzymiej, poobijanej skorupy w kolorze muszli, popstrzonej plamami kleju po usuniętych nalepkach i zamykanej na zasuwę. Billy wygrzeba³ z kieszeni klucz i otworzy³ zamek. Kiedy drzwi stanę³y otworem, Everett zobaczy³ jej zawartość: lodówkę wypełnioną kartony, zawierające po sześć butelek piwa, stojące po obu stronach dolnych półek.

aby wywołać wrażenie dostatku, górne półki i wnęki w drzwiach zajmowały pozatykane probówki.

Billy wręczy³ Everettowi piwo i sam wziął jedno, a potem dokładnie zaryglował drzwi. Everett obejrzał uważnie butelkę. Zakrętka została wczesniej odkręcona jakimś narzędziem, może szczypcami, tak że odcięto metalowe kapsle, jak również część szklanego gwintu. Etykieta, przyklejona na wyblakłych pozostałościach poprzedniej, głosiła: POPULARNE PIWO WALTA. Spróbował go: tak jak myślał, domowe. Krok wyjął w stosunku do pędzonego w wannie ginu, który pijał w Hatfork, ale tylko jeden krok.

- Gdzie jest Cale? - zapytał ponownie Everett. Pomyślał także: Gdzie jest Gwen?, ale nie powiedział tego.

- Spoko - odparł Fault, przestając sapać nad swoim piwem. - Najpierw powinienem spotkać się z Ilfordem.

- Ilford? - Everett nie był pewien, czy zna to imię.

- Ojciec Cale'a. Czeka na ciebie - powiedział Billy niewyraźnie. - Chce cię zobaczyć i przywitać się.

- Powiedziacie mu, że przyjadę?

- Nie musiałem. Twoje sny krążyły tu wszędzie, Everett - mlaszczącymi dźwiękami nasilił się, a Fault zredukował swoje piwo do samej piany; postawił butelkę na podłodze i rzekł: - Chodźmy.

Everett wyszedł za nim na zewnątrz, a potem udali się po wykładanych kamiennymi płytami stopniach do frontowego wejścia. Drzwi do piwnicy Fault zostawił otwarte na oścież. Najwyraźniej, poza piwem i szklanymi fiolkami, nie było tam nic cennego. Mgła podpełzała bliżej, osłaniając swym welonem nawet furtkę, przy której Billy postawił motocykl. W drzwiach odwrócił się, wyjął Everettowi z ręki na wprost opróżnioną butelkę piwa i ukrył ją w krzakach rosnących obok wejścia.

- Weźmiesz ją później - powiedział, jakby stanowiło to jakiegoś wyjaśnienie.

Weszli do domu i Everett poczuł, że jego zmysły zostały porażone. Living room przypominał muzeum - ściągane pokrywały obrazy, a zabytkowe meble wypolerowano do kremowego połysku. Szklany stolik do kawy dębowy ozdobiony złotymi ornamentami zegar z wahadłem, który tykał cicho, rozsiewając wokół złote blaski przez przezroczysty kopułę. Everett poczuł się zhipnotyzowany przez ten pokój; był ośniony i wręcz pijany, że chciał usiąść. Po widoku apartamentu na dole, nie

wspominaj¹c już o mieszkaniach w Vacaville, mia³ teraz wrażenie, jakby wszed³ pomiędzy filmowe dekoracje. Fault wyda³ mu się nagle podobny do Łaby i kompromituj¹cy go sw¹ obecności¹; Everett pragn¹³ odsun¹æ się od niego, nie chcia³ być z nim kojarzony.

To dziwne pomieszczenie spowodowa³o to samo, co widok twarzy Cale'a Hotchkissa na taśmie magnetowidowej; przypomni³ sobie. A potem do pokoju wszed³ Ilford Hotchkiss i Everett zastanowi³ się, czy naprawdę cokolwiek pamięta.

Wygl¹da³ zbyt m³odo, aby mógł³ być ojcem m¹ęczyzny z nagrania wideo. By³ dok³adnie wzrostu Everetta, ale tak wyprostowany i stanowczy, o oczach jak b³yszcz¹ce, marmurowe kamienie, Łe zdawa³ się ogromny; sprawia³ wrażenie, Łe jest cz¹łowiekiem pokoju, która oderwa³a się od reszty, aby wymieniać z przyby³ym uc¹ci³ d³oni. Jednocześnie promieniowa³ wystudiowan¹ uprzejmości¹, co sprawia³o, i³ zmniejsza³ się niczym zegarmistrzowski mechanizm -jak ten z³oty zegar na stole albo stoj¹ce na obramowaniu kominka drzewka bonsai. W³osy na skroniach mu siwia³y, ale siwizna ta zdawa³a się tylko delikatnym dotknięciem, zwodnicz¹ pu³apk¹. Podobnie jak pokój, wygl¹da³ lepiej niż ktokolwiek, kogo Everett - czy Chaos - kiedykolwiek widzia³.

Uderzaj¹co też przypomina³ swego syna. Everett by³ prawie pewien, Łe jest to cz³owiek z nagrania na taśmie, ucharakteryzowany na w³asnego ojca, i niemal już krzykn¹³: Cale!, kiedy m¹ęczyzna podszed³ i uj¹³ jego d³oń.

- Billy - odezwa³ się Ilford, patrz¹c Everettowi prosto w oczy. - Może zrobi³być nam po drinku? Szkocka, co?

Everett skin¹³ obojętnie g³ow¹ i Fault pop¹ędzi³ za bar. Ilford poprowadzi³ go do fotela, a sam usiad³ na kanapie po drugiej stronie 3awy ze szklanym blatem i skrz¹cym się zegarem. Fault wręczy³ im drinki w prostopad³ościennych, kanciastych szklanecz

Icach, co stanowi³o ostry kontrast z butelk¹ piwa z odzysku, z któr¹ dopiero co się rozsta³. Szklanka okaza³a się niespodziewanie ci¹ęka, jakby magnetyczn¹ si³¹ przyci¹gana do pod³ogi, a alkohol pachnia³ tak intensywnie, Łe pomy¹ła³, i³ wcale nie musi go pi¹æ.

- To niezwyk³e móc ci¹ę widzie¹æ, Everett. Uc¹miech Ilforda by³ blady, a wzrok œwidrowa³ badawczo oczy rozmówcy - w poszukiwaniu czegoœ? Poznania? Wspólnoty? Patrz¹c w szklank¹, Everett poci¹gn¹³ 3yk whisky.

- S³ysza³em, Łe by³ee w Vacaville - powiedzia³ jakby od niechcenia Ilford.

- Tak.

- To dopiero dziwowisko.

- Tak.

- Co przez to rozumiesz?

- To co powiedzia³ee: dziwowisko - Everett zapragn¹³ chwyci¹æ tego faceta i wrzasn¹æ: Kim jesteœ? Gdzie jest Cale? Gdzie jest Gwen?

- No cóż, w porównaniu z tamtym miejscem mamy się tu całkiem dobrze.

- Masz na myśli San Francisco?

- Szczególnie No Alley. To bardzo miejscowe zjawisko. Jestem pewien, że zauważyłoby, jak lokalnymi stają się dzisiaj rzeczy i sytuacje.

- Nie macie... - Everett pomachał dłońmi, pragnąc być zrozumianym bez potrzeby precyzowania tego, o co mu chodzi. - Nie macie tutaj żadnej wścieklizny? Wiesz, co mam na myśli?

Ilford rozczemniał się, nie otwierając ust, a potem powiedział:

- Nie tego rodzaju.

Wrócił Fault ze swoim drinkiem, brązowy alkohol wypełnił szklankę niemal po brzegi.

- Everetta nie trzeba przekonywać - powiedział, szczerząc w uśmiechu spróchniałe pięki. - Przejechał prawie pośrodku tego pieprzonego kraju, żeby nas znaleźć.

Everett pociągnął kolejny łyk whisky, a potem podniósł wzrok i ponownie zastanowił się nad mężczyzną siedzącym po drugiej stronie stolika. Ilford Hotchkiss zdawał się tracić i odzyskiwać ostrość, jak w obiektywie rozregulowanego aparatu, ale kiedy napotykał wzrok Everetta, przybierał ponownie swój wymuszony uśmiech, wokół którego tęczała reszta jego ciała. Upiłem się?, zastanowił się Everett. Z głuchym trzaskiem odstawił swoje naczynie na stolik i zamykał oczy, rozparł się wygodnie w fotelu. Pragnął zduś migotanie tego pokoju, te zbyt precyzyjne detale obrazów na ościanach, te drzewka bonsai i zmieszana twarz Ilforda, ale one pozostawały wytrawione w jego pamięci, jakby miały być wydrukowane po wewnętrznej stronie powiek. I nie potrafił nie słyszeć tykania zegara.

- Co się stało? - spytał Ilford.

- Ma dosyć - odparł Billy.

Fault i Hotchkiss, ci dwaj siedzący obok niego, byli absurdalni i straszni. Byli gargulcami na obrzeżach pustki, pustki skądącej się z braku Cale'a i Gwen. To Cale i Gwen stanowili jego prawdziwe przeznaczenie; wabik, który przywiódł go tu i trzymał.

Ale zamiast na tamtych wpadł na Billy'ego i Ilforda.

Jaki rodzaj targu został ubity w tym domu?

Poczuł się nagle rozpaczliwie ślaby. Od sprzeczki Chaosu z Edie poprzedniej nocy do whisky poprawiającej piwo Faulta biegła zbyt prosta linia. To przekraczało jego możliwości; był zbyt wieloma ludźmi, było go co najmniej o jednego za dużo. A jeszcze istniał Ilford Hotchkiss.

Następnego dnia kiedy obudził się wczesnym rano, padało. W domu panowała cisza. Został porzucony do ścianki w skromnym czystym pokoju, o którego okno uderzały miękko liście stojącego tuż przy murze eukaliptusa. Wycelował się spod przykrycia, włożył na siebie nowe ubranie z szafy i na palcach zszedł na dół.

Deszcz nie przepędził mgły; dom nadal był przez niego odizolowany od świata niczym figurka w mlecznej, szklanej kuli. Wszedł bosy na zewnątrz i stał w chłodnym, wilgotnym wietrze, oddychając

porannym powietrzem. Z okapu spadały krople, tworząc równą linię na płytach, które prowadziły za róg domu i do mieszkania w piwnicy. Wrócił, wciął na palcach, do swego pokoju, aby ubrać buty, a potem zszedł po stopniach do przyziemia.

Wnędzy, która niegdyś stanowiła mieszkanie Cale'a, siedział Fault, zagłębiony w stojącym pod oknem fotelu i patrzący na deszcz. Odwrócił się i uśmiechnął niewyraźnie do Everetta.

- Wzrocznie wstał - zauważył.

Everett czuł się tak, jakby mu odjęto mowę albo jakby wyszedł z żółka, lunatykując.

- Siadaj - Billy machnął niedbale dłońmi. Everett siadł tam, gdzie stał, na wolnym krześle, nie przysuwając go do Faulta.

- Nie mów Ilfordowi - powiedział Billy ostrzegawczo.

- Nie mówią czego?

- Nie Cale jest tutaj.

- Nie powinno być z tym problemu, Billy, bo Cale'a nie ma.

- Och, jest tutaj.

- Co masz na myśli?

- Kiedy pada, odwiedzamy się z Cale'em każdego ranka. Jeszcze niedawno padało codziennie.

Fault zwariował, zrozumiał wreszcie Everett. Ale skąd w takim razie wziął się nagranie wideo?

- To znaczy, nie ma go teraz - Billy zeskoczył z fotela, nagle ożywiony. - Znikł tuż przed twoim przyjściem. Ale jest go więcej.

- Więcej gdzie? - spytał; ta gra mu nie przeszkadzała.

- W lodówce.

- Jest więcej Cale'a w lodówce?

- Tak. Mój zapas. Everett westchnął.

- No to wyjmij go trochę. Nie bądź samolubny.

- Ale nie powiesz Ilfordowi? - Fault zaczął szperać w kieszeni w poszukiwaniu klucza do zasuw.

- Nie powiem.

Billy otworzył zamek i sięgnął do wnętrza lodówki. Wydobył jedną z zatkaanych probówek oraz strzykawkę i kopniakiem zamknął drzwiczki.

- Tu go masz - stwierdził z zadumą, a potem zębami odkorkował fiolkę.

- Daaj mi - powiedział z korkiem w zębach, kiedy zgrabnie napełnił strzykawkę zawartością probówki.

- Co?

Fault wypluł korek i powtórzył:

- Dawaj ramię.

Everett patrzy³ na niego oniemia³y.

- Daj spokój, podwiń rękaw.

Deszcz zabębni³ o kamienie na dworze, rzęsi³ty i nieuchronny. Poza tym by³a tylko mg³a. Everett czu³ cię³ar wznosz¹cego się nad nimi domu - b³yszcz¹cy living room, z³oty zegar i szafka pe³na whisky bursztynowego koloru - wszystko to napiera³o na nędzne mieszkanie Faulta. Billy podszed³ do niego, uemiechaj¹c się krzywo, gotowa strzykawka niefrasobliwie celowa³a w jego brzuch. Everett wyobrazi³ sobie, że ca³a podróż z Hatfork prowadzi³a do tego momentu, do tego upiornego domu stoj¹cego tam, gdzie powinno być miasto, a gdzie znalaz³ jedynie wyspę mg³y; teraz ca³e jego przeznaczenie zogniskowa³o się w czubku ig³y. Podwin¹³ rękaw i wyci¹gn¹³ przed siebie ramię.

- Everett.

Cale siedzia³ naprzeciw niego, na niewidzialnym krześle, w pozbawionej kształtów pustej przestrzeni. To by³ Cale, taki jak wczęcej, Cale z taęmy wideo, któr¹ Chaos ogl¹da³ w Vacaville - Przyjaciel, którego zachowa³ w pamięci. Jeżeli zachowa³ tam cokolwiek.

Fault, pokój i okno, wszystko zniknê³o.

- A więc jesteś tutaj - powiedzia³ Cale.

Uemiechn¹³ się, pochyli³ do przodu, ale nie wyci¹gn¹³ ręki.

- Chyba jestem - Everett us³ysza³, jak sam to mówi. Jakkolwiek by by³o, „gdzieś” jestem, pomyœla³. I ty jesteś w tym samym „gdzieś”, co i ja. Jesteśmy w nim razem.

- Jest wiele rzeczy, o których musimy pogadać. Pomiędzy nich wkrad³o się jakieś osza³amiaj¹ce nieporozumienie.

- Twój ojciec... - zacz¹³ Everett.

- Pieprzyć Ilforda. Nie liczy się. Trzymaj go od tego z daleka.

- Okay - zgodzi³ się Everett.

Przynajmniej by³ to jakieś rodzaj symetrii, jeżeli wzi¹ąć pod uwagę opór Faulta przed mówieniem Ilfordowi o Cale'u.

Everett obróci³ g³owê, chc¹c zrozumieć naturę tej pozbawionej jakichkolwiek cech przestrzeni, która zast¹pi³a otaczaj¹cy go świat. Poza nim rozci¹ga³ się jedynie bezdenny mrok, szarość, mog¹ca być tak samo blisko, jak powieki jego oczu, lub równie daleko, co gwiazdy. Patrzenie w ni¹ wywo³ywa³o uczucie zawrotu g³owy i klaustrofobii.

Odwróci³ się z powrotem. Cale siedzia³ pozornie niedaleko. Stanowi³ jedyny punkt odniesienia, jedyny znak na skali.

- Cale...

- Tak?

- Jest wiele rzeczy, których nie pamiętam... lub nie rozumiem.

- A pamiętasz mnie?

Ciebie ukrytego w probówce czy ciebie przyczajonego za rysami twarzy swego ojca?, chcia³ zapyta^æ Everett.

Nie; ten, którego powinien pamiêta^æ, by³ cz³owiekiem mieszkaj¹cym w piwnicznym apartamencie; przyjacielem.

Mimo wspomnieñ, odzyskanych podczas jazdy z Faultem do San Francisco, Everett nadal dryfowa³ po omacku. A tutaj, w mieœcie pe³nym luk. sprawy zawêzi³y siê do niego i Cale'a. Zadaj mi pytanie o wagonowniê, pomyœla³, pragn¹c ponownie dozna^æ wra³zenia namacalnoœci rzeczywistoœci.

- Pamiêtam ciê z wcześniejszych czasów - stwierdzi³ po Prostu.

- A co potem?

- Hatfork, miasto w Wyoming. I bycie cz³owiekiem imieniem Chaos.

- Nie pamiêtasz prze³omu?

- Nie.

- Nie martw siê tym, to jak ciêcie w filmie. Ka³demu czegoœ brakuje.

Tak jak tobie, na przyk³ad, chcia³ powiedzia^æ Everett. Straci³eœ cia³o.

Potem zastanowi³ siê: Czy brak cia³a jest lepszy czy gorszy od tego, czego brakuje jemu samemu?

- Przyjecha³em zobaczy^æ siê z Gwen - rzek³ Everett. - Pamiêta³em j¹. To mnie tu sprowadzi³o.

- Wiem.

- By³a na taœmie, któr¹ Fault...

- Zobaczysz j¹ za moment.

Cale powiedzia³ to ca³kiem zwyczajnie, ale dla Everetta tak to nie zabrzmia³o. Myœl, ³e Gwen mo³e by^æ zaledwie o chwilê st¹d, by³a poruszaj¹ca.

- Najpierw opowiedz mi o Hatfork - ci¹gn¹³ Cale. - Wiem co nieco z twoich snów oraz od Faulta. Ale chcê to us³ysze^æ od ciebie. Opowiedz mi o Kelloggu.

Wiêc Everett wywali³ wszystko z siebie. Kellogga i Ma³¹ Amerykê, samochody, magazyny puszkowanej ³ywnoœci, potem Melindê, podró³ na zachód i Edie. Zdumia³ siê strumieniem s³ów, d³wiêkiem swego g³osu; by³a to najd³u³sza g³oœna przemowa, na jak¹ zdoby³ siê od niepamiêtnych czasów. Zbli³aj¹c siê do koñca, stwierdzi³, ³e próbuje dobia^æ targu - jedyne, podczas którego mó³ dostae tyle samo, ile sam da³.

Potem jednak³e siedzieli w milczeniu. Cale wygl¹da³ na zatroskanego; wpatrzony w pustkê, któr¹ ze sob¹ dzielili, jakby coœ w niej zobaczy³.

- Niewa³ne - odezwa³ siê w koñcu. - Powinienem zaprowadzi^æ ciê do Gwen, zanim dawka zacznie siê wyczerpywa^æ.

- Powiedzia³em ci wszystko, co wiem - stwierdzi³ Everett.

- Jestem pewny - rzek³ Cale; zdawa³ siê roztargniony. - To jednak œmieszne. Znalaz³eœ

sposób, aby w tej historii pominąć siebie.

Sięgniesz w pustkę za sobą i nacisną nie istniejącą klamkę, która mimo to szczerknęła.

- Co masz na myśli? - spytał Everett, patrząc na otwierające się przejście, za którym leżała jeszcze głębsza ciemność.

Wyciągniesz szyję, starając się coś dostrzec, ale nic nie widzisz; w mroku zatańczyły jedynie iluzoryczne wiry.

- Zastugujesz na więcej zaufania, to wszystko - głos Cale'a wycięnił ciemność. - Miały wiele wspólnego z rzeczami, które widziały.

Wskazała ręką na drzwi.

- Idź.

Wbrew swej woli Everett runął naprzód, przez drzwi. Białe kontury pokoju zostały naszkicowane w czarnej przestrzeni. Odwrócił się, aby ujrzeć Cale'a, nadal siedzącego w swojej nicotci.

- Idź - zakrakał Cale.

Everett w popłynął w głąb czerni.

Siedziała na brzegu nakreślonego białego łóżka, ubrana w coś czarnego, co zlewało się z cieniem, tak że jej twarz i dłonie promieniowały światłem, unosząc się w powietrzu. To była postać z taśmy oraz z jego snów. Gwen.

- Everett - odsunęła włosy z twarzy i ucieszyła się niecierpliwie. - Czekałam...

Chwilę później spuściła wzrok, ale jej oczy błyszczały od śmiechu.

- To naprawdę ty?

- Tak - wyrwało mu się.

- Cale powiedział mi, że przyjeżdżasz. Wiedział to ze snów. Nie wierzę ci. Wszyscy cenili o tobie, nawet Fault, tylko nie ja.

- Nie potrafię kontrolować swoich snów...

- Wiem. To nieważne - spojrzała mu w oczy, a potem uciekła gdzieś wzrokiem. - Chodź tutaj.

Podszedł i usiadł obok niej na brzegu łóżka. Poczucił ciężar Gwen, kiedy biodro dziewczyny otarło się o niego. Dotknął jej ramienia. Sięgnęła w górę i wzięła jego dłoń, kładąc ją na swoim. Splotła swoje palce.

- Bez ciebie nie jestem tym, czym bym wcześniej - wyznała. - Jestem tylko powłoką siebie. Nie wiem, jak zacząć, by ci to powiedzieć...

- To samo jest ze mną - odparł; pomyślał, że mogło tak być. - Zagubiłem się. Nie byłem sobą.

- Zgubiłeś się gdzie?

- W zapomnieniu - ich słowa krążyły, oderwane od rzeczywistości.

Ale to nie miało znaczenia. Ich słowa nie stanowiły istoty rzeczy.

- Zapomnia³eœe o mnie? - spyta³a.

- Zapomnia³em o wszystkim. A¿ do wczoraj by³em zupe³nie kimœ innym. Nie pamiêtam nawet, jak siê rozstalicemy. Spuœci³a wzrok.

- Nie zapomnia³ace o mnie? - zapyta³. Nie chcia³ powiedzieæ czegoe niew³aceciwego.

- Nie, nigdy ciê nie zapomnia³am, Everett. S¹dzê, ¿e bli¿sza by³am zapomnienia siebie.

- A ja zapomnia³em tak¿e i siebie - wyjaceni³. - Dok³adnie to mi siê przytrafi³o. Ale ciebie przypomnia³em sobie najwczeœniej, w snach.

Uœmiechnê³a siê.

- Nie zapomnia³eœe siebie w taki sposób, w jaki ja zapomnia³am o sobie.

- Co...

Dotknê³a jego policzka.

- To trudne do wyt³umaczenia. Wszystko, co pozosta³o, by³o wspomnieniami o tobie, o nas razem. Musia³am odtworzyæ siê z tego wspomnienia. To dlatego tak boli, teraz, kiedy powiedzia³eœe, ¿e mnie zapomnia³eœe.

- Przykro mi, ja...

- Niewa¿ne.

- Wszystko tutaj jest bardzo dziwne. Na przyk³ad Cale - czy by³ wczeœniej taki gniewny?

Potrz¹snê³a g³ow¹.

- Nie wiem.

- Nadal brakuje wielu rzeczy. Czasu pomiêdzy zdarzeniami. Domu nad wod¹, w którym mieszka³em.

- Twojego domu. Do czasu, kiedy opuœci³eœe miasto.

- Kiedy opuœci³em miasto? - powtórzy³ jak echo. - Kiedy to by³o?

Potrz¹snê³a znowu g³ow¹.

- Tak?

- Nie pytaj mnie - odwróci³a siê.

- Coœ nie w porz¹dku? - zapyta³.

Coœ by³o zdecydowanie nie w porz¹dku, ale z nim: zamiata niekonsekwencja na granicy jego wizji, jakby mia³ zbyt mocno zaciœniête oczy. Zastryk Faulta. dotar³o do niego, przestawa³ dzia³aæ.

- Nie, tylko...

Poca³owa³a go. Najpierw obok ust; b³ysk skóry i oddechu, któremu pospieszy³ na spotkanie tylko po to, by go straciæ. A potem pochyli³a siê, jej wargi rozchyli³y siê, ukazuj¹c jêzyk, a kiedy dotknê³a jego ust, nie zniknê³a, ale przywar³a do nich. Poczuc³ jej smak, poczuc³ uderzenie krwi.

- Gwen...

A potem odesz³a i Everett ponownie znalaz³ siê u Faulta, w mieszkaniu w piwnicy, siedz¹c przed

długim oknem. Deszcz nadal pada.

Stał wraz z Ilfordem i Faultem na skałach wyspy Alcatraz, tuż na krawędzi chlupoczącej wody. Niebo było nadzwyczaj niebieskie i czyste, a powietrze zimne. Opuszczone więzienie przywiodło Everettowi na myśl labirynt w Vacaville. A ocean, widoczny za podporami Golden Gate Bridge, oznaczał kres jego wędrówki na zachód. Była to innego rodzaju pustynia, nie taka jednak, którą można by przemierzyć skradzionym samochodem.

Kiedy przestało padać, Ilford i Billy obwieścili go po mieście, a potem wzięli go z sobą na wyspę, nie wyjaśniając, dlaczego to robi. Everett czuł, że obaj chcą zostawić Cale'a za sobą, w domu - rzeczywistego czy zapamiętanego. Ale Cale tak bardzo był w rysach swego ojca, że Everett mrugał, gdy na niego spoglądał. Czy Billy nie widział tego?

Mewa zatoczyła koło nad skałami, a potem wleciała w przeciwny podmuch wiatru - skrzydła miała napięte, pióra przypięte i nie robiła żadnego znaczącego postępu.

- Jak długo będzie w Hatfork? - zapytał nagle Ilford. Everetta zdumiała to pytanie, ale znał odpowiedź.

- Co najmniej pięć lat.

- Od przełomu nie minie więcej niż dwa - stwierdził Hotchkiss.

- W Hatfork to będzie pięć. Ilford i Fault wymienili spojrzenia. Mewa odwróciła się do kierunku wiatru i zniknęła.

- Mówią, że samochody były tam napędzane benzyną? - chciał wiedzieć Hotchkiss.

- Tak.

- Czy pozostają w bakach, nie traciła swojej wartości energetycznej?

- On ma rację, Everett - wtrącił się Billy. - Po takim czasie benzyna jest do niczego.

Co za różnica, jeżeli w jego rzeczywistości zostanie wybita jeszcze jedna dziura? Nadal uważa pięć lat Chaosu w Hatfork za czołowe siebie, jak rękę czy nogę. Te lata wydarzyły się - gdzieś, komuś.

- Okay - powiedział. - Dwa lata. Ale dwa lata od czego?

- Słucham?

- Kiedy mówisz „przełom”, to co masz na myśli?

- Nie ma jednego wyjaśnienia, Everett. Ludzie pamiętają

jakie katastrofy, ale nie ma zgody co do tego, jaki był jej charakter. Widzieli to dokładnie, jakkolwiek z nas.

Co Ilford wiedział?, zastanowił się Everett. Opowiedział swoją historię Cale'owi, nikomu więcej. Ani Faultowi, ani tym bardziej Ilfordowi. Czy moje sny objawiły im tak wiele?

Albo czy teraz rozmawia z Cale'em?

Rzucił ukradkowe spojrzenie na Hotchkissa, który stał bez ruchu, patrzył w morze, ale próba

oddzielenia zamazanych rysów ojca i syna spowodowa³a tylko ból g³owy. Fault widzia³, ¿e im siê przygl¹da i wyszczerzy³ ponuro zêby, jakby mówi³: Nie nudŸ.

- Jesteœcie jak Kellogg, wiesz - powiedzia³ Iford.

- Co to znaczy? - zapyta³ odruchowo Everett, chocia¿ oskar¿enie by³o doskonale znane.

Melinda. Sam Kellogg.

Mo¿e Iford dosta³ swoje informacje od Kellogga, pomyœla³ Everett kwaœno. To mog³o wiele tłumaczyæ.

- Jesteœcie jednym z tych, którzy czyni¹ rzeczy takimi, jakimi s¹. Hatfork czy Ma³a Ameryka to tak samo twoje dzie³o, jak Kellogga.

- Jestem po przeciwnej stronie - zaprotestowa³ Everett. - Stanowiê uniwersaln¹ antenê. Zawsze wpadam w miejscowy porz¹dek.

- Odbierasz, ale tak¿e nadajesz, wypaczaj¹c lokalny uk³ad.

Everett przypomnia³ sobie jedzenie w Hatfork, zupê gotowan¹ z psów czy kotów - i pomys³, ¿e móg³by byæ odpowiedzialny za ten rodzaj ¿ycia sprawia³, ¿e czu³ siê niemal fizycznie chory.

- Obsesjê Kellogga stanowi³a wojna atomowa. To nie by³a moja katastrofa.

- Twój wp³yw jest subtelniejszy.

- S³aby, to odpowiedniejsze s³owo.

- By³eœcie nieœwiadomy swoich mo¿liwoœci. To jedyne ograniczenie.

- Wola³bym raczej nadal pozostae nieœwiadomy. Zamilkli, patrz¹c na ocean.

- Dlaczego tutaj przyjecha³eœcie, Everett? - spyta³ Hotchkiss.

Nie odpowiedzia³.

- Szuka swojej dziewczyny, Iford - odezwa³ siê Billy. - Szczeg³onej dziewczyny.

- Dziewczyny - powtórzy³ Iford sceptycznie.

Everett chcia³ zapytaæ Hotchkissa, czy zna³ Gwen, ale powstrzyma³ siê, przypominaj¹c sobie obietnicê, z³o¿on¹ Faultowi, aby nie mówiæ o fiolkach w lodówce: nie mówiæ o Cale'u.

- Jesteœcie zbyt sfiksowany na punkcie przesz³oœci - powiedzia³ Iford. - Nie mo¿esz wróciæ. Zw³aszcza ¿e po drodze przekszta³casz rzeczywistoœæ. Nie mo¿esz odzyskaæ rzeczy, któr¹ zmieniasz, gdy tylko jej dotkniesz.

Everett pragn¹³ zapytaæ: A co z Cale'em? Kto go dotkn¹³ i zmieni³? Bo to nie by³em ja.

Odwróci³ siê od wody w stronê masywnego, zrzuwanego wiêzienia. Wynurza³o siê do nieba niczym pokryta narocelami twarz. Zacz¹³ iœæ po ska³ach w stronê otaczaj¹cego wyspê betonowego nabrze¿a. Iford i Fault poszli za nim.

Gdy siê tam znaleŸli, wsiedli na ³ódŸ i w milczeniu pop³ynêli przez zatokê. W ³odzi Everett czu³ siê nieszczeg³ólnie, denerwowa³ go wiatr, s³oñce i woda pod nimi, bezdenna tajemnica. Pomyœla³ o œnie Kellogga o oceanie, przeciwieñstwie pustyni. Sen o tœsknocie, jak mu siê teraz zdawa³o. Sama Ziemia

była niezmienna; nieskończone obszary piasku, wody i trotuarów. To ludzie okazywali się zakłócającymi rzeczywistość szaleńcami, którzy włożyli się po jej powierzchni, postrzegając świat jako przejściowy i potrząskany. Everett pragnął, aby ziemia mogła jakoś ich zabić, a potem ulokować w swej ciszy, niezmienności i głębi.

- Chciałbym raczej pójść w przeciwnym kierunku - odezwał się nagle do Ilforda. - Wolałbym znaleźć sposób na powstrzymanie tych snów.

- Nie musisz wybierać. Może być sprawa, aby świat i sny pasowały do siebie.

- Wówczas byłbym kimś takim jak Kellogg - stwierdził Everett. - Lub jednym z pozostałych; takim jak ci, którzy rzadzi w Vacaville. Nie chcesz przecież tego tutaj.

Nie powiedział, iż jego zdaniem No Alley znajdowała się pod pewnego rodzaju subtelną kontrolą, a sprawy w San Francisco nie były całkiem w porządku.

- Nie musi tak być - rzekł Ilford.

Sterował niedbale, uderzając kaskiem o fale, kierując się w stronę bayskiego skraju miasta.

- Urządzam dzisiaj niewielkie przyjęcie. Pogadasz z moimi przyjaciółmi.

Unikając gości, poszedł najpierw do kuchni i zagubił się w obfitości spiżarni Ilforda. Po pięciu latach głodowania - przynajmniej on pamiętał pięć lat głodowania - obfitość była upajająca. Szukał naczyń, przeszedł niezgrabnie wzdłuż kon-tuaru do kredensu, odkrywając zapasy, które ma amerykańkom wystarczyłyby na miesiąc: półki zastawione puszkami - i to nie prymitywnymi daniami, jak fasola czy zupy, ale delikatesami - pieprzonymi, małutkimi rybkami w musztardzie, marynowanymi szparagami i plczkami kapusty. Zwiedzając to fascynujące pomieszczenie, zapomniał o jedzeniu. Jedna z szafek wypełniona była butelkami szkockiej, którą Ilford serwował poprzedniego wieczoru, inna zawierała flaszki aromatycznego octu winnego, słoiki palonego czerwonego pieprzu i paczki australijskich orzechów. Stojąc na podłodze zamrażarkę załadowano olbrzymimi porcjami wołowiny i baraniny.

Przeszedł z powrotem przez kuchnię, w oszołomieniu układając na kartonowej tacce stopy zimnego mięsa oraz sałatek z kon-tuaru i zabrał to do living roomu. Niewielka grupa gości dryfowała w blasku domu Ilforda, a pomruk ich rozmów odbijał się cichym echem, jakby pochłaniany przez umeblowanie pokoju. Na zewnątrz mgła ponownie podeszła pod same okna. Jak oni się tutaj dostali?, zastanawiał się Everett. Skąd przybyli? Miał wrażenie, jakby Ilford wyjął to miejsce wraz z gośćmi z jakiegoś przechowalni i porozmieścił ich na fotelach oraz sofie, niczym świeczki w kandelabrze.

- Dawn Crash - przedstawiła się jakos kobieta, podchodząc do niego i wyciągając rękę.

Była w wieku Ilforda i w pewien sposób do niego podobna: dobrze się trzymająca, wyglądająca jednak na swoje lata, choć skóra na jej twarzy była pozbawiona zmarszczek i opalona, a cała postać nienaturalnie wyprostowana. Oczy miała przerażająco oświetliste i żywe. Everett uznał, iż jest nieprawdopodobnie pociągająca.

- Cześć, Dawn - powiedzia³ Fault, wœlizguj¹c siê pomiêdzy nich.

- Witaj, Billy. Przedstaw mnie swojemu przyjacielowi.

Everett od³o³y³ talerzyk na stólik do kawy, uœcisn¹³ jej d³oñ i wymieni³ swoje imiê. Odnios³ wra¿enie, ¿e nie by³a nim zdumiona. Kobieta przysunê³a siê bli¿ej, wykluczaj¹c Faulta z ich grona.

- Wiedzia³am, ¿e to ty. Ilford powiedzia³, ¿e zatrzyma³e siê u niego na jakies czas.

- Mo¿liwe.

- Dobrze. Mo¿e bêdziemy razem pracowaæ - przerwa³o jej nadejœcie Hotchkissa wraz z innym mê¿czyzn¹, który z racji ogolonej g³owy i ciemnych okularów przypomina³ Everettowi szalonego doktora z filmu, który widzia³ u Edie w telewizji. Podczas emocjonuj¹cej strzelaniny na stacji benzynowej doktor zosta³ osobiœcie aresztowany przez prezydenta Kentmana.

- Harriman, to jest Everett Moon - przedstawi³ go Ilford.

- Everett, poznaj Harrimana Crasha.

- Witaj - powiedzia³ nieco zak³opotany Everett.

Czy Moon to jego ostatnie nazwisko? S³ysza³ je ju¿ wczœniej

- i teraz przypomina³ sobie gdzie. Zielonocæ i White Walnut. NajwyraŹniej Moon by³o jego nazwiskiem we mgle.

- Przepraszam, na imiê masz Harriman?

- Tak. - Œysy facet uœmiechn¹³ siê. - Harriman Crash. Ale mo¿esz mi m³owiaæ Harry.

Kobieta spojrze³a na nich groŹnie; Everett i Harriman wymienili uœcisk d³oni.

Na chwilê wszyscy umilkli, poci¹gaj¹c drinki. Everett skorzysta³ z okazji, oderwa³ kawa³ek kanapki z pieczon¹ wo³owin¹ i podniós³ do ust. Nikt inny nie jad³.

- Wybaczcie mi - odezwa³ siê Hotchkiss. - Muszê czyniaæ honory gospodarza domu. Pochyli³ siê ku Everettowi.

- Pogadamy póŹniej - rzek³ uspokajaj¹cym tonem. - Harry wie bardzo wiele na temat twojej sytuacji.

Poklepa³ go po ramieniu i odszed³. Fault pod¹y³ za nim.

- A zatem - powiedzia³ Harriman, wci¹¿ uœmiechniêty, wznosz¹c swoj¹ szklankê -jesteœ tutaj now¹ gwiazd¹. Jak ci siê u nas podoba?

Everett poczu³ siê skonfundowany, ale Dawn wybawi³a go od koniecznoœci odpowiedzi.

- Nie b¹dŹ os³em, Harry - rzek³a. - Everett nic o tym nie mo¿e powiedziaæ. Nie wie nawet, czy tutaj zostanie.

- Ale rozwa¿asz mo¿liwoœæ pracy z nami? - kontynuowa³ Harry, poch³oniêty swoj¹ myœl¹. - Prawda?

Everett odzyska³ g³os, ale wszystko, na co siê zdoby³, brzmia³o ma³o konkretnie:

- Nie jestem pewien, co to znaczy.

- Bardzo dobrze. Nikt z nas tego nie wie. Ale by³oby interesuj¹c¹ rzecz¹ zbadaæ kryj¹ce siê w tym mo¹liwoœci. To jest czas perspektyw. Zgadzasz siê ze mn¹?

Everett nie móg³ siê z tym sprzeczaæ.

- Jak do tej pory bardziej siê martwi³em, hm, osobistymi mo¹liwoœciami - odpar³.

- Podobnie jak my. - Harriman Crash potrz¹sn¹³ g³ow¹. - Ale tu chodzi o kogoœ z tak szczególnymi talentami jak twoje. Badaæ jeden taki przypadek to tak, jakby poznaæ inne.

- Jesteœ pretensjonalny, Harry - stwierdzi³a Dawn. - I moralizatorski.

Zapali³a papierosa i Everett poczu³ nag³¹ ochotê, by zrobiaæ to samo. Pali³ dawniej? Tak czy inaczej, Chaos pali³. Mia³ nadziejê, ¿e Dawn poczêstuje go.

- Pogl¹d Everetta na jego osobiste widoki jest du¹o bardziej interesuj¹cy dla niego samego. Jestem tego pewna.

- To wystarczy - stwierdzi³ Harriman. - Ale musi tak¿e poj¹æ, ¿e najlepsz¹ okazjê na ich zrozumienie ma z nasz¹ pomoc¹. Jego wyj¹tkowe cechy stanowi³y dla niego bardziej przekleñstwo ni¹ b³ogos³awieñstwo. Mam racjê, Everett?

Czy to by³o utrapienie? Prze³kn¹³ kolejny kawa³ek sandwicza i powiedzia³:

- Nie uwa¹am, ¿eby to mia³o byæ takie proste.

- Dosaæ tanio sprzedajesz jego poczucie niesprawiedliwoœci spo³ecznej, Dawn. Everett podró¹owa³ i widzia³, prawdopodobnie lepiej ni¹ ty, ja czy ktokolwiek inny z tutaj zgromadzonych, co dok³adnie znaczy niew³oœciwe u¹ycie lub zlekcewa¹enie tego rodzaju mo¹liwoœci. Zostawia³eœ za sob¹ ludzi podczas tych woja¹y, prawda, Everett? Prawdopodobnie w powa¹nych tarapatach.

- Tak - przyzna³, staraj¹c siê nie myœleæ o Edie.

- Czy mylê siê, przypuszczaj¹c, ¿e gdybyœ móg³ zmieniaæ stan rzeczy, tutaj czy gdziekolwiek indziej, na lepsze, to mia³oby to dla ciebie znaczenie?

- Gdybym wierzy³, ¿e... - co Ilford powiedzia³ tym ludziom? Jakie z³o¹y³ obietnice? - Ale nie jestem pewien, czy by³bym w stanie to uczyniaæ.

- Racja - Harriman klepn¹³ go w ramiê i wyszczerzy³ siê znowu, jakby Everett zda³ jakieœ test.

- I to jest powód, dla którego przyslicemy spotkaæ siê z tob¹. Chcemy zobaczyæ, ile mo¹esz. Ale zróbmy tak, jak powiedzia³ Ilford, i porozmawiajmy pó¹Ńniej. Idê nalaæ sobie kolejnego drinka.

Harriman odszed³ w kierunku kuchni, a Dawn przenios³a siê na kanapê, gdzie siad³a - wygl¹daj¹c na znudzon¹ - obok innego mê¹czyzny, nieco starszego od niej, o siwych w³osach i czarnych w¹sach. Dwie inne pary sta³y w pobli¹u, rozmawiaj¹c cicho i zajmuj¹c siê swymi drinkami, i kiedy Everett spojrze³ w ich stronê, goœcie uœmiechnêli siê do niego w odpowiedzi. Pokój pe³en by³ pozornie najzwyczajszych ludzi, którzy teraz, w œrodku tkaniny splecionej z nieszczêœæ, jakie spad³y na œwiat, sprawiali wra¹enie ch³odnych i zakonserwowanych, jak eksponaty w muzeum figur woskowych. Zastanawia³ siê, czy podobnie wygl¹da³a

koteria przywódców rzdycznych Vacaville, zanim nie przekształcili się w gwiazdy telewizji oraz komiksowych superbohaterów?

Kiedy ponownie się odwróci, wśaty mężczyzna i jakaś kobieta stali przed nim, a Dawn dokonywała prezentacji: Sylvia Greenbaum i Dennis Ard - nowe nazwiska, które Everett z wysiłkiem próbowała zachować w pamięci. Oczy Sylwii były wybaśnione, a jej pełne usta mocno zacieniły. To, razem z jej wybuchową gestykulacją, spowodowało, że Everett miał ochotę uciec. Kobieta ciagnęła jakby opowieść.

- ... sprowadziło się to wszystko do przecięgania pomiędzy nimi liny. Tree to był ten stary, powóczy nogami mężczyzna, który lubił zająć po okolicy, zbierał grzyby i gadał do krów; po prostu śaby, ekscentryczny staruszek. Ale zmusił nas, byśmy uwierzyli, że był niemieckim inżynierem raketowym, który wysadził świat w powietrze! Czuliśmy się winni wobec niego z powodu tych snów, gdy to przez nie nabrał pewności, iż stanowi przyczynę tego, co się stało. A potem zjawił się Hoppington siedzący w wózku, podobnym do fotela na kółkach, chociaż był jeszcze młody... - przerwała i uśmiechnęła się niecierpliwie do Everetta.

Wśacz położył dłoń na jej ramieniu i to zachęciło kobietę do dalszej opowieści.

- Zupełnie oszalał, gorzej niż Tree. I ci dwaj zaczęli walczyć ze sobą o sprawowanie kontroli, to jeden, to drugi... Everett musiał wyglądać na zagubionego.

- Sylvia opowiada o West Marin - wyjaciła Dawn. - To miejsce, w którym była wcześniej, zanim tutaj przyjechała. A raczej uciekała, podobnie jak ty.

- Prawdopodobnie to wciąż tak trwa - ciągnęła tamta. - Wszyscy tkwiliśmy w tym, schwytani na czas, który wydawał się nam latami. Najbardziej przekłete miejsce poza tym, o którym opowiada mi Ilford - podobno był gdzieś, gdzie wszystko jest zielone. Nadal nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Byłem w miejscach gorszych od tego - stwierdził Everett.

- Masz na myśli okolice, gdzie prowadzili wojnę z Obcymi. Był tam?

- Nie, nie tam.

- Dennis, powiedz Everettowi... - Sylwia trzymała Arda okciem.

W tym samym momencie Dawn Crash spojrzała na Everetta i, przewracając rozpaczliwie oczami, odeszła.

- Odbieram te sny prawie od samego przełomu - wyjaciła wśaty, trochę niecierpliwie. - Skłóca ze wschodu, nie wiem dokładnie, z jakiego miejsca. Były to najbardziej upodlające wizje, z powodu których czuję się bezwartościowy i chory w środku. I jeżeli opowiadam je komuś lub mówię, kim jestem, zatruwam słuchaczy, pociągając ich w ten schorzały, zdegenerowany świat. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się po prostu, iż jestem szczególnie wrażliwy na odbiór majaków tego okropnego człowieka, kimkolwiek on jest. Nikt inny nigdy o nim nie mówił.

- Dennis jest tutaj cały czas od przełomu - wyjaciła Sylwia. - Wcale tego nie szukał.

- W każdym razie by³o to dla mnie bardzo wyczerpuj¹ce. Budzi³em siê co rano przekonany, i¿ jestem t¹ ohyd¹, chor¹ istot¹, o której mówi³y koszmary. Musia³em bez koñca sobie wmawiaæ, ¿e to nieprawda. Nie przyznam ci siê, kim jestem w snach, ani nie zrobiê niczego innego, co mog³oby powiêkszyæ moje cierpienie. Ale nie musisz tego s³uchaæ - westchn¹³ ciê¿ko, jakby mia³ siê za chwilê rozp³akaæ. - Wa¿ne, ¿e niedawno siê to zmieni³o. Kiedy Ilford sprowadzi³ ciê tutaj z powrotem, zacz¹³em ceniæ dla ciebie, zamiast dla tamtego.

- To nie Ilford mnie sprowadzi³ - powiedzia³ Everett; tylko tego by³ do koñca pewien. - Po prostu przyjecha³em. Nast¹pi³a chwila ciszy, a potem Ard kontynuowa³.

- Tak czy owak, to pierwsza chwila wytchnienia, jak¹ mam. Chcia³em ci to powiedzieæ. I podziêkowaæ.

- Nie ma za co - odpar³ Everett.

- Cieszê siê, ¿e jesteœ tutaj - stwierdzi³a Sylvia. - S¹dzê, ¿e to, co robisz z Ilfordem i Harrimanem, jest wielce ekscytuj¹ce. Byæ mo¿e wkrótce bêdziesz w stanie zrobiæ dla West Marin to samo, co dla Dennisa...

- Prawdê mówi¹c, jeszcze z nimi nie pracujê... - wyjaci³ Everett.

Wróci³a Dawn i poci¹gnê³a go za ramiê.

- Wybacz, Sylvio - powiedzia³a. - Muszê ci zabraæ Everetta.

Spojrza³ z têsnot¹ na swój talerz, ale nie opiera³ siê. Zaprowadzi³a go do niewielkiego gabinetu za schodami. Wskaza³a mu krzes³o w ciemniej¹cym pomieszczeniu i zamknê³a za nimi drzwi, a potem zdusi³a papierosa w stoj¹cej na ma³ym stoliku popielniczce. Zamiast na krzeœle usiad³ na grubym dywanie i Dawn klapnê³a obok niego.

- Nie chcia³am zostawiaæ ciê w szponach Sylwii i Dennisa - stwierdzi³a. - Upierali siê przy spotkaniu z tob¹.

- Wszyscy chcecie mnie widzieæ - odpar³.

- Czy Dennis opowiedzia³ ci o swoim problemie? - Dawn pochyli³a siê ku niemu; w ciemnym pomieszczeniu nie móg³ dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Myœlisz o tym, jak odbiera sny?

- Taaa.... Czy przedstawi³am ci swoj¹ teoriê na ten temat?

Czy¿by insynuowa³a, ¿e rozmawiali ju¿ wczêcej ze sob¹? Czy powinien j¹ pamiêtaæ? Poczuz³ zak³opotanie, które jednak szybko zniknê³o.

- Nie.

- O tym kimœ, kto bez przerwy mu mówi³, ¿e jest bezwartoœciow¹ kup¹ nieszczêœcia? O tej osobie, której nikt inny nie s³yszy?

- Tak?

- S¹dzê, ¿e to jego ¿ona - rozcemia³a siê sarkastycznie.

- A więc ci, co oeni¹, s¹ tutaj - podsun¹³.

- No cóż, ty tutaj jestece.

- To miejsce nie może być od nich wolne - Everett pomyśla³ o otaczaj¹cej dom mgłę, o dziwnie odizolowanej od miasta No Alley, o Cale'u.

O jego czêeciowym wcieleniu w twarzy Ilforda i duchowym istnieniu w lodówce Faulta.

- Rozejrzyj się wokó³ - powiedzia³a Dawn. - Nie musimy przeprowadzaæ się co trzy dni, nie musimy czcía telewizji. To w końcu nie jest Vacaville. Nikt tego nie zaplanowa³.

- Wiesz o tym z moich snów?

- Wiem o Vacaville od wielu róż¹nych ludzi. To nie jest tak daleko.

Everett potrz¹sn¹³ g³ow¹, staraj¹c się pouk³adaæ myœli. S³ysza³ odg³osy tocz¹cego się przyjêcia, szczêk kieliszków, szmer rozmów.

- Planowanie czy biurokratyzowane miejsca, takie jak Vacaville, to nie jedyny możliwy rodzaj rzeczywistoœci. Stanowi¹ wyj¹tki.

- Chryste, Everett, bêdziemy musieli wys³uchaæ Harry'ego, mówi¹cego o tych sprawach - rzek³a Dawn przesadnie gwa³townym tonem. - Bêdziemy o tym mówiaæ ca³¹ noc. Chcia³am tylko przedtem posiedziaæ z tob¹ chwilê sam na sam.

- Okay.

- Uwaga¹, że twoje sny s¹ sexy - stwierdzi³a, grzej¹c mu policzek oddechem. - Chcia³am ci to powiedziaæ. W porz¹dku? Everett skin¹³ g³ow¹.

- Co myœlisz o mnie - odchyli³a g³owê do ty³u, ale resztê cia³a przysunê³a bliżej.

- Jestem powœci¹gliwy w os¹dach - stwierdzi³ wreszcie.

- Czy ta sytuacja- spyta³a - to dla ciebie trochê za dużo?

- Ostatnio nie mia³em wielu takich... przygód. W każdym razie nie tego rodzaju, pomyśla³.

- Chcia³abym znowu spotkaæ się z tob¹, Everett, kiedy nie bêdziemy na przyjêciu. Mogê o to prosiæ?

- Pewnie.

Pochyli³a się i poca³owa³a go. tylko raz, w usta. W tej samej chwili szczêknê³a klamka i smuga œwiat³a przeciê³a w poprzek niewielkie pomieszczenie.

- Tutaj jesteœcie - powiedzia³ Fault, susz¹c zêby. - Ilford was szuka.

- Ilford może poczekaæ - odpar³a Dawn. Billy usiad³ obok. Nic nie mówi³, tylko z kieszeni kurtki wyj¹³ komplet strzykawek i fiolkê.

- Czy to Cale? - spyta³a Dawn.

Everett siedzia³ po prostu z rozdziawian¹ gêb¹, bezgranicznie zdumiony. Fault uniós³ brew.

- Czemu pytasz? Chcesz trochê?

- Czemu nie - odpar³a.

- To dla Everetta i dla mnie - stwierdzi³ Billy, trochę nerwowo. - Jedyne sposoby, w jakie mogę uszczkn¹æ nieco z plonów Ilforda. Pomoc³em, że jemu tak¹e mog³yby pomóc.

- Daj mi trochę - Dawn wyci¹gn³æa w jego kierunku ramię, wydymaj¹c wargi, jak ktoś o wiele lat m³odszy.

- To, co proponujemy, jest bardzo proste - powiedzia³ Harriman Crash.

Zamilk³ dla zyskania większego efektu, a Dawn ostentacyjnie westchn³æa.

- Od bardzo dawna dzie³alicie na chybi³ trafi³. Mog³æ pomóc wam przej¹æ nad tym ca³kowit¹ kontrol³æ.

- Rozumiem przez to, że chcesz mieć kogoś, kto ceni - rzek³ Everett. - Tutaj nie ma żadnego marzyciela.

Ilford chcia³ coś powiedzieć, ale Harriman podniós³ rękę.

- To nie takie proste - stwierdzi³. - Jesteśmy dużo bardziej odpowiedzialni, Everett, jak również nieco ambitniejsi. Z twoj¹ pomoc¹ chcielibyśmy stworzyć pewien szerszy zwi¹zek, rodzaj rozprzestrzeniaj¹cej się jedności, która rozwija³yby się w tym miejscu, cywilizuj¹c inne terytoria, inne rzeczywistości. Oczywiście, wymaga³oby to czasu.

- Jak?

- Musielibyśmy cię nauczyć, jak powinieneś używać swego talentu, uczynić cię widzialnym dla samego siebie oraz sprawić, byś pozosta³ czysty w stosunku do innych ceni¹cych, takich jak Kellogg.

- Myś³em, iż nie macie tutaj marzycieli i tym samym zwi¹zanych z nimi problemów.

- Jeżeli nie będziemy postępować ostrożnie, to talent taki jak twój móg³yby obudzić innych, Everett. Móg³yby też chronić przed naszym wtr¹caniem się albo zmieniać nas w marchewki czy podkowy do rzucania.

Harriman rozcemia³ się.

- Nie mam takiej mocy - zaprotestowa³ Everett. - Nie mogę zrobić tego, o czym mówisz.

- G³ębsze zastanowienie nad spraw¹ pozwoli³o nam dostrzec, jak bardzo się mylisz - stwierdzi³ Ilford.

- Rozwaga polega na tym, aby powiedzieć tym szakalom: odpiardolcie się - odezwa³ się Cale z ty³u, z miejsca, gdzie jak ptak ulokowa³ się na kanapie.

Dawn wyda³ skrzący upiornego cieniechu, oeci¹gaj¹c na siebie zmieszane spojrzenia Ilforda i Harrimana oraz spanikowany wzrok Faulta.

Cale pojawi³ się w momencie, kiedy Billy zaaplikowa³ Everettowi i Dawn czerdek z fiołki. Sta³ w pokoju, widzialny, s³yszalny - jednym s³owem, realny.

- Witaj, Cale - powita³ go Dawn sardonicznie. Cale tylko prychn¹³ w odpowiedzi, potem skin¹³ Everettowi g³ow¹ i zapyta³:

- Gdzie się podziewacie?

- Nie rozmawiaj z nim w obecności Ilforda - powiedzia³ Fault z niepokojem. - Nikt inny nie widzi go ani nie s³yszy, ale jeœli ty...

Potem zjawi³ siê Ilford i zagna³ ich z powrotem do living roomu, na konferencjê z Harrimanem Craschem. A Cale poszed³ za nimi. Na zewn¹trz mg³a wype³nia³a ciemnoœæ, a salon znowu b³yszcz³, jakby by³ jedynym pomieszczeniem na ca³ym œwiecie - wydawa³o siê, Ÿe jego umeblowanie p³onê³o wewnêtrznym blaskiem. Ani Dennisa Arda, ani Sylvii Greenbaum ju¿ nie by³o. Przyjêcie zawêzi³o siê do tylko istotnych uczestników.

Dawn wsta³a i wysz³a do kuchni, grzechoc¹c kostkami lodu w pustej szklaneczce. W ciszy, która nast¹pi³a, Everett spostrzeg³, Ÿe Ilford oraz Harriman oczekuj¹, aby coœ powiedzia³.

Stoj¹cy za kanap¹ Cale zdawa³ siê równie wyczekuj¹cy. Z³oty zegar na stoliku klekota³ równomiernie.

- Chcê wiedzieæ, na czym to polega - odezwa³ siê Everett. - Chodzi mi o sny i ceni¹cych.

- Móg³bym sporo powiedzieæ na ten temat - stwierdzi³ Harriman - ale by³yby to wy³¹cznie przypuszczenia, tylko interesuj¹ce domys³y.

- Samoobs³uguj¹ce siê domys³y - odezwa³ siê Cale, s³yszany jedynie przez Everetta i Faulta.

- Powsta³a po prze³omie konfiguracja wymaga ujednoczenia - ci¹gn¹³ Harriman.

Poprawi³ palcem swoje ciê¿kie czarne okulary i Everett podejrzewa³, Ÿe gdyby przesun¹³ je trochê wy¿ej na ³ycej g³owie, wodniste, rozbiegane oczy odjecha³yby wraz z nimi.

- Wybacz, jeœli to, co mówiê, brzmi jak metafora, ale kiedy nast¹pi³a zmiana, ludzka potrzeba porz¹dku dozna³a strasznego ciosu. Ta wielka potrzeba zaowocowa³a poszerzeniem wra¿liwoœci, kompensacyjn¹ podatnoœci¹ na sny.

Wróci³a Dawn z pe³n¹ szklank¹. Cale zadar³ g³owê, wywróci³ do góry oczy i przy³o¿y³ kciuk do ust, udaj¹c, Ÿe pije. Dawn uœmiechnê³a siê do niego afektownie i w toæecie wznios³a ku niemu szklankê. Everett stara³ siê ich ignorowaæ.

- Ludzie mog¹ nie chcieæ Ÿyæ nadal w sposób, w jaki teraz Ÿyj¹ - powiedzia³.

- Ÿycie pod re¿imem ekscentrycznego marzyciela mo¿e byæ lepsze od odczuwania pe³nego luk czasu, który nast¹pi³ po katastrofie.

- I mog³oby to nie byæ wcale gorsze od s³uchania gadaniny Harrimana - stwierdzi³ Cale.

Dawn prychnê³a z ustami pe³nymi alkoholu. Fault siêgn¹³ natychmiast po serwetkê i przy³o¿y³ j¹ do mokrej plamy na sofie. Ilford, zdziwiony, odwróci³ siê do Dawn. Najego twarzy pojawi³ siê wyraz zd³awionej furii, ale zaraz znik³. Everett zauwa¿y³, Ÿe Cale patrzy na ojca z bardzo podobnym wyrazem twarzy, który jednak nie przemija³.

- Podobnie jak w poprzednich erach, przywódcy nie s¹ potrzebni tym, którzy s¹ najm¹drzejsi czy najsilniejsi - ci¹gn¹³ nie zra¿ony Harriman. - S¹ jedynymi osobnikami, posiadaj¹cymi w miarê trwa³¹ wizjê.

I najbardziej przekonująco wytłumaczenie katastrofy, jak na przykład odwoływanie się do konwencjonalnego millenializmu przez twojego przyjaciela Kellogga. Przyj¹³ wszystkie tradycyjne znamiona grzechu i skruchy.

- To tak, jak być zamkniętym w zepsutej windzie z Bobem Dylanem - podsun¹³ Fault, rezygnuj^{1c} z walki z plam¹ i rzucaj^{1c} zmięt¹ serwetk¹ w Cale'a.

Przelecia^{3a} przez jego widmow¹ postać i upad^{3a} na pod³og^ê.

- Ty sam przyjmujesz te znamiona, Harry - stwierdzi^{3a} Dawn z fa³szyw¹ b³yskotliwo^oeci¹.

- Ale żadnego z nich nie ma ani tu, ani tam - odezwa³ się Ilford z rozdra^żnieniem.

Sprawia³ wrażenie, jakby, wyczuwaj^{1c} jakoby obecność Cale'a w pokoju, toczy³ straszliw¹ walkę o to, aby zachować spokój. Everett zastanawia³ się, czy jest jedynym, który to dostrzega.

- Istnieje mnóstwo teorii - ci¹gn¹³ Ilford, cedz^{1c} s³owa przez zacieni^ête z^êby. - Ale hipotezy s¹ jak katastrofa, w każdym miejscu inne.

- Ostatnim razem Ilford wpad³ na to wówczas, kiedy przyjecha³ tutaj Vance - powiedzia³ Cale, wychodz^{1c} spoza swego ojca. - Interesuj^{1cy} facet.

Everett stara³ się na to nie patrzeć. Nie widzia³ wcześniej Ilforda i Cale'a tak blisko siebie, jeżeli nie liczyć tego, w jaki sposób złazi się w rysach twarzy starszego Hotchkissa.

- Prawda - stwierdzi³ Harriman. - Nasz nacisk powinien iść na sposobność...

Cale ci¹gn¹³ swoje, mówi^{1c} w tle monologu Harrimana.

- Vance zjawi³ się tutaj zaraz po zmianie. Powiniene^o go poznać. Ten fakt da ci inny punkt widzenia.

Jak mog^ê spotkać się z twoim przyjacielem Vancem, chcia³ powiedzie^æ Everett, skoro nie mog^ê zobaczyć się z tob¹?

- ...jedynym rozs¹dnym wyj^ociem jest ochrona naszej wizji - mówi³ Harriman. - Czyż, nie tak, Everett?

- Tylko popatrz na niego - odezwa^{3a} się nagle Dawn.

- Na kogo? - spyta³ przestraszony Fault, uważaj^{1c} najwyra^Źniej, że ma na myśli Cale'a.

- Na Everetta. On jest wyczerpany, Harry. Na Boga, obaj z Ilfordem powinniście pozwolić mu oswoić się z sytuacj¹. Zadręczacie go tymi wszystkimi bzdurami.

- Dawn ma rację - popar³ j¹ szybko Billy. - Ja też czuję się trochę znu^oony.

Rozwali³ się na kanapie, najwyra^Źniej rozkoszuj^{1c} się perspektyw¹ rych³ego końca.

- Nie musisz dzisiaj decydować - powiedzia³ Harriman. Zmieni³ mu się wyraz twarzy, a jego brew powędrowa^{3a} ponad czarn¹ oprawkę okularów.

- Powiedz tylko, że się z tym przećpisz, jeżeli mog^ê tak uj¹æ.

- W porz¹dku - zgodzi³ się Everett.

- Robi się pó^Źno - zauwa^zy³ Ilford. - Wypijmy ostatniego drinka.

Roz³o¿y³ rêce.

- Brandy?

Wygl¹da³ na nieco zdesperowanego, jakby równie dobrze móg³ spróbowaa napiaê siê politory.

Everett wyszed³ na zewn¹trz, poci¹gniêty przez Dawn i widmo, czy te¿ projekcjê, Cale'a. Ju¿ na progu zostali otoczeni mg³¹, która przylgnê³a do ga³êzi eukaliptusa i zakry³a nocne niebo. Dawn zapali³a papierosa.

- Poszed³em dzisiaj do pokoju Gwen - odezwa³ siê Cale, poœpiesznie, jakby mia³ zamiar wkrótce znikn¹æ.

- Gwen jest t¹ kobiet¹ ze snów, tak? - spyta³a Dawn, wypuszczaj¹c k³¹b dymu, który rozp³yn¹³ siê we mgle.

Pytanie by³o skierowane do Everetta. Teraz, choæ to ju¿ nie mia³o ¿adnego znaczenia, zachowywa³a siê tak, jakby Cale nie istnia³.

- To nie twój pierdolony interes, Dawn - odpar³ Cale zadziwiaj¹co g³oœno.

Podnios³a brwi i odesz³a od nich, ale nie a¿ tak daleko, aby nie móc pods³uchiwaæ. A mo¿e s³owa Cale'a brzmia³y w jej g³owie z dowolnej odleg³oœci, dopóki jego dawka nie wyczerpa³a siê?

- Widzia³eœ j¹? - spyta³ Everett. Cale skin¹³ g³ow¹.

- Rozmawialicemy.

- Tak?

- Chcia³a wiedzieæ, kiedy znowu siê zjawisz.

Szarpnê³o to nim niespodziewanie mocno; myœl o niej tam, w czarnym pokoju, pytaj¹cej o niego. Chcia³ sprzeczaæ siê o to, ¿e Gwen nie mo¿e byæ œwiadoma ¿adnych przerw miêdzy jego wizytami, kiedy bowiem jego tam nie ma, ona w ogóle nie istnieje - póki jej nie zawezwie.

Ale chcieæ tego, to uznaæ, i¿ nie jest realna, i ¿e Cale nie by³ rzeczywisty, ¿e oboje stanowi¹ tylko wspomnienia, sny na jawie i nic wiêcej z nich nie pozostao. Nie chcia³ w to wierzyæ, nie móg³ sobie na to pozwoliæ.

Kiedy Everett przemyœliwa³ nad tym, Cale zacz¹³ nikt¹æ.

Nastêpnego dnia, nie spotykaj¹c ¿adnego z domowników, wyszed³ o œwiecie i uda³ siê w dół wzgórze. Kiedy dotar³ do Submission, ulice zbudzi³y siê do ¿ycia. Szed³ szerok¹ alej¹, nawi¹zuj¹c kontakt wzrokowy z mijanymi ludŹmi i smakuj¹c wrz¹cenie anonimowoœci. Jego sny nie zapowiedzia³y go tutaj.

W³oœciciele meksykańskich sklepów zaczynali dzieñ od wystawienia przy krawê¿nikach siedzeñ ze skrzynek po mleku, a uliczni sprzedawcy od wy³o¿enia swoich towarów - dyskietek, napêdzanych energi¹ s³oneczn¹ laptopów, zapieczêtowanych buteleczek z prochami, pêków kradzionych kluczy od domów w Ate Hashberry i Castillo - ka¿dy z rêcznie wypisan¹ plakietk¹ z adresem. Everett poszed³ do ulicznego stoiska sprzedawcy

quesadilli, ale potem przypomina³ sobie, że nie ma grosza; chociaż i tak nie wiedzia³, jakie pieni¹dze s¹ tu w obiegu.

Spostrzeg³ teleewangelistê, tego samego, którego widzia³ wczoraj, kiedy tylko wjechali z Faultem do miasta. Z³o¹zywszy we dwoje ogromne cia³o, rysowa³ co³e na chodniku, a poszarpana toga powêdrowa³a do góry, ods³aniaj¹c pêk drutów i bezpieczników. Obok stali dwaj meksykańscy ch³opcy, niecemia³o sobie z niego ¹artuj¹c. Robot ignorowa³ ich, ale kiedy Everett, zaciekawiony tym, co przedstawia rysunek, podszed³ bli¹ej, teleewan-gelista zauwa¹y³ jego zainteresowanie i zwróci³ ku niemu widocz¹ na ekranie twarz.

Rysunek, nakreœony przez robota z niesamowit¹ dok³adnoœci¹, przedstawia³ krucyfiks, w stylu zapo¹zycznym ze œredniowiecznych ikon.

- Czy w ogóle poznajesz ten kształt? - spyta³ teleewangelista zadziwiaj¹co cichym g³osem; jego zawiadackie rysy twarzy sprawia³y teraz wra¹enie, jakby by³ zbity z tropu. - Ty, cz³owieku, który upad³eœe tak nisko?

- Poznajê - odpar³ Everett.

- By³o to wtedy, kiedy Chrystus sta³ siê waszym królem - powiedzia³ robot.

Podniós³ siê znad rysunku i zwróci³ g³owê w stronê Everetta. Jego szatê oprószy³ kredowy py³.

- Wiem, że to prawda. Pamiêtam.

- A mo¹że zosta³eœe tylko tak zaprogramowany, żeby pamiêta³e? - podsun¹³ Everett.

Teleewangelista potrz¹sn¹³ g³ow¹, i to podwójnie. Robot pokiwa³ ni¹ z boku na bok, podczas gdy telewizyjny obraz wiekowego kaznodziei œci¹gn¹³ usta, zamkn¹³ oczy i poruszy³ ze smutkiem swym czerepem.

- Pamiêtam - stwierdzi³a maszyna. - œwiat od¹egna³ siê od Niego. Doznalioemy pora¹ki w naszej pracy. Jest tylko kilku, którzy wierz¹, i jeszcze mniej tych, którzy przychodz¹ Go wys³awia³e.

- My?

- Inni, tacy jak ja. Zostalicemy podzieleni i samotnie wys³ani w œwiat. Ale w ciemnoœci lepiej nie by³e samemu. Lepiej by³e odnalezionym ni¹li zgubionym.

Everett pomyœla³, że teleewangelista mo¹że pamiêta³e œwiat takim, jakim by³ on wczœniej, a jego obraz nie zosta³ wypaczony przez sny. Pamiê³e robota mog³a zachowa³e pewien rodzaj obiektywizmu; mog³aby dostarczyc dowodu na to, co siê sta³o - je¹eli istnia³a jakœe droga, pozwalaj¹ca przedrze³ siê przez meandry jego oprogramowania. To mog³o by³e trudne.

Podszed³ ¹ebrak i stan¹³ obok nich z wyci¹gniêt¹ rêk¹, pow³ócz¹c nogami star³ z chodnika czêœ³e rysunku. Teleewangelista odwróci³ siê; s³oñce b³ysnê³o na ekranie jego g³owy, kiedy wrêczy³ mê¹czy¹nie wyjê¹t z kieszeni tuniki broszurê. Everett roz³o¹y³ rêce i wzruszy³ ramionami, a ¹ebrak powêdrowa³ dalej.

Teleewangelista wyprostowa³ siê i zapatrzy³ w dal, jakby s³ucha³ jakiegoœ odleg³ego

nawo³ywania. Nad nimi, rzucaj¹c cieñ na alejê, unosi³ siê materac. Everett pamiêta³ niewyraŹnie czasy, kiedy wyrzucone antygravitacyjne materace wywêdrowa³y ze œmietnisk i zaczê³y lataæ nad miastem. Ten mia³ na spodzie wymalowany czerwonym sprayem napis, ale znikn¹³ mu z oczu, zanim zdo³a³ odcyfrowaaæ choæ jedno s³owo.

- Co siê zmieni³o? - zapyta³ Everett.

- Wszystko - odpar³ teleewangelista i twarz na ekranie zdawa³a siê krzywiæ z bólu, jakby niewidoczne cia³o ucierpia³o od uderzenia. - Ludzie zaczêli s³yszeæ g³osy. Gdzieniedzie widzia³oœ cz³owieka wyniesionego w górê, ale potem znowu g³osy œci¹ga³y go w dó³.

Everett zrozumia³, ¿e tamten ma na myœli sny.

- S³yszysz bicie dzwonów? - spyta³ robot. Everett nadstawi³ ucha. Nie by³o ¿adnych dzwonów.

- Koœció³?

- Jest niedziela, przyjacielu. Zajdziesz?

Niedziela. Gdzieœ tam, w Vacaville, Edie znowu siê przeprowadza. Ale czy aby na pewno jest tu ju¿ tyle czasu? Albo we Frisco by³ inny dzieñ, albo teleewangelista siê pomyli³.

Z Submission Boulevard Everett poszed³ za robotem do wielkiego, bia³ego koœció³a, mieszcz¹cego siê kilka przecnic dalej. Domy w okolicy wydawa³y siê ciche, niektóre z pozabijanymi oknami, inne otwarte na œwiat³o i prawdopodobnie zamieszkané; wszystkie zdominowane przez olbrzymie, ¿eliwne wrota œwi¹tyni. Na œrodku parkingu przed koœció³em znajdowa³ siê stos ¿u¿la oraz czerniej¹ce druty zbrojeniowe, wystaj¹ce z kupy popio³u i Everett pomyœla³ o obrêdowych stosach, krzy¿ach oraz wiklinowych kuk³ach. Teleewangelista otworzy³ drzwi œwi¹tyni kluczem, który mia³ zawieszony na szyi, po czym weszli do œrodka.

- Czy koœció³ nie powinien byæ stale otwarty? - spyta³ Everett. - A jeœli ktoœ chcia³by wejœæ?

Robot odwróci³ siê i pochyli³ nad nim z³owieszczo.

- Zobaczysz, ¿e o³tarz, który tu jest, mocno ucierpia³. Pewnego dnia ludzie powróc¹ do Jego domu, ale do tego czasu musimy go zamykaaæ, aby utrzymaæ porz¹dek.

Przeszli przez wewnêtrzne drzwi do g³ównej nawy. ławki wype³nia³y tuziny robotów, skorodowanych i powgniatanych jak jego przewodnik. Na ich ekranach widnia³a szalona ró¿norodnoœæ twarzy: korpulentnych czarnych baptystów, surowych ortodoksyjnych rabinów, statecznych, drêczonych poczuciem winy katolickich ksiê¿y. Niektóre roboty mia³y wadliwie dzia³aj¹ce ekrany, na których widaæ by³o tylko nieruchome obrazy. Wszystkie roboty nosi³y poszarpane tuniki, a wiele przystraja³y ekstrawaganckie zbiory religijnych œwiecide³ek - krzy¿e, gwiazdy Dawida, chrzeœcijañskie ryby, malutkie postaci Buddy z jadeitu, masoñskie oczy... Jeden, który ukazywa³ agenta FBI ostrzegaj¹cego przed nielegalnym kopiowaniem chronionych prawem autorskim programów komputerowych, mia³ na g³owie niezgrabn¹ koronê cierniow¹. Na dŹwiêk kroków Everetta odwróci¹

się i wpatrzyli w niego. W pomieszczeniu zaległa cisza.

- Znalazłem pielgrzymę - oświadczył jego przewodnik.

Nagle Everett pomyślał o Cale'u i Gwen. Wejście do tego kościoła wyglądało jak przyjęcie od Faulta zastrzyku i wniknięcie do chronionego miejsca, rezerwatu...

Czego?

Symulacji?

Jeden z robotów wystąpił naprzód. Jego ekran przedstawia oblicze zagubionego przez lata w dżungli misjonarza - było brodate, wycieńczone i niemożliwie surowe. Everett wyobraził sobie programistę pracującego nad rysami, które miały wywoływać religijny lęk i oddziaływać na uczucia wiernych - i na dodatek zebrane były w tym jednym obrazie.

- Witamy, sir. Jesteśmy zaszczytni, chociaż niewiele mamy do zaoferowania poszukującemu - być może Ralfrew już to panu powiedział.

- Nie - odparł Everett.

- Ralfrew ma dość odwagi, aby iść pomiędzy upadłych - oświadczył pomarszczony prorok; obraz na jego ekranie rozmazywał się czasami w zakłóceniach. - Reszta z nas rzadko to robi. Od czasu namaszczenia nas świętym zapachem zostaliśmy porzuceni przez Boga na łaskę losu.

- Ale zostaliście w mieście. Robot spojrzął w posadzkę.

- Zostaliśmy w kościele - potem odwrócił się.

Reszta teleewangelistów, pochylając głowy, wrócił do swoich modlitw; ferroplastikowe palce zgrzytały, kiedy zsiadali je razem. Everett syczał mruczącego do siebie robota, a cichy dźwięk odbijał się echem pod sklepieniem nawy.

Poruszony, wyszedł do przedsionka, a potem na zewnętrzny dziedzińiec; piekło go oczy, pakała. Teleewangelista imieniem Ralfrew pospieszył za nim, kilkoma wielkimi krokami pokonując dzielcy ich dystans.

- O co chodzi?

- Wasze wspomnienia są fałszywe. To tylko program.

- Fałszywe?

- Jesteście pułci - powiedział Everett. - Tak jak ten kościół.

- Nie rozumiem - odrzekł Ralfrew.

- Mój Boże, wspomnienia, czy jakkolwiek to nazwać, po prostu odleciały; kiedyś, dawno temu. Ulotniły się jak dym z kadzidła.

Rozmowa o tym nie ma sensu, pomyślał Everett. Robot nie posiada prawdziwej jałni, do której mógłby się odwołać.

- Pamiętamy...

Everett uciekł. Wrócił na wzgórze.

- Wyjacnij - poleci³ Everett.

Pogna³ do piwnicznego mieszkania Faulta, rozwali³ zamek przy jego lodowce i sam zaaplikowa³ sobie dawkê Cale'a.

- Pozwól, że najpierw coe ci pokażê - powiedzia³ Cale. W czerni pojawiły się drzwi.

- Têdy.

Przeszed³ przez nie i Everett ruszy³ za nim w pustkê. Cale zamkn¹³ drzwi i nagle znaleŹli się przed naturalnym krajobrazem - horyzont, wzgôrza, drzewa, przytulone do nich jezioro. Na pierwszy rzut oka Everett uzna³ sceneriê za pozbawion¹ g³êbi, p³askie, wspania^{3e} malowid^{3o}, oddalone zaledwie o cale od jego nosa. Ale kiedy poruszy³ g³ow¹, rozkwit^{3o} trzema wymiarami w prawdziwy œwiat. Odwróci³ się i ujrza³ ma^{3y} dom. Dom ze snów Chaosu.

Zamkn¹³ oczy i otoczy^{3y} go dŹwiêki: szelest w drzewach nad g³ow¹, ha³as czyniony przez rozmaite Źyj¹tka. Przeszywaj¹ce, szczebiocz¹ce g³osy. Potem wonie: rosy, sosny, zgni^{3ej} wilgoci. Czu³ g³adkoœæ trawy. Znajdowali się na trawniku za domem. Przez s^{3o}ñce przep^{3ynê}3a chmura, zaciniaj^{1c} po^{3owê} jeziora. Ni^{3ej} wiewiórka zniknê^{3a} z pola widzenia, pokonuj^{1c} spiralnym galopem pień drzewa.

- Zbudowa^{3em} to dla ciebie - powiedzia³ Cale. - To miejsce jest dla ciebie i Gwen.

- Jakim sposobem... i gdzie?

- Zbudowa^{3em} to z twoich wspomnień. Tam mieszka^{3eœ}, kiedy opuœci^{3eœ} miasto.

- Pamiêtam, ale tylko ze snów.

Cale siad³ na trawie. Everett tak^{3e} usiad³, wyci^{1gn}¹³ się na wznak i poczu³ ch^{3odn}¹ trawê zapl^{1tan}¹ pomiêdzy palce; czu³ te³ wilgoæ ziemi. Jak dalece mog¹ siêgaæ szczegó^{3y} tej iluzji? Co bêdzie, je^{3eli} zaczniesz kopae w gruncie? Znalaz^{3by} tam robaki?

- Tym się teraz zajmujê, Everett, stwarzaniem œwiatów. Zrobi^{3em} ich ju³ wiele.

- Jak?

- Nie wiem - Cale wzruszy³ ramionami, niemal zak^{3opotany}. - Po prostu to robiê. Zwykle ich nie pokazujê.

- Dlaczego?

- Na Billym nie robi¹ szczególnego wraŹenia, a wymagaj¹ sporo wysi^{3ku}. Szybciej się zu^{3y}wam.

Zamilkli.

- Móg^{3byœ} uczyniaæ to samo - przerwa³ ciszê Cale. - Zbudowaæ tutaj œwiat. Zrobi^{3byœ} to lepiej, zachowa^{3by} bowiem trwa^{3oœæ}.

- Nie rozumiem.

- Móg^{3byœ} wyœeniaæ go w realnoœæ.

- Jesteœ taki sam, jak twój ojciec. Chcecie, abym dokonywa³ niemoŹliwych rzeczy.

- Nie porównuj mnie z Ilfordem!

Porównanie to nie jest dobre s^{3owo}, pomyœla³ Everett. Nie wiem nawet, gdzie koñczy się

Ilford, a zaczynasz ty.

- Twój ojciec i Harriman wymagają ode mnie zbyt wiele - powiedziało tylko.

- Nie mów mi o tym pierdolonym Ilfordzie - sapnął Cale. Świat wokół nich zamigotało i zmatowiało, chwilowo zakłócony.

- Cale, skąd się biorą takie rzeczy jak ta?

- Przełom. Wszystko się zmieniło - nadal byłoby, ale jego głos - i krajobraz - wrócił do normy.

- Nie pamiętasz wiele więcej ode mnie, prawda?

- Nie wiem, co pamiętasz.

- Prawie nic. Przygotowałem dla mnie wspomnienie, histo

rię o wagonie. Myślałem, że pamiętasz całą naszą przeszłość, dorastanie.

Cale rozcemiało się.

- To ty dałeś mi wspomnienie o pociągu. Było to pierwszy sen, jaki miałem, kiedy znalazłem się w odpowiedniej odległości. W Vacaville, jak się działo. Coś o twoim przyjacielu Kelloggu w podziemnym szybie. Potem pojawiliśmy się my, buszujący w tunelach.

Everett nie wiedział, co powiedziała. Spojrzał na swoje dłonie, na których odbiły się ślady trawy. Ale czy w tym urojonym świecie byłyby to jego prawdziwe ręce?

- Wiem, że ty, ja i Billy byliśmy wcześniej przyjaciółmi - powiedziało Cale. - Reszta nie ma znaczenia.

- Pamiętasz moją rodzinę? Moich rodziców?

- Przykro mi, ale nie.

Everett poczuł się jak elektrostatyczne wyładowanie w pustej przestrzeni; coś krótkiego i na zawsze straconego.

- A co z Gwen? - spytał.

- Ty i Gwen byliście wcześniej ze sobą - odparł Cale niecierpliwie. - To oczywiste.

- Ale nie pamiętasz jej.

- Niezupełnie, mam kilka niejasnych wspomnień. Ale to nieistotne, Everett, ona jest teraz tutaj.

Nie takiego pocieszenia poszukiwał. Ile warte byłoby jego przywiązanie do Cale'a i Gwen, jeżeli ledwo ich sobie przypominał? Kim był on sam, jeżeli wszystko, co o sobie wiedział, zawierało się w strzępach wspomnień, które przylgnęły do tych ludzi? I czy w ogóle byli to ludzie, skoro żyli w szklanych ampułkach w lodówce?

- Jest coś, co chcę, żebyś zrobił, Everett, dla mnie i dla Gwen. Uczyń nasz świat realnym.

- Nie potrafię tego zrobić.

- To łatwiejsze od rzeczy, których już dokonałem. Zgromadziłem skądś adniki. - Cale wskazał gestem niebo. - Ty musisz tylko zakończyć robotę. Jedynym naszym ograniczeniem jest związek z zewnętrznym światem, zależność od niego. Możesz to przełamać.

Everett nie odpowiedzia³ i spojrze³ w górê. S³oñce przeby³o sw¹ drogê po niebosk³onie i teraz wschodzi³o ponownie.

- Co masz na myœli - odezwa³ siê po chwili - mówi¹c „uczyn³ to realnym”?

- Odwrócenie - powiedzia³ Cale. - Wywróæ to na drug¹ stronê.

Pokaza³ d³oñmi, o co mu chodzi.

- Ilforda, Kellogga i wszystko, ca³¹ tê potrzaskan¹, zmêczon¹ amerykañsk¹ rzeczywistoœæ - uczyn³ to ma³ym. SprowadŸ do zawartoœci próbówki; do specyfiku, który moglibyœmy za¿yæ, kiedy byœmy mieli na to ochotê. A tê wizjê uczyn³ œwiatem realnym, jedynym, który bêdzie trwaæ.

Everett siedzia³, milcz¹c.

- Uczyn³ realn¹ Gwen, Everett.

- To nie jest Gwen, tylko jej cieñ, fantom.

- Zarzucasz jej, ¿e ma kilka bia³ych plam w pamiêci? Mi³o siê z tob¹ gada, Everett. Gwen jest tak samo wiele, jak ka¿dego z nas.

Mo¿e on ma racjê, pomyœla³ Everett. Wróci³em, aby j¹ znaleŸæ - i znalaz³em. I to, co czu³em w jej ramionach, bez wzglêdu na otaczaj¹ce nas iluzje, by³o rzeczywiste. Jest rzeczywiste.

Miesi¹c temu mieszka³ w kabinie projekcyjnej, pij¹c coœ, co z bied¹ mo¿na by³o uznaæ za denaturat, i eni¹c sny Kellogga. Kim by³, ¿eby oczekiwaæ prezentu od rzeczywistoœci?

Mia³ szczêœcie, ¿e Gwen go pozna³a. Uzna³, ¿e by³a tak bardzo sob¹, jak na to zas³ugiwa³. Mo¿e nawet bardziej. Ale nie mó¿³ tego tak zostawiæ.

- Ktoœ musi wiedzieæ, Cale.

- Wiedzieæ co?

- Co siê sta³o z Gwen. I z tob¹, omal nie doda³.

- Co z Ilfordem. Co on pamiêta?

- Ilford to k³amca! - Krajobraz wokó³ nich zamigota³ i popêka³, rozjaœniaj¹c siê do nieprawdopodobnych barw podstawowych, a potem znikn¹³.

Znowu znajdowali siê w szarej, p³askiej przestrzeni - Cale

milcza³, zamýœlony i ura¿ony, jakby to Everett zburzy³ tamten œwiat, od-rzucaj¹c jego propozycjê. Everett rzeczywicie boleœenie odczu³ znikniêcie otoczenia i nie mia³o znaczenia, w jakim stopniu w nie wierzy³.

- Cale.

- Tak?

Musia³ znaleŸæ w³oœciwe pytanie, nie napomykaj¹c o Ilfordzie.

- Powiedzia³eœ, ¿e jest ktoœ, kogo powinienem poznaæ. Ktoœ z innym punktem widzenia spraw.

- Masz na myœli Vance'a.

- Tego w³aczenie mi trzeba - innego spojrzenia.

- Vance to facet, który têdy przejeżdża³. Z rok lub szeœæ miesiêcy temu, nie wiem dok³adnie.

Jeeli by³ rzeczywisty, mieli tam przypuszczalnie wielk¹ wojnê. Z Obcymi.

- Gdzie?

- W L.A., w innych miejscach te¿. Na szczêœcie mo¿na jeszcze odró¿niæ takie zdarzenie od kolejnego z³ego snu.

- Jest czêœæ pustyni - powiedzia³ Everett - ogarniêtej przez jakieœ militarne dzia³ania.

- Min¹³ ju¿ jakieœ czas od chwili, kiedy odwiedzi³em go po raz ostatni. Nie jest to w³aceniowie na pokaz...

- Nie rozumiem...

- Billy da³ mu dawkê, wiêc mog³em siê z nim spotkaæ. Kiedy przebywa³ tutaj, pomog³em mu stworzyæ wersjê jego œwiata, w³asne nagranie. Zreszt¹, zobaczysz.

Pojawi³y siê nowe drzwi i Cale z Everettem przeszli przez nie. Everett doœwiadczy³ chwilowego zawrotu g³owy; w jakieœ sposób dosta³ siê na ty³ samolotu, helikoptera czy innego pojazdu lataj¹cego, który znajdowa³ siê w tak mocnym przechyle, ¿e boczne okienka skierowane by³y niemal prostopadle ku ziemi. Ujrza³, ¿e jest tutaj inaczej ubrany: mia³ na sobie kombinezon z licznymi przewodami i koñcówkami. Cale, znajduj¹cy siê obok niego, ubrany by³ w podobny kombinezon. Miasto pod nimi wygl¹da³o na p³askie, szare i wymar³e. Everett zamkn¹³ oczy i poczu³ ko³ysanie maszyny oraz wibracjê pracuj¹cego silnika.

- Cale - powiedzia³ ktoœ.

Everett podniós³ wzrok. Obcy mê¿czyzna, tak¿e w kombinezonie, nurkowa³ przez niskie przejœcie, z kokpitu samolotu. By³ czarny, m³ody, ale w³osy mia³ kompletnie siwe. Nosi³ ciemne, mikroskopijne okulary, które zaledwie zakrywa³y ga³ki oczne.

- Vance - odpar³ Cale. - Przeprowadzi³em ze sob¹ przyjaciela, Everetta Moona.

- Vance Escrow - przedstawi³ siê tamten. Stan¹³ w szerokim rozkroku i wyci¹gn¹³ rêkê. Everett pochwyci³ j¹, aby nie straciæ równowagi.

- Everetta nie by³o tutaj - wyjaceni³ Cale. - Stanowi rodzaj zdobyczy Ilforda.

- Nawet mi nie mów. - Vance skrzywi³ siê. Odwróci³ siê i Everett poczu³ na sobie jego wzrok.

- Œenisz?

- No có¿, tak - odpar³.

- Powinieneœ do nas do³¹czyæ - powiedzia³ Escrow.

- Zostaw to, Vance - rzek³ Cale. - Przeprowadzi³em go tutaj, ¿eby dowiedzia³ siê czegoœ o wojnie.

- Co chcesz wiedzieæ? - Vance uœmiechn¹³ siê z przymusem. - Jesteœmy tymi, którzy ocaleli, tysi¹c piêciuset czy tysi¹c szeœciuset wolnych ludzi. Wszyscy pozostali to ju¿ niewolnicze ma³py. Staramy

się nie zabijaæ zbyt wielu z nich, bo to nie ich wina. Walczymy z mrowiskami, nie z nimi.

Pojazd pochyli³ się i zacz¹³ pikowaæ, brzêcz^{1c} ponad dachami opuszczonego centrum handlowego. Everett widzia³ ciemne sylwetki, uciekaj^{1ce} za róg budynku niczym szczury. Z kokpitu dobieg^{3y} trzescz^{1ce} od zak^{3óceñ} atmosferycznych g^{3osy} z krótkofalówki.

- Hej, Stoney! - zawo^{3a3} Vance w tamt¹ stronê. - Wyrównaj. Rozmawiamy tutaj.

- Taa... jest - us^{3yszeli} lakoniczn¹ odpowiedŸ.

- S¹dzi^{3em}, ¿e walczycie z Obcymi - odezwa³ się Everett.

- Racja, ale to nie jest tak, jak myœlisz. To nie s¹ po prostu jakiece marsjañskie strasz^{3a}.

Wiesz, dlaczego jesteœmy w powietrzu, prawda? Cale opowiedzia³ ci o tym?

- Tamci dominuj¹ na powierzchni - wyjaœni³ Cale. - Jak œni^{1cy}, z tym, ¿e obcy, nie z tej planety.

Jedynym sposobem, aby pozostaæ wolnym, jest nieustanne przebywanie w powietrzu.

- Gdybyœmy wyl¹dowali, stalibyœmy się tak¿e niewolniczymi ma³pami - powiedzia³ Vance. -

Wolny cz³owiek to awiator.

- Do czego s¹ im potrzebni niewolnicy? - spyta³ Everett. Patrzy³ na rozci¹gaj^{1cy} się za oknem krajobraz, staraj^{1c} się nie zapominaæ, ¿e nie jest realny.

- Roje - wyjaœni³ Escrow. - Rozrastaj¹ się we wnêtrzu wszystkich budynków. Ludzie musz¹ się nimi opiekowaæ, przynosiæ im po¿ywienie, œwiecide³ka czy drobne ofiary. Na planecie Obcych dominuj¹cymi gatunkami s¹ pewnego rodzaju zbiorowe inteligencje, którym s^{3u}¿¹ wiêksze stworzenia. Podobnie zrobili z nami, kiedy wyl¹dowali. Obrócili nas w zwierzêta poci¹gowe. I naprawdê nie przejmuje¹ się warunkami, w jakich ¿yj¹ ich poddani; nie wtedy, gdy jest ich tak wielu. Ludzie nie myj¹ ju¿ zêbów, jeœli wiesz, co mam na myœli. Nawet nie pamiêtaj¹ o tym, aby jeœæ.

- Te mrowiska... w ogóle ich nie opuszczaj¹?

- Nie. Uwa¿aj to za rodzaj raka, Moon. Guzy, ziemskie guzy rosn^{1ce} wewn¹trz domów, przenikaj^{1ce} przez piwniczne stropy, roj^{1ce} się od tego nienaturalnego, obcego ¿ycia, które mo¿e dostaa¹ się do twojej g³owy, wypraæ ci mózg i spowodowaæ, byœe dba³ jedynie o to, ¿eby mu by^{3o} wygodnie. To jak bycie na s^{3u}¿¹bie u rakowej naroceli!

Wlecieli nad wodê. Everett spojrze³ w dó³, na ich odbicie: pozbawiony œmig^{3a} helikopter, dok³adnie taki sam jak ten na pustyni, który naznaczy³ na ró¿owo ich samochód.

- Wiêc wy w ogóle nie l¹dujecie? Vance potrz¹sn¹³ g³ow¹.

- Nie tutaj. W tym celu musimy lataæ do innych stref. Tu ¿yjemy w powietrzu. Przyzwyczaisz się, ludzie się adaptuj¹.

- Nie traktuj go protekcyjnie - rzek³ Cale. - Everett to Cz³owiek Adaptacja.

- Pewnie - zachichota³ Escrow. - Sk¹d jesteœ, Moon?

- Z Hatfork w Wyoming. Ale wczœniej z Kalifornii.

Escrow wskaza³ podbródkiem Cale'a.

- Zna³e tycy ludzi przed prze³omem?

- Dorastali³emy razem - wtr¹ci³ Cale, zanim Everett zd¹y³ odpowiedzieæ.

- A zatem Ilford chce, ¿eby Everett mu pomaga³ - stwierdzi³ Vance; opar³ siê o œciankê dzia³ow¹, krzy¿uj¹c ramiona na piersi. - W przeprowadzeniu wielkiej ekspansji.

Cale potwierdzi³ skinieniem g³owy.

- Pos³uchaj uwag³nie - zwróci³ siê Escrow do Everetta. - Je¿eli Ilford zwali siê tutaj albo gdziekolwiek, gdzie w³adaj¹ mrowiska, dostarczy im zbyt wielu odpowiedzi. Fragmentarycznoœæ jest tym, co powstrzymuje Obcych od zdominowania ca³ego tego przedstawienia.

- Mo¿e inna rzeczywistoœæ przewa¿y - podsun¹³ Everett. - Mo¿e na przyk³ad, zwyciê¿y³cie.

- Mrowiska s¹ z zupe³nie innego œwiata, mój przyjacielu. Oni nie w³³ozawodnicz¹ na tym samym poziomie. Mamy tu kilku takich, którzy œni¹ w powietrzu. Nie najgorsze to, dopóki Obcy s¹ w izolacji. Ale cz³owiek œni¹cy tam, na dole - to po prostu kolejna niewolnicza ma³pa.

- To po co jestem wam potrzebny?

- Pracujemy z ludŸmi takimi jak ty, ale ostro¿nie. Nie tutaj, tylko w Meksyku. Mamy kilka pomys³ów.

- Vance i ja niekoniecznie siê co do tego zgadzamy - powiedzia³ Cale.

Escrow machn¹³ niecierpliwie rêk¹.

- S³uchaj: jak myœlisz, dlaczego œwiat rozpad³ siê na kawa³ki? Poniewa¿ wyl¹dowali Obcy. To by³a reakcja obronna, ewolucyjny krok. Rzeczywistoœæ poszatkowa³a siê, aby odizolowaæ mrowiska.

- Nie rozumiem, jak siê do tego maj¹ sny - stwierdzi³ Everett.

- To mrowiska je indukuj¹. Im bardziej œwiat siê ujednocila, tym wiêcej go mog¹ uchwyciæ; to sprzê¿enie zwrotne. Tacy œni¹cy jak ty, Moon, s¹ tego ofiarami.

Naleganie, ¿eby uwierzy³ w inwazjê Obcych, stanowi³o wielk¹ proœbê, mo¿e nawet zbyt wielk¹. Ale Everett móg³ siê zgodziæ z tez¹, ¿e jest ofiar¹.

- Pos³uchaj, Moon, ujmê to proœiej - Vance machniêciem wskaza³ na Cale'a, na ca³¹ maszynê. - To, ¿e ten Cudowny Ch³opak stworzy³ tutaj tê kwitn¹c¹ symulacjê, wcale nie znaczy, ¿e w L.A. nic siê nie zmieni³o. Mo¿e ju¿ nie ¿yjê, ten realny ja. Do tej pory mogli nas ju¿ powystrzelaæ. Je¿eli tak jest, to popêkanie rzeczywistoœci stanowi dla ciebie i innych jedyn¹ ochronê przed bli¿szym poznaniem warunków panuj¹cych w mrowiskach.

Przebili siê przez zas³onê niskich chmur i gdy miasto zniknê³o z pola widzenia, Everett zrozumia³, co by³o nie w porz¹dku w tej scenarii. L.A. zbudowano dla samochodów i bez nich zosta³o pozbawione czegoe najbardziej dla siebie istotnego; wygl¹da³o niczym wykrwawione cia³o. Albo puste mrowisko. Sucha ³uska.

- Co z tego stanowi prawdê? - spyta³ Everett. Byli ponownie w zerowej przestrzeni Cale'a. Tamten roz³o¿y³ rêce.

- Usłyszałem wszystko, co wiem. - Fantom zdawał pogrześć się w depresji.

Everett czuł, że dawka powoli przestaje działać.

- A ten powietrzny pojazd, w którym się znajdowaliśmy? - zapytał. - Widziałem już taki nad pustynią. Naznaczony mój samochód.

- Kręcił się w okolicy. Ale mógł być po prostu snem. Nie widziałem nigdy mrowiska?

- Nie.

- Ani ja. Według jego wersji o L. A., nigdy nie dotkniesz tam gruntu. Będziesz tylko z odległości wysadzać miasto w powietrze.

Everett zastanowił się przez chwilę: a co, jeżeli mógłby zrobić to, o czym marzy Cale? Jeżeli weniłby zamknąć w probówce ówiat Cale'a w rzeczywistość, a Vance, obecnie martwy, zostałby przywrócony do życia?

Czy powinien to zrobić dla Gwen?

- Oczywiście, że pamiętam Vance'a - powiedział Dawn Crash. - To arogancki, gupi macho.

- A więc jest realny - stwierdził Everett. - Nie stanowi czegoś, co wypycha Cale.

Przyszło mu na myśl, że wymyślny scenariusz o L.A. mógł być retoryczną fikcją, narzędziem perswazji w cichych zmaganiach toczących się pomiędzy Cale'em i Ilfordem.

- Jest rzeczywisty, zgadza się. I zrobił tu całkiem realną awanturę, zanim Ilford go nie przegnał - ucieszył się z przymusem. - W końcu przespałam się z nim, jeżeli chcesz znać prawdę.

- Więc Obcy...

- Istnienie Vance'a nie znaczy, że i Obcy są prawdziwi - powiedział Fault. - To tylko kolejny sen, Everett. Jak najlepiej owinąć sobie ludzi dookoła palca. Wymyślajcie groźnego wroga i tłumaczcie wszystko koniecznością wysiłku wojennego.

Dawn i Billy zjawili się jej samochodem tuż po zachodzie słońca i zaprosili go na drinka. Po odwiedzinach u Cale'a Everett siedział w mieszkaniu Faulta w piwnicy i obserwował, jak zanika pochłaniana przez mgłę jasność. Na widok wyłamanego zamka lodówki Billy uniósł brew, ale nie odezwał się na ten temat ani słowem.

Powieźli go w dół wzgórza, do baru w Submission, zwanego „Void”, gdzie podawano słonawe piwo w wielkich, brudnych dzbanach. Everett czuł się tak, jakby odwiedził już kiedyś to miejsce, ale nieuchwytność tego wrażenia, a potem brak związku ze wszystkim, co mógł zrekonstruować, wprowadziły go w przygnębienie. Bar okazał się zatłoczony, boksy i stoliki zostały opanowane przez nastoletnich Meksykan o rzadkich brodach oraz podstarzałą prostytutkę, przymawiającą się o drinki. Przy stole bilardowym groźnie wyglądający Murzyn skupiał się nad swoim następnym strzałem. Barman wrzucał cięgle monety do grającej szafy, jakby nie chciał być zmuszony do podsłuchiwania żadnych rozmów. Everett, Dawn i Fault usiedli w ciemnym boksie naprzeciwko czarnej ściany. Everett czuł pulsowanie muzyki oraz chłód przelatującego przez niego alkoholu - i zdawało mu się, iż jest tylko sum

tych wrażeń.

- Pamiętasz moich rodziców? - zapytał Billy'ego.

- Nigdy ich nie spotkałem - odparł ostro, nie Fault; zdawał się wyczuwać braki pamięci Everetta.

- Nie rozmawiać o nich nawet?

- Nie pamiętam - Billy podniósł szklankę piwa, chował się za nią.

- Zdawało mi się, że dojdę do czegoś, kiedy tu wrócę. Do siebie.

- Kiedy odnalazłem cię w Vacaville, nazywałeś się Chaos, pamiętasz? Powinieneś być wdzięczny za to, co masz.

- W każdym razie to, kim jesteś, mniej zależy od wspomnień - odezwał się Dawn. - Przynajmniej ostatnio.

- Więc co to jest? - zapytał Everett z sarkazmem. Rozumiał teraz, jak wściekle potrzebował odpowiedzi.

- To, co robisz. Twoje wybory - pocignął swego drinka. - Jakim się stajesz.

- Więc nie powinienem dbać o to, kim byłem przedtem? Dawn wzruszył ramionami.

- Jeżeli chcesz. Tylko nie twierdź, że wszystko od tego zależy, ponieważ nigdy nie będziesz tego pewny.

- A jeżeli chodzi o ciebie? - chciał wiedzieć Everett, nagle rozwścieczony jej zadufaniem. - Tobie wydaje się to takie łatwe? Pamiętasz wszystko sprzed przeszłości? Czy twoje życie jest zbiorem tego, co się wtedy działo?

- Głównie interesuje mnie zapomnienie tego, kim byłem wcześniej - odparł.

Everett pojął wagę wzmianki o pamiętaniu zbyt wielu rzeczy; tak wielu, że pragniesz o nich zapomnieć. Poczuł błąd zazdrości. Chociaż to wcale nie musiało być tak odmienne, pomyślał, od pragnienia, aby nie ośmielił się. Od zacierania Kellogga.

- Byłbyś wcześniej członkiem Harrimana? - zapytał. - Jesteście małżeństwem, prawda?

- Nasz związek trwa od bardzo dawna, choć nie wygląda tak, jak prawdopodobnie to sobie wyobrażał.

- Kim on jest? Naukowcem badającym sny? Kim byłeś wcześniej?

- Jego badania biegły w tym kierunku. Oczywiście, przeszłości zmieniła to, podobnie jak wszystko inne. Ale nie chcę rozmawiać o Harrimanie. Nudzi mnie ten temat.

Everett poczuł się znudzony upieraniem się przy uzyskaniu odpowiedzi, które nie przynosiły mu satysfakcji. Jego wzrok powędrował poza bar, przez okno z potrzaskami i poklejoną taśmą szybą, otoczony przez zakurzone, nieaktualne już znaki firmowe. Na ulicy był ktoś, kogo rozpoznał, a raczej coś - teleewangelista. Stał, robił wykład czy udzielał reprimendy, dwóm małym chłopcom, którzy przez moment przypominali Everettowi Raya i Dave'a; ale to byli po prostu dwaj obcy malcy. Widział,

jak porwali robotowi zapas broszur i rozrzućili je po ulicy, a potem uciekli. Teleewangelista schyli³ siê, zbieraj¹c szybko rozlatuj¹ce siê na wietrze kartki.

- Nie pogra³byœ w bilard? - spyta³a Dawn nieoczekiwanie Faulta.

Chwytaj¹c aluzjê, Billy skin¹³ g³ow¹ i wycelizn¹³ siê z boksu. Everett widzia³, jak podchodzi do sto³u, krêc¹c nerwowo g³ow¹, kiedy pyta³ o coœ graj¹cych.

- Chcê z tob¹ porozmawiaæ o tej dziewczynie ze snów - powiedzia³a Dawn.

- O co ci chodzi?

- Gwen, mam racjê? Jesteœ w niej zakochany. To dlatego wróci³eœ.

Everett skin¹³ potakuj¹co, zbyt zmêczony - i prawdopodobnie zbyt pijany - aby zaprzeczyæ.

- Cale pragnie, ¿ebyœ uczyni³ jego œwiat realnym. Spojrza³ têpo przed siebie, nie chc¹c tego potwierdzaæ. Podczas party zauwa¿y³ manifestowan¹ przez Dawn niechêæ do Cale'a.

- A zatem, on i dziewczyna bêd¹ ¿ywi - naciska³a dalej. - Nie k³am, Billy powiedzia³ mi o tym.

Ich spojrzenia spotka³y siê i wiedzia³, ¿e to wystarczy za

potwierdzenie. Ponownie przysunê³a siê do niego, a¿ ich ramiona, biodra i kolana zetknê³y siê.

- Pos³uchaj - powiedzia³a. - Mam lepszy pomys³.

- Lepszy od czego?

- Uczyñ mnie Gwen.

- Nie rozumiem.

- U¿yj swojej mocy, ¿eby zmieniaæ mnie w tê, której po¿¹dasz. Ona o¿yje, a ty bêdziesz j¹ mia³.

Wiem, ¿e mo¿esz to zrobiæ. Zamieñ mnie w Gwen. Je¿eli tego chcesz, mo¿emy przenieœæ siê do domu, o którym œniesz.

Zamkn¹³ oczy, a potem podniós³ szklankê i opró¿ni³ j¹. Czu³ d³oñ Dawn na swoim udzie.

- To obrzydliwe - zdo³a³ powiedzieæ.

- Dziêkujê - odpar³a.

- Mogê zapytaæ, co byœ z tego mia³a? Rozeœmia³a siê i œcisnê³a jego nogê.

- Mog³abym powiedzieæ, ¿e to nie twój interes, Everett, ale wyjaœniê ci. By³abym znowu m³oda. Nie, ¿ebym teraz by³a stara, ale twoja Gwen jest bardzo m³oda, podobnie jak ty. I chcê zmieniaæ swoje ¿ycie. A ty mnie odmieniasz. Twoja moc mnie odmienia.

Milcza³.

- By³aby rzeczywista, Everett. Wiem, jak bardzo tego pragniesz. Nie powinienesiê nad tym zastanawiaæ ani chwili d³u¿ej.

- A co z Harrimanem i Ilfordem? Co z ich planami?

- By³abym szczêceliwa, widz¹c, jak id¹ z dymem, kochanie - drug¹, woln¹ rêk¹ obróci³a jego twarz ku swojej.

- Poca³uj mnie - za¿¹da³a.

Dotkn¹³ ustami warg Dawn i poczu³ smak jej oddechu. By³ s³odki niczym sok jab³kowy. Spodziewa³ siê czegoe³ bardziej cierpkiego, popio³u lub octu winnego.

Znowu przysunêli siê do siebie. Everett poczu³ siê rozpruty. Dobiegaj¹cy jak z garnka ha³as szafy graj¹cej, zapach potu i stêch³ego dymu. klekot ku³ bilardowych, jêzyk Dawn w jego ustach, jej d³oñ na udzie - wszystko odp³ynê³o jak wyspy, aby ods³oniaê le¹ce miêdzy nimi morze czy mg³ê. Usiad³ prosto i potrz¹sn¹³ g³ow¹. Dawn otworzy³a oczy, uemiechnê³a siê z rozdra¹zeniem i odsunê³a.

- Nie jesteœ jeszcze Gwen, wiesz o tym - powiedzia³, lic¹c na to, ¹e zabrzmi to z³oceliwie; chcia³ wyraziæ przez to ca³¹ apokaliptyczn¹ gorycz œwiata.

Ale ona uemiecha³a siê nadal.

- Nie, jeszcze nie. Ale nie jestem taka z³a. Wysun¹³ siê z boks, poszed³ do toalety i sta³ tam, chwiej¹c siê nad pisuarem. Wszed³ Fault, wci¹ z kijem bilardowym w garœci.

- Dobrze siê czujesz, Everett?

- Chod¹my st¹d.

Sta³ i patrzy³ w gó¹ê, na nisko zawieszone niebo, na opadaj¹ce na czarn¹ konsolê drzew sklepienie z mg³y. Dawn podrzuci³a ich na koniec podjazdu przed domem Ilforda, a potem jej samochód wœlizn¹³ siê niezauw¹alnie w noc, a d¹wiêk silnika rozp³yn¹³ siê w ciszy.

Przez chwilê ¹a³owa³, ¹e pozwoli³ jej odejœæ. Móg³ siê uwolniaê od b³yszcz¹cego domu Ilforda, móg³ pójœæ z Dawn do ³ó¹ka i zadawaæ jej pytania. Uciezka kobiety by³a zwi¹zana z tym, co zdawa³a siê wiedziæ. Nienawidzi³ siê za to, co go do niej ci¹gnê³o. Za swój brak przesz³oœci.

Ruszy³ w stronê domu i spotka³ czekaj¹cego na niego Faulta.

- Jesteœ uniwersalnym potakiwaczem?

- Co? - spyta³ Billy, ledwo widoczny w mroku.

- Polecasz mnie wszystkim po kolei - Ilfordowi, Cale'o-wi, teraz Dawn...

- To trochê przykre, Everett.

- Ka¹dy chce jakoe³ kawa³ek mnie - ci¹gn¹³. - Z wyj¹tkiem ciebie, dla którego stanowiê wabik.

- Jest wiele rzeczy, których nie rozumiesz - stwierdzi³ Fault.

- Czy ciebie w ogóle obchodzi, po czyjej stronie stoisz?

- Jestem jednym z tych, co prze¹yli - powiedzia³ Billy z oburzeniem. - Podobnie jak ty. jak inni.

Robiê to. co muszê. Nic nie wiesz o moich problemach, Everett. Nie wiesz, co mnie spotka³o.

Zapad³o milczenie, a oni stali w ciemnoœci na podje¹dzie.

Everett s³ysza³ swój oddech, czu³ przyocieszony od alkoholu puls. Przed nim, jak latarnia morska we mgle, p³onê³y okna living roomu Ilforda. Mieszkanie w przyziemiu by³o nieoœwietlone i niewidoczne.

- Masz racjê - powiedzia³ w koñcu. - Nie wiem, co ci siê przydarzy³o.

- W³acenie.

- Wiêc powiedz mi. Co nas spotka³o podczas prze³omu? Co sta³o siê z Cale'em?
- Mog³o byæ du¿o gorzej.
- Kogo os³aniasz? Ilforda? Cale'a? A mo¿e siebie?
- Nie jestem...
- Wiêc powiedz mi, co wiesz.
- Nie mogê.

Fault odwróci³ siê i ruszy³ w stronê domu.

Everett sta³, z³oœæ go opuœci³a; pragn¹³ pójøæ w przeciwnym kierunku - w noc i mg³ê. Zamiast tego ruszy³ za Billym, wchodz¹c w kr¹g padaj¹cego z okien œwiat³a. U wejœcia do piwnicy znowu wpad³ na Faulta.

- Chcê dawkê na noc - powiedzia³.
- IdŸ na górê i przeœpij siê. Dobra³eœe siê ju¿ do moich zapasów.
- Daj mi to, Billy...
- Zamknij siê. Nie mów o tym na zewn¹trz...
- No to na dole. Zeszli do piwnicy.
- Tak d³ugo ciê nie by³o - powiedzia³a Gwen.
- By³em zajêty - odpar³. - Sprawy siê skomplikowa³y.

Przyci¹gnê³a go do siebie, w swoje ramiona, tam gdzie siedzia³a na brzegu wisz¹cego w pustej przestrzeni œóka. Poczuc³ jej dotkniêcie niczym echo, szept w jêzyku pamieci. Ale czuc³ siê ju¿ zmêczony szeptami.

- Musisz znaleŸæ sposób, abyœmy mogli byæ razem - odezwa³a siê. - Nie mogê bez koñca na ciebie czekaæ, nie wytrzymujê tego.

- To nie takie proste - stwierdzi³.
- Cale powiedzia³, ¿e jest na to metoda.
- Cale s¹dzi, ¿e istnieje sposób. Ja jednak nie wiem, co o tym myœleæ.
- Powiedzia³, ¿e móg³byœ skoñczyæ to, co on zacz¹³ - ci¹gnê³a. - Kiedy zawo³a³ mnie tu z powrotem, kiedy pomóg³ mi wróciæ. Móg³byœ ponownie sprowadziæ mnie do rzeczywistego œwiata.

Everett mrugn¹³.

- Mo¿liwe. Mo¿liwe, ¿e móg³bym coœ takiego zrobiæ.
- Cale tak uwa¿a, Everett.
- Czy Cale... - przerwa³.

Nie mia³o znaczenia, czy Cale przyszed³ tu wczêœniej. Gwen wyra¿a³a jego myœli. Prawdopodobnie by³ u niej, przyszed³ osobiœcie i rozmawia³ z ni¹. To i tak lepiej, ni¿ s¹dziæ, ¿e w jakieœ sposób zdalnie j¹ zaprogramowa³. Je¿eli tak siê sta³o, to nie chcia³ o tym wiedzieæ. Odsun¹³ siê od niej.

- Coe nie w porz¹dku? - zajrza³a mu w oczy.

- Muszê wiedzieæ, kim jestem.

- Ja wiem, kim jestece.

- Powiedz mi.

- Jestece Everett, zakochany w Gwen. Everett z Gwen. Tak jak ja jestem Gwen z Everettem.

Gwen dla Everetta - mrugnê³a, spojrze³a w dó³, a potem ponownie poszuka³a jego wzroku. - Kochasz mnie, Everett?

- Tak. Ale nie jestem...

- A zatem znam ciê.

- Nie znasz - powiedzia³. - Nie znasz mnie.

- Co przez to rozumiesz? Oddali³ siê od jej ³ó_çka.

- Pozwolisz, çe coe ci pokaçê? W milczeniu skinê³a g³ow¹.

Zabra³ j¹ do Hatfork.

Stali na parkingu przed Multiplexem, z góry piek³o ich s³oñce, a powietrze pustyni wysuszy³o im usta. Tablice reklamowe nadal g³osi³y, çe jedynym granym repertuarem jest Chaos. Pusta, czarna p³aszczyzna parkingu pali³a ich przez podeszwy butów. Mruç¹c oczy, poci¹gn¹³ j¹ za rêkê pod zadaszenie wejœcia.

- Everett - zaczê³a.

- Musisz nazywaæ mnie Chaosem - powiedzia³. Wyci¹gn¹³ swój stary pêk kluczy i otworzy³ s³uç¹bowe drzwi. Weszli do korytarza, który prowadzi³ do kabiny projekcyjnej.

- Dlaczego mam ciê nazywaæ Chaosem? - wygl¹daj¹c na przestraszon¹, opar³a siê o œcianê.

- Poniewaç tutaj to moje imiê - wyci¹gn¹³ rêkê, dotkn¹³ jej ramienia i ucemiechn¹³ siê lekko. - Byæ moç¹e nawet jest to imiê, które sam sobie nada³em, poniewaç stanowiê czynnik, który powoduje, çe jest tutaj tak, jak jest. Pomog³em stworzyæ to miejsce.

- Nie rozumiem. Miejsca nie maj¹ juç wiêcej znaczenia. Tak powiedzia³ Cale. Powiedzia³, çe moç¹e stworzyæ dowolne miejsce, jakiego zapragnie. I ty takçe to potrafisz, Everett.

- To jest coe odmiennego od rzeczy, które buduje Cale. Chodzi mi o to, çe nie stworzy³em go sam. Nawet go nie lubiê. Ale jest t¹ czêœci¹ mnie... któr¹ pamiêtam.

Zamkn¹³ za nimi drzwi, pogr¹çaj¹c korytarz w mroku. Zna³ drogê, zawsze bêdzie zna³. Chwyciwszy Gwen za rêkê, poprowadzi³ j¹ po schodach do góry. Kabina projekcyjna wygl¹da³a dok³adnie tak, jak j¹ zostawi³; stare maszyny pokryte kurzem, brudne koce skot³owane pod ³ó_çkiem. Jego papierosy leç³a³y tam, gdzie je od³oç³y³; i zda³ sobie sprawê, çe nie zapali³, odk¹d wyruszy³ w drogê. Pomyœla³ o tamtym dniu, o sprzeczce z Kelloggiem przy zbiorniku, o swojej ucieczce. Otr¹sn¹³ siê z czaru wspomnieñ, posadzi³ Gwen na kanapie i zapali³ w rogach pomieszczenia œwiece.

- Co to jest? - spyta³a. - Tutaj mieszka³ece?

- Przez piêæ lat.

- Mylisz siê, Everett. Cale powiedzia³ mi, ¿e wed³ug ciebie up³ynê³o piêæ lat, ale to nieprawda.

Wszystko, co wiedzia³a, pochodzi³o od Cale'a. Everett rozumia³, ¿e tamten zrobi³, co móg³, aby przygotowaæ j¹ do spotkania z nim; zrobi³ wszystko, by mia³a szansê staaæ siê rzeczywist¹.

- Niewa¿ne-powiedzia³.-To jest miejsce, w którym wczesniej przebywa³em i które pamietam. Dla mnie minê³o piêæ lat. Potrzebna g³owa¹, a potem spojrz³a na niego z niepokojem.

- Wygl¹dasz inaczej.

Skin¹³ g³ow¹. W³osy jak strzecha, skóra spalona s³oñcem, nie umyte zêby. Wyci¹gnê³a siê wygodnie na sofie.

- W porz¹dku - stwierdzi³a.-Widzia³am ju¿. Teraz wiem.

- Nie - zaprzeczy³. - Musisz pójœæ ze mn¹ i zobaczyæ to. Chcê, ¿ebyœ ujrz³a wszystko.

Wzi¹³ j¹ do samochodu i pojechali przez miasto. Najpierw wst¹pili do Decala. Everett przedstawi³ Gwen, a tamten uœmiechn¹³ siê do niej swoj¹ szczerbat¹ gêb¹ i potrzebna jej d³oni¹. Da³ im dwa pojemniki, po kwarcie alkoholu ka¿dy, które Everett zamkn¹³ w baga¿niku. U Siostry Earskin doda³ pojemnik z zup¹ i dwa pieczone ptasie udka, opakowane w aluminiow¹ foliê z odzysku. Rangersi Kellogga nadal nie dostarczyli ¿adnych nowych konserw. Chaos zastanowi³ siê, jak wiele czasu up³ynê³o od chwili, kiedy widzia³ ostatni¹ puszkê czy komandosa zaopatrzeniowego, a inna czêœæ jego umys³u rozwa¿a³a równoczenie, czy Rangersi w ogóle jeszcze istniej¹, czy te¿ stanowili po prostu wytwór umys³u Kellogga.

Potem pojechali na skraj pustyni i usiedli na rozsypuj¹cych siê solnych wydmach, aby obserwowaæ zachód s³oñca i coœ zjeœæ.

Jego myœli kr¹¿y³y daleko i bardzo d³ugo milczeli. W koñcu, najcichszym g³osem, na jaki mog³a siê zdobyæ, spyta³a:

- Czy Cale stworzy³ kolejne miejsce? Dom dla nas? Taki, w jakim mieszka³eœ wczesniej?

- Tak.

- Czemu tam nie poszlicemy - ci¹gnê³a - zamiast tutaj?

- Chcê, ¿ebyœ mnie zobaczy³a w tej scenerii.

- Dlaczego?

- Musisz poznaæ tê czêœæ mnie.

- To najgorsza twoja czêœæ, Everett. Nie potrzebujesz tego, przecie¿ uciek³eœ st¹d.

- Ja... - nie potrafi³ znaleŹæ odpowiednich s³ów.

- Tak?

- Czy w mi³oœci nie chodzi w³acenie o to? - powiedzia³. - Czy nie powinnoœ kochaæ nawet najgorszej mojej cz¹stki?

Ale wiedzia³, ¿e w sytuacji, kiedy powinien mówiæ o tym, co jest realne, a co fa³szywe,

rozmowa o mi³oeci mija siê z celem.

- Nie wiem - odpar³a.

- No cóż, mycelê, ¿e to wszystko dooko³a sta³o siê za moj¹ spraw¹, Gwen. Najgorsza czêœæ.

Ta czêœæ.

- S¹dzê, ¿e by³œe tutaj nieszczêeliwy - stwierdzi³a, odk³adaj¹c z powrotem do folii kawa³ek w³óknistego miêsa, które próbowa³a zjeœæ. - I uważam, ¿e to miêso jest zgni³e. Nie mogê uwierzyæ, ¿e stworzy³œe ca³y ten œmietnik, ca³e to pokrêcone miejsce tylko po to, aby mnie tutaj zaci¹gn¹æ.

Zapatrzy³ siê w dal, na niki¹ce odbicia s³oñca na b³yszcz¹cej autostradzie, myœl¹c o swojej podróży do Kalifornii, o rzeczach, co do których by³ pewny, ¿e zostawia je za sob¹, oraz o tych, o których s¹dzi³, ¿e z nim zosta³y.

- Cale mówi, ¿e mo³esz zrobiæ wszystko - powiedzia³a. - Mo³emy mieæ wszystko, czego zapagniemy, Everett. Nie odpowiedzia³.

- Zabierz nas z powrotem - poprosi³a.

- Jeszcze nie.

Przywar³a do jego ramienia.

- Zatem do twojego domu, czy cokolwiek to jest. Proszê. Odwróci³ siê i zobaczy³ w jej oczach strach.

- W porz¹dku - stwierdzi³.

Schowa³ jedzenie do samochodu i pojechali do Multiplexu.

Skulona usiad³a na tapczanie.

- Bojê siê, Everett. Je³eli odejdziesz ode mnie, nie wiem, co siê ze mn¹ stanie. Nie wiem, gdzie bêdê. Bo³e, jak tutaj œmierdzi.

- Nie chcê ciê opuszczaæ - odrzek³.

- Wiêc daj z tym spokój. To jest destrukcyjne.

Brzmi¹ca w jej g³osie stanowczoœæ by³a kolejnym echem Cale'a.

- Jesteœ tutaj tylko chwilê - stwierdzi³. - Daj temu szansê.

- To szaleñstwo, Everett...

- Nazywaj mnie Chosem. To wa³ne.

- Nie, nie bêdê ciê tak nazywaæ. To nie jest twoje imiê - opuœci³a g³owê i zaczê³a cicho p³akaæ. - Wszystko jest na opak.

- Na opak?

- To nie jesteœ ty, ten prawdziwy. To jest fa³sz, Everett, z³udzenie. Chcia³abym sprawiaæ, ¿ebyœ to zrozumia³.

- Wszystko jest fa³szywe - otworzy³ pojemnik z alkoholem i poci¹gn¹³ ³yk. - Teraz wszystko jest nieprawdziwe. Ale pewne nierealne rzeczy s¹ tak³e wa³ne, poniewa³ definiuj¹ ludzi. Tak jak ty, Gwen.

Jesteś jedną z rzeczy, które mnie definiują.

Pociągnij kolejny łyk.

- Ty także jesteś fałszywa, wiesz o tym.

- Nie mów tak - żyła na jej twarzy zdawała się parować, a policzki zaczerwieniły się ze złości. -

Przebyłam drogą, aby do ciebie wrócić, Everett.

Siostra Cale'a. Za każdym razem, kiedy stawała się zła, siostra Cale'a. Jej łagodna strona wyglądała na bardziej przekonującą, ponieważ została odcignięta ze snów Chaosu; jej zła zły pierwiastek był w całości wymyślony. Do tego Cale stanowił model sam dla siebie; dysponował tylko własnym głosem.

- Stworzyłeś mnie Cale - powiedział wreszcie, nienawidząc mnie za to.

- Nie...

- Stanowisz symulację. Stworzyłeś mnie z paru skrawków, z kilku wspomnień. Zbudowałeś mnie wokół pomysłu na mnie, na nas oboje. To dlatego wszystko tam działo się z twojego powodu. Liczyłeś, że dokończę jego robotę, oblekłem cię w ciało i uczynię realną.

- Cale mówił mi coś innego.

- Kłamstwo. Stanowisz pokaz przezroczy - żyła znowu, patrz w dal i unikaj jej wzroku. -

Jesteś prezentem dla mnie, Gwen. Wabikiem, aby sprowadzić mnie z powrotem. Cale wykonał dobrą robotę, najlepszą, jaką mógł. Sprawisz, że uwierzyłam sama w siebie.

Znowu zaczęła płakać.

- Nie widzisz mnie? Nie słyszysz?

- Gdybyś była prawdziwą Gwen, mogłabyś kochać mnie jako Chaosu.

- Nie muszę kochać w tobie tego, co najgorsze - stwierdziła, wstając. - Nie jestem psem, Everett.

Milczała, ale uznała, że nikt nie trudziłby się wymyślaniem fałszywego psa.

A jego czołowe, ta z Hatfork, zdecydowała jeszcze, że gdyby była psem, miałaby pieczę. Wspaniałe łacie.

- To wszystko kłamstwa - powiedziała i podeszła do drzwi. - Nie muszę przechodzić żadnego testu. Zobaczmy się później, Everett. Nawet nie znam nikogo o imieniu Chaos.

Zeszła po omacku po schodach i zamknęła za sobą drzwi. Słyszała, jak jej kroki stukają na dole i po chwili milczą.

Everett, który był nieco bardziej przywiązany do Gwen, mógłby nie chcieć, aby stąd wychodziła. Poszedł za nią.

Ale nie Chaos. Chaos pociągnij kolejny łyk.

Kiedy piła, zastanawiała się, czy rzeczy, które jej powiedziała, stanowiły prawdę; i co by to znaczyło, gdyby okazały się autentyczne? Czuła wewnątrz jakiegoś bólu. Piła, żeby go zagłuszyła. Kiedy tak

siedzia³, widzia³, jak œwiat³o œwiec rozmazuje siê; i rzeczy, które powiedzia³, i rzeczy, które ona powiedzia³a, wszystkie odbija³y siê echem, jak nierealny osad po jednym ze snów Kellogga. To, co pozosta³o, co zawsze pozostawa³o, to by³ ten pokój. Stare projektory wycelowane w puste widownie.

Ale jeżeli sugestie Cale'a s¹ prawdziwe? Czy istotnie mógł³by wyœniæ w rzeczywistoœciæ projekcje umys³u? (Emieszne, gdyby tak by³o, poniewa³z z pewnoœci¹ Cale nie mia³ na myœli Hatfork.

Napi³ siê do tej myœli.

S³ucha³ pustynnego wiatru, wyj¹cego w systemie wentylacyjnym. Na zewn¹trz panowa³a teraz noc. Zastanawia³ siê, dok¹d posz³a ta kobieta - czy skierowa³a siê do miasta czy na autostradê? A mo³e rozp³ynê³a siê w tym samym momencie, kiedy opuœci³a budynek i znalaz³a poza zasiêgiem jego oddzia³ywania? Pomieszenie z popl¹taniem. Ta ca³a sprawa z San Francisco i tamci ludzie, wszystko zagmatwane. Naprawdê niedorzeczne. To musia³y byæ jakieœ g³upie pomys³y Kellogga.

Wspomnia³ kwaceno po³egnalne s³owa kobiety. No có³z, nie by³ wcale pewny, czy zna kogoœ imieniem Gwen.

Je³eli Kellogg mia³ g³upie pomys³y, to co go zmusza³o do tego, ³e je œni³? A nawet jeszcze g³upsze?

Pozosta³ w swojej kabinie przez dwa dni, pij¹c, pal¹c i onanizuj¹c siê. W nocy pi³, aby straciæ przytomnoœciæ i nie œniæ. W koñcu g³ód wygna³ go na zewn¹trz. Wsiad³ do samochodu i pojecha³ do Siostry Earskin po zaopatrzenie. Zaœmia³ siê do siebie, kiedy z³apa³ swe odbicie we wstecznym lusterku; za nim rozci¹ga³a siê autostrada, a wiatr targa³ mu w³osy. Wszystko bêdzie dobrze. Móg³ ³yaæ ze snami Kellogga. To jego praca, jego krzy³ do niesienia. Poza tym Hatfork stanowi³o jego miejsce; tutaj by³ emblematem. Wszystko wróci³o do normy.

Wróciwszy do Multiplexu, ujrz³a stoj¹cy na parkingu samochód, którego nie zna³. Kiedy wniós³ na górê swoje zapasy, zasta³ siedz¹cego na kanapie Kellogga, który œwietli³ wnêtrze kabiny latarni¹ i zasnu³ powietrze dymem wielkiego cygara.

- Musimy pogadaæ, Chaos.

Nie móg³ wydobyæ z siebie g³osu. Kiedy widzieli siê ostatni raz, zostawi³ grubasa krwawi¹cego na piasku.

- Twoja kobieta jest w moim domu. I, ch³opcze, natar³a mi uszu. Jest nawet bardziej szalona ni³ ja. Powinieneœ by³ to s³yszeæ. Chaos!

- Moja kobieta?

- Gwen, twoja elegancka dupa z miasta, nie pamiêtasz? Jak szybko, jak szybko oni zapominaj¹! Powinienem by³ ciê nazwaæ Kapitan Nieprzytomny... No có³z, niewa³znie. Na szczêœcie, trafiliœmy na siebie. Twoja strata, a mój zysk. Wyceni³œcie sobie tutaj piekieln¹ kobietê, Kapitanie.

Kellogg poci¹gn¹3 swoje cygaro, które rozb³ys³o ciemn¹ czerwieni¹. Chaosowi wydawa³o siê przez moment, ³e by³o nabite orzechami i ³e Kellogg pali ciastko z orzechami.

- Ty i Gwen? - spyta³.

Teraz sobie j¹ przypomina³. Ale tylko przypomina³. Kellogg rozecemia³ siê, parszaj¹c k³êbami dymu.

- Zazdrocæ, Kapitanie?

- Co? Nie. Ona nie jest rzeczywista.

- Nierzeczywista? Nadal jedziesz na tym samym koniu? Masz g³êboko popierdolone poczucie hierarchii wa¿noœci, Chaos. Jest równie realna jak ja. Oboje pochodzimy od ciebie.

- Jesteœ nienormalny.

- Cudownie! - stwierdzi³ Kellogg, zeskakuj¹c z sofy; Chaos cofn¹³ siê o krok. - Czy mam powiedzieæ: Nie, to ty jesteœ wariatem? Mo¿emy siê tak bawiæ przez jakieœ czas, jak s¹dzê.

Odegra³ obie role, uwa¿aj¹c, aby udawaæ Chaosa.

- Jesteœ nienormalny. Nie, to ty jesteœ nienormalny. Wybacz, ale to ty jesteœ chory - wyci¹gn¹³ rêkê i postuka³ Chaosa niedopa³kiem cygara w klatkê piersiow¹, zostawiaj¹c mu na podkoszulku plamê br¹zowej od tytoniu celiny.

- Masz problemy, Chaos. Zdrowie umys³owe i realnoœæ posz³y sobie w tych dniach na daleki spacer.

- Zostaw mnie w spokoju. Kellogg podniós³ do góry rêce.

- Ty tu jesteœ szefem. To sedno sprawy, Chaos. Ty tutaj rz¹dzisz.

- Gównu prawda! - Chaos poczu³ siê nagle rozdra¿niony. - Zagubi³em siê. Jestem w San Francisco, prawda?

- No có¿, taaa...

- I patrz, znowu znajdujê siê tutaj z tob¹ - Chaos schowa³ twarz w d³oniach. - Przeby³em ca³¹ tê drogê do Frisco i nawet nie uda³o mi siê uciec od ciebie.

- Co za gównu! To ty mnie tutaj wezwa³œe, stary. Jestem tylko konsultantem w tej sprawie. Chaos zignorowa³ go.

- Brakuje mi olbrzymich fragmentów ¿ycia - powiedzia³.

- Ja nawet nie pamiêtam swoich rodziców. Kellogg pomacha³ rêk¹.

- Masz trzydzieœci lat, Chaos. Czas, ¿ebyœ przesta³ skamleæ o rodziców. Na rany Chrystusa, zabierz siê za tworzenie w³asnej rodziny.

- Kto mi to zrobi³, Kellogg? Mo¿e ty?

- Nie ja, staruszk. Kiedy ciê spotka³em, by³œe taki sam jak teraz. Znalaz³œe mnie i zaczêliœmy razem pracowaæ. Zawsze ¿y³œe w OSR.

- OSR?

- Ograniczona Subiektywna Rzeczywistoœæ. Tak to nazywam. Zasadniczo powinienem zastrzec tê nazwê. Tworzy³œe wokó³ siebie skromn¹ przestrzeñ, któr¹ kontrolowa³œe, zanim nie wpad³œe na

innego faceta, z jego własnej sfery wpływu. Niewielka sfera rzeczywistości i nierealności, normalności i wariactwa, ocienione razem. Nie ma nadziei na oddzielenie ich od siebie. To jest sposób, w jaki żyjesz. OSR.

- Masz teorię na każdy okoliczność.

- Prawda, prawda. A twoja OSR z pewnością mogłaby być elegantsza, Kapitanie - Kellogg znowu pomachał ręką i przewrócił świecę. - Oops! No cóż, musimy iść. Wycieczka!

Podniósł swoją latarnię i zacięwał:

- Jest świat, do którego mogę pójść i wywiedzieć się o swoje tajemnice, w moim pokoju, w moim pokoooojuuu... - Przerwał i odwrócił się. - Cholera, omal nie zapomniałem. Gwen napisała do ciebie listek.

Pogrzebał w kieszeni i wyjął pamiątkę strzępek papieru.

- Masz.

Podał go Chaosowi i stłapał cięko, zszedł na dół. Chaos wygładził kartkę i przeczytał:

Cale nie jest w stanie dostać się tutaj. Spowodował, że nie może nas znaleźć. Jeżeli nie zrobisz czegoś, utkniemy tutaj na zawsze.

Chaos położył listek na stoliku obok papierosów. Przez minutę czy dwie siedział bez ruchu, a potem odpakował to, co przywiózł od Siostry Earskin i zjadł.

Później, w nocy, obudziły go ciche kroki na schodach. Usiadł i zapalił świecę. Otworzył się drzwi i weszła Melinda.

- Ty chuju, sprowadziłeś mnie z powrotem do rodziców. Starł resztki snu z powiek i patrzył na nią, zamrużył. Melinda opadła na brzeg jego posłania.

- Znowu uciekam, przed chwilą. Oni mnie zabiją.

- Jak się tutaj dostać?

- Podwiózł mnie Edge. Kocha się we mnie, wiesz? Podobne przysługi posuwaj sprawę do przodu - potrzebna goś. - Nie mogę uwierzyć, że jestem z powrotem w tym mieście.

- Gdzie jest Edie? Prychnęła pogardliwie.

- Teraz chcesz wiedzieć, gdzie jest Edie! Boże, Chaos, nie uważasz, że jest już trochę za późno?

- Co przez to rozumiesz?

- Tam, w Vacaville, zrobiło się dziwniej. Cooley i tamci...

- Tak?

- To trudno wytłumaczyć. Ale gdzie się podziewałeś? I co my tutaj robimy?

- Musiałem wrócić. Nie miałem zamiaru sprowadzać cię ze sobą. To ma coś wspólnego z tą kobietą...

- Wiem. wiem, twoja dziewczyna ze snu. Edge mówi, że ona jest u Kellogga. Po co ją

œci¹gn¹³œœ?

- Musia³em coœe sprawdziæ. Ja... dla niej nie jestem nawet Chaosem. Myœla³em, ¿e odnajdê swoj¹ przesz³œœæ. Ale tutaj nic nie ma.

- Wiêc?

- Nagle wyda³o mi siê wa¿ne, abym znowu by³ Chaosem.

- No có¿, mo¿liwe. - Melinda przewróci³a oczami i ziewnê³a. - Ale s¹dzê, ¿e sta³œœ siê niew³œœciwym Chaosem.

- Co masz na myœli?

Podci¹gnê³a nogi na tapczan i opar³a g³owê na kolanach.

- Jesteœe przegrany - stwierdzi³a. - Chaos, który tylko siedzi i godzi siê na wszystko. Chodzi o to, ¿e móg³byœe byæ facetem, który ruszy w drogê.

Nie wiedzia³, co odpowieziæ.

- Wiesz, bo ona mog³a siê w nim zakochaæ. Je¿eli tego chcia³œœe; je¿eli w ogóle wiesz, czego chcesz - znowu ziewnê³a. - Bo¿e, jaka jestem zmêczona. Musia³am le¿eæ, czuwajc w ciemnoœci, zanim moi nie posnêli. By³am taka z³a na ciebie. Och - rozbudzi³a siê trochê. - Zgubi³œœe zegar? Znalaz³am jakœe na zewn¹trz.

A potem usnê³a, zwiñêta w jego nogach. Jakby uwa¿a³a, ¿e to jest w³œœciwe dla niej miejsce, zaduma³ siê. Bez wzglêdu na to, co przeciwko niemu mia³a.

Siedzia³ przez d³ugi czas bez ruchu, patrz¹c, jak ma³a œpi. Kiedy by³ pewien, ¿e jej nie obudzi, wyœlizn¹³ siê z kabiny i zszed³ na dó³. Zaczyna³o wschodziæ s³œnce. Odwróci³ siê i na zachodzie, na skraju wzgórz, dojrza³ ostatnie bledn¹ce gwiazdy.

Znalaz³ zegar, le¿¹cy na ma³ej przyzmi piasku w najdalszym k¹cie parkingu. Okaza³ siê zdumiewaj¹co ciê¿ki, a z³ote wahad³o przesunê³o siê nierówno, kiedy go wyprostowa³. Dziwacnie g³œœone tykanie zegara by³o regularne, bez wzglêdu na to, czy zegar sta³ pionowo czy nie. Patrzy³ na niego w zadumie. W Hatfork czy w Ma³ej Ameryce nie znalaz³by nic równie piêknego ani czystego.

Kolejna wiadomoœæ, kolejna strza³ka, wskazuj¹ca mu drogê z Hatfork. Doœæ nieoczekiwana.

Zrozumia³, ¿e musi wracaæ. W miejscu, sk¹d pochodzi³ zegar, zosta³o coœe nie dokoñczonego. Mo¿e ucieczka, której nie powinien jeszcze podejmowaæ. Tykanie zegara wydawa³o siê zag³uszaæ czyst¹ myœl, nawet jakby wo³a³o go z powrotem.

Chaos podeszed³ do tablicy na koñcu parkingu i stamt¹d patrzy³ na wznosz¹ce siê nad pustyni¹ s³œnce; obserwowa³, jak

ogrzewa³o wzgórze i wypala³o rosê, która przylnê³a do trawy rosn¹cej w szczelinach chodnika i u podstawy wspornika tablicy.

CHaOs, cHAOs, CHaOs.

A potem pozwoli³, aby Hatfork zniknê³o; niebo i pustynia, Multiplex i œpi¹ca na górze

dziewczynka; wszystko.

Zegar by³ szczęśliwy. Klekocz¹c, uważa³ się za najwyższe wcielenie dumy oraz celowości. Praca stanowi³a jego drug¹ naturę, nie wymagaj¹c zreszt¹ żadnego wysi³ku. Bycie zegarem polega³o na tykaniu, ale bycie tym zegarem polega³o na klekotaniu. Dł¹więk sam w sobie by³ z³oty, jak i odbicie; wielkie dzie³o, wyróż¹nienie.

Ob³a obudowa zegara zawiera³a w miniaturze ca³y pokój, zakrzywiony i poz³ocony. Ale świat³o p³ynę³o w dwie strony. Kiedy b³yszc¹ce waha³o kręci³o się i kręci³o bez końca, o cal nad szklan¹ tafl¹ stolika, magiczne drobiny świat³a bieg³ły wzd³u¹ł¹ ościan pokoju, dotykaj¹c wszystkiego i odtańcowuj¹c strzeliste szlaki, dok³adnie powtarzane. Promienie potwierdza³ły wyposażenie pomieszczenia, ka¹dy mebel b³yszcza³ w odpowiednim miejscu, nawet jeżeli odbicie w obudowie celi¹ga³o wszystko w pojedynczy, po³yskliwy w³ęz³.

Nagrodzony, nagradzaj¹cy. Cóż za przywilej.

Klak.

Ca³y pokój czu³ się szczęśliwy. Zegar by³ światom fantastycznej przyjemności dębowego krzes³a, jak¹ czerpa³o ono z bycia dębowym krzes³em, nie d¹daj¹c niczego więcej. Być może zardrości³ nawet dębowemu krzes³u, którego s³oje b³yszcza³ły spod wielu cienkich warstw polityry, a drewniane szczeble oparcia by³ły tak cudownie wygięte. Ilford mógł³ tam usi¹œæ! Ale zegar wiedzia³, że kiedy Ilford wejdzie do pokoju przez którekolwiek z drzwi i stanie czy si¹dzie gdziekolwiek, zostanie pochwycony i obdarzony blaskiem obudowy zegara, doczeka³ miarowego pulsu jego odliczania - i to by³o du¹o lepsze.

Krzes³o by³o wspania³e, ale zegar by³ wspanialszy.

Zegar czu³ obecność zadowolonych z siebie znajduj¹cych się w pomieszczeniu przedmiotów: obrazów, szklanego sto³u, lampy o marmurowej podstawie, a nawet rzędu kanciastych szklanek i zatykanych, kryształowych karafek ze szkock¹ za drzwiczkami intarsjowanej róż¹anym drzewem szafki. A tak¹e szeregu drzewek bonsai na okapie kominka - z wyj¹tkiem jednego, na samej krawędzi, nieco niezadowolonego.

Klak, klak.

Dzisiaj pada³o i by³a mg³a, więc okna ozdabia³ły brylanty kropel. Migota³ły. Mg³a powodowa³a, że - nawet kiedy nie by³o deszczu - szyby stawa³ły się nieprzezroczyste i nie wiod³ły tak bardzo na zewn¹tr¹, jak znajduj¹ce się w tym pomieszczenia lustro. Zegar nie mia³ rywala w s³ońcu. Ca³e świat³o i ciep³o emanowa³o z pokoju, a zegar stanowi³o łośni¹ce centrum tego systemu. Nic innego nie by³o równie pewnego. Zegara nigdy nie zas³ania³a mg³a. S³ońce niemal zawsze.

Pokój wydawa³ się doskona³ły, ale niekompletny. Czekaj³, nieco nie speł³niony, na powrót Ilforda. Co by³o celem tej perfekcji, tego lekkiego świateczenia, jeżeli nie to, aby Ilford wszed³ tutaj i zaludni³ go? To nie by³ pierwszy z brzegu doskona³ły pokój - jeżeli gdziekolwiek istnia³ jak¹ie inny - to

by³ perfekcyjny pokój Ilforda.

Klak.

Zegar i reszta pokoju nie musia³y dzisiaj d³ugo czekaæ. Wszed³ Ilford, sam, strzepuj¹c deszcz z p³aszcza na dywan. Mówi¹c szczerze, jego obecnoœæ wprowadzi³a niedoskona³oœæ: kropelki nas¹czaj¹ce tkaninê, drzwi kredensu otwarte na oœcie¿, podczas gdy nalewa³ sobie drinka, brzêkanie i szcêkanie towarzyszy¹ce rozmaitym ruchom, nieporz¹dne wobec miarowego g³osu zegara. Mimo ¿e tak czysty i wypielêgnowany, Ilford nie Dasowa³ do swojego w³asnego domu. Ale to nie mia³o znaczenia. Kiedy on by³ wewn¹trz, dom móg³ prawdziwie ¿yæ i oddychaæ, by³ spe³niony.

Szczególnie zegar podziwiał Ilforda. Zupe³nie nie móg³ powiedzieæ dlaczego; tak naprawdê, nie wiedzia³by nawet, jak zacz¹æ. Ale odbijanie Ilforda, tak ¿e by³ on zjednoczony w z³otej miniaturze ze swoimi doskona³ymi sprzêtami, utrzymywanie kryterium doskona³ej sensownoœci i dobrego os¹du Ilforda w zgodzie z niezawodnym chronometrazem, te obowi¹zki - a tak naprawdê przywileje - stanowi³y cel istnienia zegara...

Nagle coœ by³o nie w porz¹dku.

Klak.

Zamiast przejeæ bez za¿enowania obok zegara, poruszaj¹c siê ze swoj¹ naturaln¹ swobod¹, przemawia³ ka¿dym gestem, i¿ posiada ten doskona³y dom z obojêtn¹, przypadkow¹ moc¹, która przerazi³a zegar i wszystkie meble, na których spocz¹³ wzrok Ilforda. Kiedy postawi³ szklaneczkê szkockiej na szklanym blacie stolika, odwróci³ nieco niezgrabnie g³owê i z w¹tpliwoœci¹ w szeroko otwartych oczach gapi³ siê na tarczê zegara; rêce mu siê trzês³y, ale tylko trochê.

Po chwili to minê³o, ale zosta³o zast¹pione przez coœ bardziej niestosownego i nieprzyzwoitego. Niepewne spojrzenie Ilforda zmieni³o siê w po¿eraj¹ce i nacechowane poczuciem w³asnoœci. Patrzy³ na zegar nie jak na oddanego i wiernego s³u¿¹cego, czym by³ mechanizm, ale jak na coœ gro¿nego, co zosta³o poskromione - niczym na wypchan¹ i powieszon¹ na œcianie g³owê upolowanego lwa.

adne z tych spojrzeñ nie by³o konieczne.

Klak.

Zegar zacz¹³ siê niepokoiæ. Ilford podniós³ szklankê, napi³ siê i wszystko znowu sta³o siê normalne. Zegar wiedzia³, ¿e ¿aden inny mebel nic nie zauwa¿y³, ¿e wszystkie by³y pewne swych miejsc w otoczeniu Ilforda; a wœród nich, na g³ównym miejscu, i samo mieszkanie. Tylko zegar czu³ siê poruszony.

Dostrzeg³ dwa dziwne spojrzenia... i coœ jeszcze. W rysach Ilforda, w chwili za¿enowania, zegar zauwa¿y³ tak¿e b³ysk innej twarzy. Zegar móg³by przysi¹c, ¿e by³o to migniêcie m³odoœci, gdyby nie fakt, ¿e niew¹tpliwie oblicze Ilforda zosta³o ju¿ dawno uformowane.

Kiedy do tego doszed³, zegar po omacku szuka³ opisu niezgodnoœci, kryj¹cych siê w rze¿bie twarzy Ilforda. I kiedy wymaca³ to, znalaz³ odpowiedŹ: Cale.

Kto to jest Cale?

Gdy zegar zaczął sobie to przypominać, bardzo się przeraził. Nadal trzymał się dokładnego czasu, nawet kiedy wspominał, że tak jak Ilford był nie tylko Ilfordem, ale także podciągnięty pod tę kategorię obecności, tak i zegar nie był tylko zegarem. Tak naprawdę ta część zegara, która miała znaczenie, w ogóle nie była zegarem.

Klak.

Ilford podniósł swego drinka i wstał z kanapy; całkowicie odzyskał panowanie nad sobą i jego postać technicznie doskonałości. Na zewnątrz nadal padał deszcz, a Ilford nie przestawał patrzeć w okna. Po chwili ruszył w stronę prowadzących na piętro schodów. Pokój był umiarkowanie rozczarowany, widział, że wychodzi, ale uszanował tę decyzję, oferując nawet milczący pomruk poparcia oraz gratulacji.

Pokój nie sprzeciwiał się, ale zegar tak. Nagle nie chciał tracić Ilforda z pola widzenia.

Więc zatrzymał czas. Ilford tkwił unieruchomiony tam, gdzie stał, zjedną stopą uniesioną na najniższym stopniu, a szkocka w jego szklaneczce przechyliła się, wbrew prawu ciążenia, w tym samym kierunku, co zatrzymane wahadło zegara.

- Odchodzę - powiedziała zegar do drzewka bonsai stojącego w lewym rogu obramowania kominka.

- Ilford ci nie pozwoli - odparło drzewko doniczkowe bez ogródek.-Popatrz tylko, czego już dokonał, żeby cię tutaj zatrzymać.

- On oeni, czy nie?

- Nie s'dzę, żeby musiał ci to powiedzieć - stwierdziło bonsai. - Ale ja nigdy nie potrafię sobie wyobrazić, ile rozumieją inni ludzie.

- Billy - rzekł zegar. - Chcę, żebyś mi powiedział, co Ilford zrobił z Cale'em?

- Nie mogę - odparło drzewko, drżąc.

- Dlaczego?

- Ilford by mnie zabił, gdybym to zrobił. Tak jak mnie zabije, jeżeli odjedziesz.

- Zrobił z ciebie część wyposażenia living roomu, Billy - zauważył zegar.

- Może tylko tymczasowo - powiedziało drzewko, pełne nadziei. - Taki paniczny odruch, z powodu twojego wczorajszego zniknięcia. Gdzie byłbyś?

- Z powrotem w Hatfork. W każdym razie w pewnej wersji Hatfork. Byłem tam kilka dni - zegar zastanowił się nagle nad tym, co zdarzyło się w Wyoming - czy dla nich czas także się zatrzymał, kiedy Everett położył sobie ich rzeczywistość?

- Chcesz się tam teraz udać? - bonsai wyglądało na przerażone.

- Nie s'dzę. Ale odchodzę stąd. Możesz mi zatem równie dobrze powiedzieć wszystko, co wiesz.

- Ilford stanie na g³owie, ¿eby ciê tutaj zatrzymaæ.

- Po co mu jestem potrzebny, je¿eli sam œni? Dlaczego sam tego nie robi?

- Ty jesteœ inny. Twój talent jest ca³kowicie „plastyczny”, to jego w³asne s³owo. Jesteœ sugestywny.

- Na czym polega ró¿nica?

- Jego sny dzia³aj¹ tylko jako spe³nienie pragnieñ. Sprowadza zewsz¹d ludzi i od nowa aran¿uje rzeczy, ¿eby mu bardziej odpowiada³y.

- Czy to spotka³o Cale'a i Gwen?

- Wielu ludzi - stwierdzi³o bonsai bezradnie. - Jak Dawn. Pamiêtasz Dawn z wczesniejszych czasów?

- Nie.

- Dawn jest matk¹ Cale'a. By³a kiedyœ ¿on¹ Ilforda. Dawn Hotchkiss. Ale potem wœciek³ siê na ni¹, a Harrimanowi siê podoba³a, wiêc...

- Wiêc gdzie siê podzia³ Cale? I Gwen?

- Dla niektórych ludzi jest to jeszcze gorsze - powiedzia³o drzewko cicho.

- O ile gorsze?

- Ilford zamienia ludzi w... przedmioty. To dlatego ma tak wiele rzeczy.

Zegar zastanowi³ siê nad pokojem, nad wszystkimi tymi sprzêtami, ustawionymi w doskona³ym przepychu. B³yszcz¹ce, dostojne meble. I nad wype³nion¹ nieprawdopodobnymi zapasami kuchni¹.

Mog³y byæ gorsze rzeczy od bycia zegarem, stwierdzi³ zegar.

Ilford nadal sta³ sztywno w jednym miejscu, zatrzymany przed schodami w pozie, lekcewa¿¹cej si³y grawitacji i bezw³adnoœci. Zegar unieruchomi³ waha³o, sprzeciwiaj¹c siê up³ywowi czasu. Wymaga³o to pewnego wysi³ku - jakby próbowaæ mówiaæ ze wstrzymanym oddechem.

Na zewn¹trz deszcz zamarz³ na szybach, uchwycony w po³owie brylantowego migniêcia. Panowa³a cisza rycz¹cych sykniêæ.

Drzewko bonsai zaczê³o p³akaæ, jego liœcie trzê³y siê rozpaczliwie, a g³os zmieni³ siê w zasmarkany pisk.

- Dlaczego muszê byæ jedynym, który pamiêta? - powiedzia³o w koñcu.

Zegar milcza³ d³u¿sz¹ chwilê.

- Nie wiem - odpar³.

- Sprowadzi³em ciê z powrotem tylko dlatego, i¿ s¹dzi³em, ¿e pomo¿esz Cale'owi - stwierdzi³o drzewko. - Nie dbam o plany Ilforda. Trzymam tylko z Cale'em. Ale ciebie to prawdopodobnie nie obchodzi. Nawet nie pamiêtasz Cale'a, wiêc nie ma to dla ciebie znaczenia.

- Trochê pamiêtam. Kiedy zobaczy³em taemê...

- Tacema jest niczym - rzek³o bonsai ze z³oœci¹. - Ja pamiêtam, co dzia³o siê wczesniej. Kiedy

Cale by³ realny.

- Ale on nadal tu jest - powiedzia³ zegar. - W twojej lodówce.

- Cale by³ silny. Kiedy wszystko uleg³o zmianie, kiedy Ilford wszystko zmieni³, on przetrwa³.

Pracowa³ na swoim komputerze nad rzeczywistoœci¹ wirtualn¹, nadal pozostaj¹c ¿ywy, ukryty w komputerze. To stamt¹d pochodzi³o ca³e tworzywo buduj¹ce œwiat. A potem Ilford zniszczy³ komputer.

- A co z narkotykami? Bonsai zawaha³o siê.

- S¹dzê, ¿e wziê³o siê to z moich zainteresowañ w tamtym okresie - powiedzia³o z zak³opotaniem.

Komputery i prochy. Zegar przypomni³ sobie pierwszy sen Chaosu, jaki mia³ w drodze, po wydostaniu siê spod wp³ywu Kellogga. Sen o domu nad jeziorem. Jego zainteresowania bieg³y tam mniej wiêcej w tym samym kierunku.

- Wiêc Cale ukry³ siê tutaj - podsumowa³ zegar. - W twojej lodówce.

- Ilford zapewne s¹dzi³, ¿e nale¿a³oby mi to odebraæ. Zawsze zostawia³ mnie ca³kiem samego.

Pewnie dlatego, ¿e by³em tak nadzwyczajnie kurewsko nieszkodliwy.

- Ale Cale jest tak¿e w Ilfordzie.

- To nie jest Cale - stwierdzi³o drzewko ze z³oœci¹. - Tylko jego kawa³ek, który Ilford ukrad³.

- A co z Gwen?

- Nie by³a tak silna jak Cale.

Zegar pomyœla³ chwilê i zdecydowa³, ¿e nie chce na ten temat wiedzieæ nic wiêcej.

- A co przydarzy³o siê mnie? - zapyta³. - Jak to siê sta³o, ¿e wreszcie wyl¹dowa³em w

Wyoming?

- Zaraz po zmianie by³eœ tutaj, pamiêtasz?

Zegar, chc¹c pokrêciæ g³ow¹, omal nie uwolni³ wahad³a.

- Nie - odpar³.

- Chcia³, ¿ebyœ z nim pracowa³. On i Cale walczyli ze sob¹ o to ca³y czas. Potem ty i Gwen zamierzaliœcie odejœæ. Wtedy wszystko siê sta³o - bonsai znowu zaczê³o p³akaæ. - Nawet Cale tego nie pamiêta, tylko ja.

- To znaczy, ¿e wed³ug ciebie w³aczenie Ilford wszystko zmieni³?

Drzewko wyda³o z siebie potwierdzaj¹ce siekniêcie.

- Jak to siê sta³o, ¿e oszed³em?

- Eni³eœ coœ, co nas doprowadza³o do szaleñstwa - poci¹gnê³o nosem drzewko. - Kiedy wyszliœmy z tego, odjecha³eœ ju¿ do Wyoming, jak s¹dzê. Tam zbudowa³eœ dziwaczny sceneriê na pustyni.

To mia³o sens, pomyœla³ zegar. Everett ucieka³, a¿ dosta³ siê do Ma³ej Ameryki, gdzie spotka³ kogoœ, kto potrafi³ anulowaæ jego sny. Kellogga.

I Kellogg pomóg³ Everettowi dokończyæ pracê, któr¹ rozpocz¹³ Ilford. Spowodowa³, ¿e zapomnia³ o swoim ¿yciu.

- Ty po prostu zosta³ece - powiedzia³ zegar. - Nigdy nie uciek³ece.

- Nie - potwierdzi³o bonsai.

- Jeste³ bardzo oddany Cale'owi.

- Pomyœla³em, ¿e gdyby Ilford dosta³ to, czego chcia³, to mo¿e Cale móg³by wróciæ. A potem uzna³em, ¿e ty móg³byœ go sprowadziæ.

- Nie mogê.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mogê. Nawet gdybym móg³, to by³oby jak z Gwen; w taki sposób, w jaki Cale przywo³a³ Gwen.

- W takim razie równie dobrze mo¿esz odejæ - powiedzia³o drzewko z rezygnacj¹. - Je¿eli potrafi³ - doda³o.

Zegar zastanowi³ siê nad zatrzymanym w pó³ krokiem oraz deszczem i mg³¹, która na zewn¹trz przyłgnê³a do domu. Trudno by³o uwierzyæ w œwiat za oknem tego pomieszczenia, w istoty, które nie by³y jego wyposażeniem, w ludzi innych ni¿ Ilford.

Zegar nienawidzi³ Ilforda. Nienawidzi³ tego pokoju, który tamten wymyœli³, nienawidzi³ bycia zegarem. Nienawidzi³ tych rzeczy tak zawziêcie, ¿e wyœni³ œwiadomy, okrutny sen o z³oœci.

I pod³oga rozst¹pi³a siê pod nimi.

Z hukiem wyl¹dowali w piwnicy - Everett, Fault i Ilford runêli w dó³, do mieszkania Cale'a, z krzes³ami, lampami, szafkami, obrazami, kwiatami, ze stolikiem do kawy o szklanym blacie, który roztrzaska³ siê na zniszczonym tapczanie stoj¹cym na œrodku piwnicznej pod³ogi. Billy wyl¹dowa³ na stosie po³amanych

drzewek bonsai - ziemia i ceramiczne skorupy przeplecione z korzeniami. Z³oty zegar rozbi³ siê o beton obok g³owy Everetta, klakn¹wszy tylko raz, kiedy oddawa³ ducha, jakby posy³aj¹c przed œmierci¹ na posterunku ostatni¹ wiadomoœæ, ¿e czas ponownie podj¹³ swe obowi¹zki. Wyr¹n¹wszy o wierzch powgnia-tanej lodówki, Ilford nadal œciska³ szklankê, która w nastêpnej chwili rozbi³a siê na kawa³ki. Hotchkiss zeœlizgn¹³ siê na pod³ogê; rêkê mia³ pokaleczon¹ i krwawi¹c¹, a koszulê ochlapan¹ szkock¹.

Everett spojrze³ na sufit. Pod³oga living roomu zniknê³a, ³¹cz¹c dom Ilforda z nor¹ Faulta. Œciany by³y ogo³ocone do czysta, a zawartoœæ pokoju zosta³a œci¹gniêta na dó³ jak¹œ katastroficzni¹ si³¹; nawet marmurowe, potrzaskane obramowanie kominka le¿a³o oparte o drzwi piwnicy. Obraz, przedstawiaj¹cy Ilforda patrz¹cego majestatycznie na zamglon¹ zatokê, nabi³ siê na lampê Faulta.

Na zewn¹trz deszcz pada³ jednostajnie, szeleszcz¹c w liœciach drzew, kapi¹c na kamienne p³yty.

Ilford i Fault odsunêli siê od pobjowiska i stali teraz, badaj¹c siê uwa¿nie, dotykaj¹c skaleczeñ i

potrzebujcie w zadziwieniu głosami.

Everett nie troszczy się oglądającami własnych obrażeń.

- Wynoś się stąd, Billy - powiedziało.

- O co ci chodzi? - spytało Fault.

- Idź, uciekaj stąd.

- Dokąd?

Iford chwiał się, sprawiając wrażenie podbitego.

- Nie masz nikogo, do kogo mógłbyś pójść?

- Miałem Cale'a.

- Idź zatem na pomoc i dołącz do armii Vance'a. Dostrzegł cię i podejmł z drogi. Tylko idź, Billy. Daj mi przedtem kluczyki od motocykla.

- Co?

- Klucz od zapłonu. Potrzebuję go.

- Kiedy mówisz uciekaj, to nie są żarty - stwierdziło Fault.

Everett wziął klucz, Billy przestąpił popękane obramowanie

kominka i wyszedł w deszcz. Obejrzał się tylko raz i Everett mu pomachał. Fault podjął swój marsz przez ogród, a potem zaczął biec i zniknął poza zamgloną linię drzew na sąsiednim podwórku.

- Odchodzę teraz, Iford.

Hotchkiss trzymał prawą dłoń zacięniętą na skaleczeniach lewej. Jego twarz stawała się terenem przemocy, polem bitwy. Na skutek wojny z tym, co ukradł Cale'owi, stał się teraz widoczny starszy mężczyzna, jakim Iford powinien być.

- Zniszczę mój dom - powiedziało.

- Ciesz się - odparł Everett.

- Dopadniemy cię - oświadczył Iford. - Kiedy tylko zaeniesz, znajdziemy cię i sprowadzimy z powrotem.

- Powinieneś się modlić, żeby nigdy nie zasnę - rzekł Everett. - Mam wobec ciebie pewne plany. Myślę o pewnym cenie.

- Nie potrafisz kontrolować swoich snów.

- Ęwiczysz - odparł Everett. - Kiedy ostatnio siedziałem w Hatfork, dla mnie minęły tygodnie.

Spędziłem dużo czasu, doskonaliłem swój talent.

Był to bluff, ale Everett wiedział, że jest on wystarczająco dobry. Wiedział, że jest teraz górą.

- Wiesz, że nie mogę pozwolić, abyś odszedł - powiedziało Iford.

Przesunął się pomiędzy Everetta a drzwi, przechodząc ponad potrzaskanymi pozostałościami swego living roomu.

- Słuchaj tutaj rzeczy, które trzeba załatwić - słowa stanowiły patetyczne echo retoryki jego i

Harrimana Crasha.

- To skończone - oświadczy³ Everett. - Wiem, co zrobi³ee.

- Co takiego? - spyta³ Ilford zduszonym g³osem.

- Fault mi powiedzia³.

- Co ci powiedzia³?

- Zejd³ mi z drogi - rzek³ Everett.

- Jedyne, co umiesz, to uciekaæ - zauważy³ Ilford. - Jesteśmy tacy sami, z tym że ja staram się pozostaæ w jednym miejscu i budowaæ. Ty tylko uciekasz.

- Gdybym zrobi³ to, co ty, także bym zwiewa³. Może ucieczka to nie takie z³e wyjście, kiedy jest się kimś takim jak ty?

- Nie możesz bez końca rejterowaæ.

- No cóż, spróbujê, zamiast zmieniaæ się w kogoś podobnego do ciebie - Everett uzna³ raptem swoje uciekanie za talent nawet bardziej charakterystyczny niż samo ocenienie. To w³acenie wczesniej zaferowa³ w Hatfork Melindzie. I teraz proponuje Edie.

- Nie możesz mnie powstrzymaæ przed odejściem - stwierdzi³ Everett. - Jestem silniejszy od ciebie. Zatrzyma³em twój zegar.

- Ciebie nie obchodzi Cale - powiedzia³ Ilford. - Zostawiasz go za sob¹.

- Cale nie żyje, Ilford. Zabi³ee go. Hotchkiss spojrze³ na lodówkê.

- Wiem o tych narkotykach, Everett. Myślisz, że Billy mógł³ to przede mn¹ ukryæ? Uważasz, że nie wiem, co się dzieje tuż pod moimi stopami?

Everett milcza³.

- Naprawdę go zabijê, jeżeli odejdziesz.

Everett podszed³ do ch³odziarki. Zasuwa wisia³a wci¹ż lu³no, po tym jak j¹ przedwczoraj rozwali³. Otworzy³ drzwiczki i wyj¹³ stela³ z fiolkami. Wzi¹³ jedn¹ i schowa³ do kieszeni, a potem podniós³ stojak i szurn¹³ go Ilfordowi pod nogi. Fiolki roztraska³y się, zamieniaj¹c w mieszaninê szklanych od³amków i mazi; narkotyki wymiesza³y się z gleb¹ drzewek bonsai i spl¹tanymi wnêtrznociami zegara.

Ilford spojrze³ na to obojętnie.

- Nie to mia³em na myśli - stwierdzi³. - Cale, którego zniszczy³ee, by³ Cale'em Billy'ego. Fault wola³ wersjê narkotyczn¹, ponieważ nie mógł³ stan¹æ twarz¹ w twarz z tym, co naprawdę się sta³o. Łatwiej jest mnie potêpiaæ za wszystko i uważaæ, że ja po prostu wymaza³em Cale'a.

- O czym ty mówisz?

- O tym, co się naprawdę wydarzy³o, Everett. Cale zachorowa³. To nie by³a moja wina.

- Chory?

- Spójrz.

Everett odwróci³ się. Na tle d³ugiego okna, w drugim końcu piwnicy, siedzia³a, patrz¹c na deszcz, jakac^e postac^e w fotelu na kó³kach: wiêdn¹ce, pokonane cia³o, skrêcone wokó³ zapad³ej klatki piersiowej; przeguby r¹k zwisa³y bezw³adnie z oparac^e wózka. G³owa inwalidy pochyli³a się lekko w stronê Everetta i chocia³; tamten znajdowa³ się w ciemnoœci, celad znajomych rysów widoczny by³ w przes¹czaj¹cym się przez okno s³abym œwietle.

To by³ Cale. Nie ten z taœmy czy w narkotyku, ani nawet nie ten migaj¹cy w twarzy Ilforda. Realniejszy, smutniejszy Cale.

Everett czu³, ¿e jego pewnoœc^e siebie wycieka zeñ, niczym woda przes¹czaj¹ca się przez szczeliny kamiennego bruku. Czu³, jak ch^eœ odejœcia i furia ulatuj¹ z niego, zast¹pione przez znu³enie oraz zw¹tpienie. Powinien by³ zostac^e.

Ruszy³ w kierunku postaci, jego stopa uwiêz³a w potrzaskanym wahadle.

- Nie podchod³ - powiedzia³ Ilford. - Jest bardzo podatny na infekcje, nie mo³na go dotyka^e...

Podczas kiedy Everett st¹pa³ ciê³ko przez pobojowisko w kierunku ciemnej postaci, coœ się sta³o, coœ się zmieni³o.

- Nie za blisko - odezwa³ się piskliwym g³osem Ilford.

Fotel na kó³kach zosta³ za³adowany miêsem o doœc^e odleg³ym podobieñstwie do ludzkiego kszta³tu. Mro³one pieczenie, baranie ud³ce i p³aty befsztyków z gigantycznej zamra³arki na górze.

Nie Cale.

Everett pchn¹³ fotel i po³cie miêsa posypa³y się kaskad¹, w kurz i gruz na pod³odze. Najwiêkszy kawa³ek, po³yskuj¹ca klawiatura ¿eberek usadowiona na siedzeniu fotela, pozostawi³a na jego skórzanym oparciu smugi t³uszczu i szronu.

To tylko kolejny podstêp, pomyœla³ Everett. Kolejna sztuczka, któr¹ Ilford przygotowa³ w czasie, gdy on wyceni³ samego siebie w Hatfork. Ostatnia karta schowana w rêkawie na wypadek, gdyby zegar nie zdo³a³ go utrzyma^e.

Mo³liwe jednak, ¿e by³o to coœ wiêcej; coœ wstrêtnego.

Everett odwróci³ się do Ilforda.

- Snam¹ zamieniasz ludzi w rzeczy - powiedzia³. - I nie potrafisz tego odwróci^e.

Ilford by³ teraz wyra³nie mniejszy i starszy. Jego g³os niemal gin¹³ w szumie deszczu.

- Staram się - odpar³. - Ci¹gle się staram.

- Powiedzia³œœ, ¿e zabi³byœ go - stwierdzi³ Everett. - Ale jego nawet tutaj nie ma. Nie ma nikogo do zabicia. I nie ma nic, co by mnie tu zatrzymywa³o.

- Nigdy nie zabi³bym w³asnego syna - powiedzia³ Ilford; jego g³os za³ama³ się przy ostatnich s³owach. - Jak mog³œœ cho^eby pomyœle^e, ¿e móg³bym uczyni^e coœ takiego?

Everett przeszed³ obok niego do drzwi, zatrzymuj¹c się tylko na moment, aby sprawdzi^e, czy

kluczyki od motocykla tkwi¹ bezpiecznie w jego kieszeni.

Wyprowadzi³ teleewangelistê z deszczu pod markizê wystawy opuszczonego sklepu w bocznej uliczce Submission. Oblicze na ekranie wygl¹da³o na oszo³omione.

- Mam coce dla ciebie - powiedzia³ i wyj¹³ flakonik pochodz¹cy z lodówki Faulta.

Wideo³twarz zagapi³a siê na fiolkê.

- Co to jest?

- To, czego szukasz, jak s¹dzê. Bóg - wcisn¹³ podarunek w ferroplastikowe palce robota. -

Uważaj na to. Przechowuj w ch³odnym, suchym miejscu.

- Jakiego rodzaju jest to Bóg? - spyta³ teleewangelista.

- Ten, który tworzy œwiaty - odpar³ Everett. - Taki, jakiego wam brakuje. On wie o pragnieniu bycia realnym, zamiast zaprogramowanym; zna rzeczy, które wy chcecie wiedzieæ. Po raz pierwszy dostêpny jest w tej postaci.

Twarz zmarszczy³a siê.

- Pierwszy raz?

- Tak. Wszêdzie pe³no jest nieprawdziwych bogów. Ale on jest realny.

- Jak mogê Go przyj¹æ?

- To problem - przyzna³ Everett. - Ty i twoi przyjaciele musicie to sobie wyobraziæ. Musicie wzi¹æ to jakoœ w siebie. Pozwoliæ, by zmieni³ wasz program.

Spojrza³ na telewizyjn¹ postacê i wyobrazi³ sobie na tym miejscu Cale'a, jako twarz z taœmy wideo, któr¹ ogl¹da³ w Vacaville. Pe³ne ko³o. Tyle tylko, ¿e Edie bêdzie teraz zadowolona. Cale powinien istnieæ wy³cznie w telewizji.

Zastanowi³ siê, czy - kiedy Cale ju¿ na dobre rozsi¹dzie siê w jego wnętrzu - robot pójdzie na wzgórze i zabije Ilforda?

- Dziêkujê ci - powiedzia³ teleewangelista.

- Nie ma za co.

Robot, pewniejszy siebie, kroczy³ przez deszcz. Everett œledzi³ wzrokiem jego odejœcie, a potem wróci³ do swego motocykla.

Dziesiêæ minut póŹniej przeskoczy³ ³uk przerzuconego nad zatok¹ mostu i drapacze chmur zniknê³y z jego pola widzenia. Na wzgórzach Oakland wyjecha³ z deszczu. Autostrada by³a pusta i nie musia³ siê zatrzymywaæ, a¿ do momentu, kiedy kilka mil przed Vacaville w motocyklu skoñczy³o siê paliwo.

Porzuci³ go i po raz drugi wszed³ pieszo do miasta.

Sprawy mia³y siê inaczej, od razu to zauwa¿y³. Nikt, kogo mija³ na ulicy, nie wygl¹da³ normalnie. Niczym w lustrze w gabinecie œmiechu, wszyscy byli ni¿si, wy¿si lub grubszy, ni¿ byæ powinni, albo brakowa³o im koñczyny lub dwóch. Widzia³ albinosa i kar³a, mêt³czynnê z nosem d³ugim na stopê,

ale nie dostrzeg³ nikogo, kogo by rozpoznawa³. Nikt nie mia³ w³aœciwych proporcji. Rozbola³a go od tego g³owa. Wszyscy ci ludzie skradali siê cichcem po chodnikach, jakby wrêcz nie mieli prawa tu byæ, unikaj¹c nawzajem swego wzroku.

ZbliŹa³ siê zachód s³oñca. Odnalaz³ drogê do centrum, gdzie zmusi³ siedz¹c¹ na ³awce w parku chorobliwie oty³¹ kobietê, aby podnios³a wzrok znad czytanego komiksu - przedstawiaj¹cego wysmuk³e, proporcjonalnie zbudowane gwiazdy rz¹du - i udzieli³a mu wskazówek, jak trafiæ do biur testów szczêœcia. Mrugnê³a do niego spoza maski t³uszczu i wskaza³a drogê.

Znalaz³ biuro Cooleya, ale lana nie zasta³. Jego sekretarka nosi³a skomplikowane klamry i rzemienie, wspomagaj¹ce chude, uschniête nogi. Spojrza³a na niego podejrzliwie, ale kiedy przedstawi³ siê jako Chaos, otworzy³a szeroko oczy.

- Chcia³bym siê dowiedzieæ, dok¹d przeprowadzi³a siê Edie Bitter - powiedzia³. - Gdzie teraz mieszka?

- Pan Cooley pragnie z panem porozmawiaæ - odpar³a. - Chcia³ wiedzieæ, jeŹeli pan tu siê zjawi.

- Pogadam z ³anem póŹniej, znajdzie mnie.

- Przepraszam. Proszê poczekaæ na zewn¹trz.

Wyszed³ na korytarz i sta³ siê obiektem zainteresowania skurczonego mê¿czyzny, który czeka³, siedz¹c na skraju ³awki jak na grzêdzie. Everett skin¹³ mu g³ow¹ i tamten odpowiedzia³ tym samym, ucemiechaj¹c siê.

- Jesteœ piêkny, ale nie kocham ciê.

- S³ucham? - spyta³ Everett.

- Jesteœ piêkny, ale nie kocham ciê. Nawet ciê nie znam. Dlaczego?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Jesteœ tutaj, bo oni zamierzaj¹ uczyniaæ ciê s³awnym. Mam racjê?

- Nie.

- Nie b¹dŹ taki skromny. Powinienem prawdopodobnie wzi¹æ od ciebie autograf. PokaŹ¹ ciê w TV i wszyscy bêdziemy ciê kochaæ.

- Nie, naprawdê nie.

- W takim razie masz k³opoty. To wbrew prawu byæ tak przystojnym, nie bêd¹c jednym z nich.

Rozmowa zosta³a przerwana przez stukot butów sekretarki, poruszaj¹cej siê na niezdarnych, szcud³owatych nogach. Spojrza³a ze z³oœci¹ na Everetta i kar³a.

- Proszê - wrêczy³a mu strzêp papieru. - Dzwoni³am do pana Cooleya. Teraz moŹe pan iœæ, a to jest adres. Powiedzia³, Źe zobaczy siê z panem jutro, kiedy siê pan dostosuje.

- Dostosujê?

Zmarszczy³a siê z ostentacyjnej niechêci.

- Niech pan s³ucha. Nie wiem, co pan sobie myœli, panie Chaos, ale okazuje pan bardzo niewiele respektu dla... spraw, które siê tu rozgrywaj¹.

- Nie by³o mnie tu.

- Widzê.

- Mam parê pytañ...

- Proszê je zachowaæ dla lana. Proszê ju¿ iœæ - odwróci³a siê i pokuœtyka³a z powrotem do biura.

Poszed³ na wschodni koniec miasta, a okna mijanych budynków odbija³y b³yski niskiego, pomarañczowego s³oñca, chowaj¹cego siê za jego plecami. Ulice, którymi przechodzi³, stawa³y siê coraz bardziej willowe i ciche. Trafi³ pod zapisany na œwistku adres; by³ to jednopiêtrowy budynek mieszkalny; wy¿sze piêtro, wsparte na dŸwigarach, wznosi³o siê nad miejscem do parkowania. Sta³o tam combi Edie.

Kobieta, która podesz³a do drzwi, stanowi³a dla niego zagadkê. By³a to Edie, ale jednocześnie ni¹ nie by³a. Mia³a oko³o czterech stóp wzrostu - wygl¹da³a na wy¿sz¹ od mê¿czyzny z biura Cooleya, ale tylko nieznacznie. Jednak cia³u brakowa³o stosownych proporcji. Karlica, ale nie krasnal, pomyœla³, studiuj¹c róznic. Mia³a rysy Edie, œci¹gniête w miniaturê jej twarzy.

- Chaos? - spyta³a wysokim, ale rozpoznawalnym g³osem.

- Tak - potwierdzi³, nie wiedzia³ jednak, co jeszcze powiedzieæ.

- Chcesz wejœæ?

Skin¹³ g³ow¹ i poszed³ za ni¹ do œrodka.

To, co zobaczy³, ju¿ kiedyœ prze¿y³: dwaj ch³opcy ogl¹daj¹cy telewizjê. Ale Ray by³ nadzwyczaj gruby. Tak szeroki, jak wysoki; zajmowa³ pó³ kanapy. Dave siedzia³ na jednym z bocznych oparê i w pierwszej chwili Everett uzna³, ¿e po prostu robi miejsce bratu. Potem spostrzeg³ ogon Dave'a, wychodz¹cy przez dziurê z ty³u spodni i zwisaj¹cy z boku sofy.

Z sypialni wysz³a Melinda. Nie zmieni³a siê. Przenios³a wzrok z Everetta na Edie, a potem podbieg³a i otoczy³a go ramionami.

- Nie wiedzia³am, gdzie by³eœ - powiedzia³a z twarz¹ przycieniêt¹ do jego boku.

- Trwa³o to d³u¿ej, ni¿ s¹dzi³em - kiedy to mówi³, spojrze³ w oczy Edie.

Melinda odsunê³a siê.

- Widzia³am ciê w Hatfork. Pamiêtasz to?

- Tak - potwierdzi³ zaskoczony.

- Myœla³am, ¿e zaczynam wariowaæ.

Drobi¹c na swoich ma³utkich nógkach, Edie wysz³a do kuchni. Ray i Dave po prostu siedzieli i patrzyli na Everetta, a telewizor rycza³ przed nimi.

- Melinda - odezwa³ siê Everett. - Mog³abyœ wzi¹æ ch³opców na zewn¹trz? Jest takie ³adne

s³oñce.

Zrobi³a kwaceni³ minê, ale odwróci³a siê i powiedzia³a z przesadnym znu¿eniem:

- ChodŸcie, ch³opaki.

Pomacha³a d³oni¹ i Ray z Dave'em pocieszyli za ni¹. Ray trz¹s³ siê jak galareta.

Poszed³ do kuchni. Edie, jak zwykle, zajê³a siê myciem naczyñ, ale teraz musia³a stan¹æ na krzecele, aby dosiêgn¹æ zlewu.

Chcia³ rzuciæ siê ku niej i obj¹æ j¹ bez wahania w sposób, w jaki przed chwil¹ obejmowa³a go Melinda, ale wyda³o mu siê to g³upie i niemo¿liwe. Mia³by j¹ podnieœæ jak dziecko? Chcia³, aby by³a taka jak przedtem, a jednocześnie desperacko pragn¹³ j¹ zapewniaæ, ¿e to wszystko nie ma dla niego ¿adnego znaczenia. Te dwa uczucia walczy³y w nim ze sob¹. Odwróci³a siê w koñcu, a jej oczy pe³ne by³y lêku i zmieszania.

- Co siê sta³o, Edie?

- Odszed³eœ - powiedzia³a z nag³¹ gorycz¹.

- Przykro mi z tego powodu - rzek³ bardzo cicho. - Nie chcia³em. Ale co tutaj zasz³o?

- Nic - odpar³a z wyczuwaln¹ bezradnoœci¹; zdjê³a gumowe rêkawiczki i usiad³a na krzecele. - Oczywiście, przeprowadzalicemy siê kilkakrotnie. W tym tygodniu pracujê w papierni przerabiaj¹cej makulaturê. Melinda przesz³a przez test szczêœcia, mówi³a ci o tym? Nie, oczywiście, ¿e nie. No có¿, posz³o jej bardzo dobrze, Ian by³ pod wielkim wra¿eniem...

- Ale co... co sta³o siê z tym miejscem? Z Rayem i Dave'em? Powstrzyma³ siê przed powiedzeniem: jesteœe karlic¹.

- Coœ ci siê nie podoba w ch³opcach? - spyta³a ze z³oœci¹.

- Zapomnij o tym. Po prostu usi¹dŸ ze mn¹ na kanapie.

Wrócili do living roomu i usiedli. Nadal nie móg³ siê zdobyæ na dotkniêcie jej - nie wiedzia³, jak to zrobiæ, chocia¿ po to siê tutaj znalaz³ i tego najbardziej pragn¹³.

- Przyszed³eœe zabraæ Melindê? - spyta³a. - Czy tylko o to chodzi? Wiesz, ¿e nie mogê jej zatrzymaæ. To nie jest mój wybór. Ale ta dziewczynka potrzebuje...

Podniós³ d³oñ, pragn¹c j¹ uspokoiæ.

- Pos³uchaj, Edie. Wróci³em tu z twojego powodu, nie Melindy. W³aœciwie dla was obu. Chcê zostaæ z tob¹, tutaj lub gdziekolwiek indziej. Je¿eli siê zgodzisz.

- Co ty mówisz?

- e ciê kocham, Edie.

- Proszê, nie - powiedzia³a szybko.

- Co: nie?

- Nie chcê takich rozmów, to nie ma sensu. Wiem, kogo kochasz. Jesteœe taki jak ka¿dy. Kochasz tê dziewczynê z telewizji.

- Nie...

- Tak. Widziałam ją wcześniej, w twoich snach. A potem w telewizorze, kiedy dostałem tę tacemę.

- To była pomyłka, Edie.

- Nie - potrzebna go i ucieszyła się smutno. - Nie powinienem czuć się nie w porządku.

Po prostu tak bywa.

Ludzie z telewizji są lepsi, nie musisz się tego wstydzić. Odnalazłem ją?

- W pewnym sensie. To było błąd.

- Nie powinienem tak mówić. To wielkie szczęście, jeżeli ktoś sławny - z rzędu czy telewizji - troszczy się o ciebie. To bardzo szczególna rzecz i ja to mam. To jest jedyny rodzaj szczęścia, jaki posiadam.

Everett poczuł zakłopotanie. Czy miała na myśli Cooleya?

- Edie - powiedziała, a potem pochyliła się i dotknęła ustami jej warg.

Dotknęła drobnej noska; jej ręce potknęły go w policzek. Z początku usta Edie były martwe i czuł na wargach jej przestraszony oddech. Potem zamknęła oczy i pocałowała go z pasją. Potem szybko odsunęła się.

- Och, Jezu - westchnęła.

- Edie, to ja. Proszę, powiedz, że pamiętasz...

- Pamiętam, Chaos, ale to nie w porządku. Odszedłem i ja to zrozumiałam. Nie mogłem mnie kochać - wskazała na siebie. - Nie rozumiem, dlaczego Ian może.

- Nie wyglądał tak jak teraz - przerwał. - Był piękny kobiet. Coś, co oni tutaj zamajstrowali, odmieniło was wszystkich.

- To grupie - stwierdziła nerwowo. - To jestem ja. Proszę, Chaos, idź sobie i nie dręcz mnie. Kochaj dziewczynę z telewizji. Ona jedna jest piękna.

- Chcę ciebie - odparł. - Był piękny, nadal jesteś. Wielu ludzi jest pięknych, nie tylko ci z telewizji.

- Zwykli ludzie są brzydki, rozejrzyj się, Chaos - spojrzała w okno.

- Pamiętam - powiedziała. - Wyglądał jak dziewczyna z okładki magazynu. Uwielbiała pokazywać mi swoje ciało.

- Stajesz się nieznoceny. Czemu zaprzeczasz prawdzie? Jestem brzydka, Chaos. - Przełknęła.

- Tutaj coś się stało, marzyciele wadający Vacaville posunęli się za daleko. Chcę, żebyście myśleli...

- Zamknij się! - jej słowa nabrzmiały tłumioną furją. - To jest moje życie! Mieszkam tutaj! Nie potrzebuję, żeby przychodził i mówił mi, jak - twoim zdaniem - powinno tu być. Przyszedłem już raz i

s³ucha³am ciê; a potem wykrêci³eœe kota ogonem i znikn¹³eœe. Nie ró³b mi tego znowu! Je¼eli chcesz zostaæ, to zdaj swój test szczêœecia. Mo¼e trafisz do telewizji, Chaos. Mo¼e jesteœe wyj¹tkowy. Aleja nie! Zostaw mnie w spokoju!

- To szaleñstwo - chcia³ podj¹æ w¹tek tam, gdzie mu przerwa³a. - Na œwiecie istnieje wiêcej ni¼ tylko piêtnaœcie czy dwadzieœcia atrakcyjnych istot ludzkich. Skoro nie jesteœe wyj¹tkowa, to co Ian w tobie widzi?

- To moja prywatna sprawa - syknê³a. Podniecony i zazdrosny, poderwa³ siê z kanapy. Potrzebowa³ przestrzeni do myœlenia.

- Gdzie s¹ kluczyki od twojego auta?

- Dok¹d siê wybierasz?

- Chcê ci coœ udowodniæ. Do której otwarte jest centrum handlowe?

- Nie wiem, s¹dzê, ¿e na okr¹g³o...

- Wiêc daj mi je - wyci¹gn¹³ rêkê, a ona poda³a mu kluczyki. - Zaraz wracam.

- Chaos - g³os mia³a cichy, a jej z³oœæ przemieni³a siê w zak³opotanie. - Nie podoba mi siê to.

- Kiedy wrócê, bêdziesz mog³a napisaa mi mandat czy wezwanie do s¹du.

Wyszed³ na zewn¹trz, odnalaz³ Melindê i bez wyjaœnienia odci¹gn¹³ j¹ od ch³opców w stronê samochodu Edie.

- Powiedz mi, co tutaj zasz³o - za¿¹da³.

- Hej, powiedzia³am ci, ¿e dziej¹ siê dziwne rzeczy. W³czy³ silnik i wyjecha³ na ulicê.

- A wiêc pamiêtasz, ¿e rozmawialoœmy w Hatfork?

- No. Widzia³am swoich starych i tego goœcia, Edge'a. Widzia³am to zagnojone miejsce, w którym mieszka³eœe. Jak to zrobi³eœe?

Potrz¹sn¹³ g³ow¹.

- Zapomnij o tym. Pos³uchaj, czy nikt w Vacaville nie pamiêta, co by³o dwa tygodnie temu?

- Pewnie pamiêtaj¹, tylko ¿e b³êdnie. Wszyscy zaczêli siê zmieniaæ i próbowa³am coœ powiedzieæ Edie, ale to wygl¹da³o tak, jakby oni s¹dzili, ¿e zawsze tak by³o. Nawet jeszcze czêœciej zaczêli ogl¹daæ telewizjê.

- Zmieniaæ? Chcia³oœe powiedzieæ: stawaa brzydszymi?

- No. Z wyj¹tkiem Cooleya i jego kumpli. Sprawili, ¿e wszyscy wygl¹dali okropnie, podczas gdy oni mieli siê dobrze. Tylko mnie zostawili w spokoju - rozcemia³a siê. - Widocznie s¹dzili, ¿e i tak wystarczaj¹co dziwne wygl¹dam.

- I zadzia³a³o, co? Edie sypia teraz z Cooleyem - musia³ znaæ prawdê.

- No. Ale to nie jej wina. Patrzy³ na drogê.

- Tak to mniej wiêcej teraz jest - stwierdzi³a Melinda. - Wszyscy s¹ zakochani w rz¹dzie. Nie mog³a nic na to poradziaæ. Poza tym atakowa³ j¹ od dawna.

Odwróci³ siê i spostrzeg³, ¿e dziewczynka zerka na niego.

- O co chodzi? - spyta³.

- Œmiesznie wygl¹dasz - odpar³a. - Przybra³eœ na wadze?

- Œmiesznie?

- Nic takiego - powiedzia³a szybko, zbyt szybko. - Prawdopodobnie po latach wsuwania konserw dobrze ostatnio jada³eœ. Robi³am to samo - podnios³a koszulê i odgarnê³a sierœæ na boku. - Gdzie w³œciwie by³eœ?

- Odwiedzi³em starych przyjaci³. Opowiem ci o tym póŹniej - postawi³ auto na parkingu Vacaville Mall. - Zaczekaj tutaj.

Pogna³ przez centrum do sklepu, gdzie sprzedawano komiksy i inne czasopisma. Widzia³ go ju¿ wczœniej. Chcia³ kupiæ egzemplarz „Playboya” lub „Penthuse'a”, aby pokazaæ Edie, ¿e piêkne cia³a by³y wczœniej wszêdzie, a vacavillska koteria nie zmonopolizowa³a rynku.

Znalaz³ sklep, ale brakowa³o w nim stela¿a z czasopismami dla doros³ych. Zapyta³ sprzedawcê, mêtczyznê o w miarê normalnym ciecie, zeszczonego przez malinowej barwy znamie, które jak rozp³aszczona ocemiornica pokrywa³o wiêks¹ czêœæ jego twarzy.

- Teraz trzymamy je na zapleczu - wyjaceni³ tamten. - Co to bêdzie - endomorficzny?

- S³ucham?

- Zna pan nowe przepisy, prawda?

- Jakie nowe prawa? Ja tylko chcê kupiæ „Playboya”.

- Dobrze, ale nowe ustawy mówi¹, ¿e mo¿e pan wy³cznie nabyæ wydanie, które odpowiada pañskiemu typowi budowy cia³a. Kar³y patrz¹ na kar³y i tak dalej.

Wyci¹gn¹³ ramiê za siebie, wskazuj¹c ukryty za szafk¹ stela¿. Znajdowa³o siê tam dziesieæ czy dwanaœcie ró¿nych wersji „Playboya” i cia³a, które b³yszcza³y do Everetta z ok³adek, by³y wykoelawione i zniekszt¹cone. Sprzedawca obrzuci³ go szybkim spojrzeniem.

- Jak dla mnie, to endomorficzne - rzuci³ magazynem na kontuar.

Kobieta na ok³adce ³ypa³a po¿¹dliwym okiem i by³a olbrzymia.

- O czym pan mówi?

- Rzuæ no okiem, facet.

Everett pochwyci³ swe odbicie w oknie wystawowym. By³ ohydnie miêkki i gruby, policzki mia³ obwis³e, a rêce jak dwa kawa³y ciasta.

- To bêdzie cztery dolary - powiedzia³ sprzedawca.

- To nie jest to, czego chcê - odpar³, czuj¹c siê coraz gorzej. - Muszê coœ komuœ pokazaæ i potrzebujê zdjêcia ³adnego cia³a. Takiego, jakie zwykle bywaj¹ w „Playboju”.

- Nadal takie wydaj¹ - przytakn¹³ sprzedawca - ale mog¹ je kupowaæ tylko gwiazdy rz¹du.

- Nie mo¿esz mi sprzedaæ jednego? Nikt siê nie dowie. To dla mnie wa¿ne.

- Hej, facet, czy myślisz, że jesteś jedynym, który chciałby dobry towar? Chryste, nie mogłeś ci tego sprzedać, nie mogłeś nawet

sam tego oglądać, a wierz mi, że chciałybym. Ale trzymaj to w zamknięciu. Tylko gwiazdy rzędu mają klucze.

- Chcesz, żebyś uwierzył, że klienci mają klucze, a ty nie?

Sprzedawca spojrzawszy na niego ponuro.

- Wiesz, oni nawet nie p³ac¹. Tak naprawdę to my im p³acimy, żeby tu przyszli i wzięli to sobie. Przepuszczalnie, by dodać prestiżu establishmentowi.

- Cholera!

- Ale jeżeli chcesz na nich popatrzeć, to nie ma sprawy - powiedział sprzedawca, ożywiony możliwością udzielenia pomocy. - Ci już w³ożyli ubrania.

Wskaza³ na „People”, „Rolling Stone” i „TV Guide”. Ok³adka „Rolling Stone” ukazywała Palmera O'Briana, a „People” prezydenta Kentmana, otaczającego ramieniem plecy Cooleya.

- Tak czy inaczej, wygl¹daj¹ przyjemniej od tamtej reszty - powiedział konfidencko.

- Nie chcê na nich patrzeć - stwierdzi³ Everett. - Chcê widzieć innych ludzi, którzy te¿ s¹ ³adni.

- Ale mimo wszystko „Playboy” jest dobry - sprzedawca by³ zmieszany. - S¹ tam ich zdjęcia bez ubrañ. Dlaczego mieliby ogl¹dać kogoś innego?

- Zapomnij o tym - powiedział Everett.

Wyszed³ uroczystym krokiem, albo przynajmniej usi³owa³ to zrobić, ale jego coraz bardziej opas³e cia³o uniemożliwia³o mu wszelkie nag³e ruchy. Wszystko zosta³o zamortyzowane zwa³ami ³uszczy. Zamiast energicznie wyjść, wytoczy³ siê na zewn¹trz i zamkn¹³ za sob¹ drzwi.

Wraca³ przez centrum handlowe, odkry³, że teraz pasuje do otoczenia. Mijani przez niego ludzie nie czuli siê niezrêcznie w jego obecności. WyraŹnie siê dostosowa³. Wkrótce mo¿e nawet zakocha siê w jakiejś gwieŹdzie rz¹du.

Wcisn¹³ siê do samochodu; okaza³o siê to trudnym przedsiêwzięciem i musia³ cofn¹ć fotel. Melinda zmierzy³a go spojrzeniem od stóp do g³ów i powiedzia³a:

- Zdecydowanie przybra³eś na wadze.

- Musimy st¹d wyjechać.

- Czeka³am, żebyś to powiedział. Przynajmniej spróbuj przekonać Edie.

Uruchomi³ silnik, zdumiony grubości¹ swoich palców; a dok³adniej tym, jak daleko od kołci r¹k zdawa³y siê znajdować kluczyk oraz kierownica.

- Nie mów mi, że j¹ tutaj zostawisz, ma³y.

- Nie - odpar³. - WeŹmiemy j¹.

- I Raya z Dave'em, tak?

Skin¹³ g³ow¹. Podczas ich powrotu zapad³a noc. Ray i Dave tkwili przed telewizorem; Edie

także tam by³a. Wszyscy troje podnieœli wzrok i patrzyli, jak dudni¹c, wtacza siê do mieszkania, ale nikt nie odezwa³ siê s³owem. Opad³, wyczerpany, na fotel. Edie wysz³a cicho do kuchni i wróci³a z piwem dla niego. Gdy reszta ogl¹da³a telewizjê, Everett dusi³ w sobie ró¿ne myœli.

Czeka³, aby wieczór siê skoñczy³, a ch³opcy poszli do s³ódek, ale zdawa³o siê to trwaæ wiecznoœæ. Nikt siê nie odzywa³. Skradali siê wokó³ niego i jego fotela, jak gdyby by³ niebezpieczny. Pomyœla³ o Escrowie i jego opisie guzów rosn¹cych wewn¹trz domów w Los Angeles.

W koñcu Ray i Dave poszli spaæ, a Melinda powêdrowa³a do swojego pokoju. Edie skinê³a na niego, nadal milcz¹c, i wskaza³a sypialniê. Poszed³ za ni¹ do œerodka, a ona zamknê³a drzwi. Wspiê³a siê na s³óko i usiad³a na jednej z poduszek.

- Tutaj - malutk¹ rêk¹ poklepa³a miejsce obok siebie. - Usi¹dziesz?

Podszed³ i w ponurym nastroju rozwali³ siê na s³óku, nie próbuj¹c siê do niej zbli¿aæ. Kontakt ich cia³ zdawa³ siê teraz niemo¿liwy, ale najwyraŹniej Edie tak nie s¹dzi³a, bo siêgnê³a po jego d³oñ. Pomimo beznadziejnej dysproporcji ich rozmiarów przynajmniej upodobni³ siê do niej pod wzglêdem brzydoty. Widocznie musia³ wznieœæ siê ponad to wszystko.

- Przepraszam za moje grymasy. Chaos. Prze¿y³am szok, kiedy siê zjawi³eœ.

- W porz¹dku. Ja tylko... nie wiem, co robiæ. Wróci³em tutaj z twojego powodu.

- To dobrze - stwierdzi³a cicho.

- Ale wszystko siê pokrêci³o. Nie s¹dzê, ¿ebym móg³ zostaæ w Vacaville. Chcê ciê zabraæ w jakieœ inne miejsce.

- Dok¹d? - ponownie wygl¹da³a na przestraszon¹.

- Nie wiem. Ale tutaj nie jest dobrze.

- Zawsze mówisz w ten sposób i nigdy nie rozumiem, co masz na myœli.

- Edie - zacz¹³, a potem przerwa³ i znowu podj¹³ w¹tek. - Edie, pojê³abyœ, gdybyœ st¹d wyjecha³a. Z powodu tego, co tu siê dzieje, nie potrafisz jasno myœleæ. Ale zrozumiesz, jak tylko st¹d wyjedziesz. Zaufasz mi?

Skinê³a g³ow¹.

- Czy... czy chcesz byæ ze mn¹? To znaczy, zamiast z³anem?

- Tak - powiedzia³a.

- Jesteœ pewna?

- Jestem. Nie chcê byæ z³anem - czu³, jak jej d³oñ dr¿y w jego rêce.

- O co chodzi?

- Jest coœ, czego nie powinnam ci mówiæ. Kiedy jestem z³anem... nie wiem, jak on to robi, ale moje cia³o siê zmienia. Nie jestem ju¿ ma³a. Jestem inna, piêkna. Tylko wtedy, gdy... jesteœmy razem... Rozumiesz?

- Tak.

Po jej policzku spłynęła za.

- Nie rozumiem, na czym to polega. Ale... chcę tego. Chcę tego doświadczać. Nienawidzę go, ale jednocześnie...

- Nie musisz wyjawiać. Pocignę nosem.

- Wyjazd oznacza, że Ray i Dave nie zobaczą już więcej swego ojca - stwierdził.

- Co z niego za ojciec - odparła. - Chyba nawet nie zauważy, że ich nie ma. Chłopcom by było bardziej przykro, gdyby odeszła Melinda - zwinęła się obok niego na poduszce.

- Powinnicemy natychmiast wyjechać - powiedział. - To miasto mogłoby spowodować, że zapomniabym, kim jestem. Poza tym Ian zaraz zacząłby naciskać, abym poddał się jego testowi. Słuchaj, że wie o moich snach.

- Dobrze - odrzekła. - Wyjedziemy jutro. Przecepijmy się teraz.

Ułożyła się obok niego jak małe zwierzątko. Objął ją ramieniem i przysunął bliżej siebie, aż poczuł bicie jej serca przy swoim miękkim boku.

Sobie jednak nie pozwolił na zacięcie. To byłaby okazja dla szukających go Ilforda i Harrimana. Czuł się obolały z braku snu; zdawało mu się, że biegał całe dnie, a nowe cielsko wciagało go do wnętrza ziemi. Ale nie mógł ryzykować, zanim nie znajdzie się poza ich zasięgiem, daleko stąd.

Z drugiej strony nienawidził marzeń sennych. Jakichkolwiek snów, niekoniecznie własnych. Nie chciał wdierać się w myśli Edie czy Melindy; nie chciał powiadomić Cooleya o swoich nowych planach, nie chciał wiedzieć, w jaki sposób jego majaki nakładają się na te pochodzące od marzycieli, którzy rzadziej Vacaville.

Edie usnęła głęboko. Kilka minut później do pokoju zakradła się Melinda i wspięła obok niego na łóżko.

- O co chodzi? - spytała.

- Boję się - odparła. - Nie mogę spać.

- Odjedźmy rano - powiedziała.

- To dobrze.

Zwinęła się w kłębek u jego drugiego boku i obie tam spały, małe przy olbrzymiej masie. Edie była nawet mniejsza od Melindy. To z pewnością stanowiło wystarczający powód, aby wyjechać.

Wcześniej wielokrotnie walczył z sennością, unikał wpływu Kellogga, ale nigdy nie cierpiał równie mocno jak teraz, kiedy tak wiele zależało od pozostania przytomnym. Był zmęczony do granic możliwości. Po niedługim czasie opadł go halucynacje, marzenia na jawie i zastanawiał się, czy nie jest to czasem gorsze od snów. Głowa opadła mu na piersi, oczy się zaskrzyły i nagle pomyślał: jestem tak gruby, jak Kellogg. Grubszy. To byłoby niczym przeznaczenie. Mógłby być nowym Kelloggiem. Wstrząsnął się na tę myśl. Przeraziła go perspektywa.

Trudno by³o wytrwaa na jawie obok tych dwóch rozgrzanych cia³. Odsun¹³ od siebie Edie i Melindê, przykry³ je pledami i d'Ywign¹³ z ³óçka swoje cielsko. Wyszed³ na zewn¹trz i znalaz³ z³oçone w garaçu tekturowe pud³a; wybra³ te najeçyociej³sze i wróci³ z nimi na górê. Staraj¹c siê zachowywaa cicho, poszed³ do kuchni i zacz¹³ ³adowaa do nich çywnoœaa, sprzêty, garnki. Natychmiast siê spoci³ i zdumia³ wraçeniem, jakiego dostarczy³ mu oblewaj¹cy jego nowe kształty pot. By³ jak œwiat. Kiedy zapakowa³ pud³a, zaniós³ je do bagaçu nika samochodu. Spakowanie reszty powinno byæ ³atwe; Edie by³a przyzwyczajona do przewodzek.

W³¹czy³ telewizor i przy œciszonym d'Ywiêku ogl¹da³ przez kilka godzin powtórki. Kiedy w koñcu wzesz³o s³oñce, poszed³ do sypialni i obudzi³ Edie.

- Zbierajmy siê - powiedzia³.

Otar³a sen z powiek i skinê³a g³ow¹.

Wszystko trwa³o d³uçej, niç siê spodziewa³. Pulchny Ray okaza³ siê nieprzydatny, a Dave niemal tak samo nieefektywny. Wreszcie, godzinê póŸniej, byli prawie gotowi. Everett zostawi³ Edie w mieszkaniu i zaprowadzi³ Melindê na dó³, przed s¹siedni dom, gdzie sta³ samochód jakiejœ rodziny, zaparkowany poza widokiem z okien. Tak czy inaczej, wszyscy jeszcze spali. W zaba³aganionym garaçu znalaz³ pusty kanister. Zrozumia³a, o co mu chodzi.

- Powinnicemy przesi¹œaa siê do jednego z tych s³onecznych pojazdów - stwierdzi³a.

- Nie wiem, jak szybko uda siê nam jakico znaleŸæ. Chcê jechaæ st¹d na pomoc. Auto Edie jest zbyt wolne.

Melinda zabra³a siê do pracy i wkrótce kanister zosta³ nape³niony. Kiedy Everett przyprowadzi³ j¹ z powrotem, Cooley podjecha³ w³acenie swoim samochodem przed budynek. Edie nie by³o widaæ, prawdopodobnie siedzia³a jeszcze na górze, Ian wy³¹czy³ silnik i wysiad³.

Za nim zebra³ siê t³umek s¹siadów; ludzi w p³aszczach k¹pielowych, nie uczesanych, o zdeformowanych kształtach, z wolami, zajęczymi wargami, z brakujcymi cz³onkami lub z dodatkowymi koñczynami. Kilkoro z nich mia³o w pogotowiu bloczki z mandatami. Everett zastanowi³ siê, czy Cooley, aby zapewniæ sobie tê widowniê, wykona³ aç tyle telefonów, czy teç obszed³ okolicê, stukaj¹c do drzwi.

- Witaj ponownie, Chaos - rzek³ ³an. - Co siê tutaj dzieje? To nie jest dzieñ przewodzki.

Cooley, który za pierwszym razem zrobi³ na nim wraçenie sw¹ dziwnie szerok¹ i grub¹ sylwetk¹, teraz wygl¹da³ inaczej niç ktokolwiek ze zgromadzonych. Marzycielom z Vacaville powiod³o siê - Ian wydawa³ siê onieciemlaj¹co wspania³y, niemal heroiczny. Everett, ignoruj¹c go, postawi³ kanister przy samochodzie Edie.

- Potrzebujesz do tego pomocy? Wygl¹dasz, jakby za chwilê mia³ ciê trafiaæ szlag.

- Odpierdol siê - powiedzia³ Everett. T³um westchn¹³.

- Poczekaj, pozwól, çe zgadnê - rzek³ Cooley. - Jesteœ na mnie z³y?

Emanowa³ wystudiowanym spokojem.

- Melinda, idŹ do domu. A ty, Cooley, powiedz, co masz do powiedzenia, a potem zostaw nas w spokoju.

- Ty jesteœ ca³¹ spraw¹, grubasie.

Emiech. Otaczaj¹cy ich ludzie reagowali na zachowanie Cooleya niczym zgromadzona w telewizyjnym studio publicznoœæ. Albo moŹe by³ to tylko œmiech z playbacku.

- Masz racjê - przyzna³ Everett.

- Czemu wiêc sobie nie odpuœcisz? Wygl¹dasz, jakbyœ potrzebowa³ odpoczynku. Powinieneœ bliŹej przyjrzeæ siê temu, co robisz.

- Wiem, co robiê - stwierdzi³ Everett, czuj¹c, Źe nie da siê wypowiedzieæ prawdziwszych s³ów.

OdjeŹdŹa³, zabieraj¹c ze sob¹ ludzi, na których mu zaleŹa³o

- oto, co czyni³. Powinien by³ uczyniæ to juŹ kiedyœ - zabraæ ze sob¹ Gwen i Cale'a, kiedy opuszcza³ San Francisco. Chaos posun¹³ siê dalej, porywaj¹c z Hatfork Melindê. A teraz Everett zamierza³ za³atwiaæ to w³œciwie.

- Ze szczêœciem Edie nie jest dobrze - ci¹gn¹³ Cooley. - Ani z twoim. Czy dobrze siê sobie przyjrza³œ?

- To, co mnie spotka³o, Cooley, to nie jest pech. Nie ma to równieŹ nic wspólnego ze szczêœciem.

- Staczasz siê, przyjacielu. Straci³œ kontrolê nad swoim Źyciem. Zamierzasz zwi¹zaæ siê z kobiet¹ z dwójk¹ dzieci, kiedy nie jesteœ w stanie zadbaæ nawet o siebie. Zabierasz ich z miasta i zostan¹ bez jakiegokolwiek pomocy, ca³kowicie zaleŹni od ciebie. Wszystko, co jest bliskie Edie, zostaje tutaj. Wyœni³œ to wszystko, aby temu podo³aæ, ale spapra³œ sprawê i twoje szczêœcie œmierdzi.

- Chcesz mówiæ o szczêœciu? - spyta³ Everett. - Mam je. Dowodem na to jest spotkanie Edie. To najszczêœliwszy dzieñ w moim Źyciu.

Natychmiast poŹa³owa³ tych s³ów. Pozwoli³ siê wci¹gn¹aæ w rozmowê, przybieraj¹c defensywn¹ postawê.

- To s³odkie - stwierdzi³ ironicznie Cooley; t³um za jego plecami zachichota³. - Czy ona uwaŹa tak samo? A co z dniem, w którym odszed³œ?

Tego starczy³o, aby ponownie obudziæ jego gniew.

- Dziêki za przestrogi. JeŹeli to wszystko...

- Nie, nie wszystko. Nie przyjecha³em tutaj, by spotkaæ siê z tob¹. Chcê zobaczyæ Edie.

- Nic z tego - Everett podniós³ kanister i rozla³ nieco benzyny na chodnik; ktoœ krzykn¹³.

MêŹczyzna z wolem i ³ysa kobieta zaczęli wypisywaæ mandaty.

- Czy nie potrzebujesz tego paliwa na ucieczkê, grubasku? - zapyta³ Cooley.

Mia³o to zabrzmieæ prowokuj¹co, ale kiedy ich oczy spotka³y siê, g³os Cooleya zadrŹa³.

- Nie prowokuj mnie - rzekł Everett. - Jestem zmęczony, zmęczony i gotów na wszystko, wiesz o tym. I w dupie mam swoje szczęście.

- Bardzo cieżkie - powiedział Cooley. - Starasz się skryć swój szał. Wiesz jednak, że tkwisz głęboko w gównie.

- Nie, mówię serio. To ty siedzisz w gównie po uszy - spojrzeli na Cooleya w oczy. - Jestem zmęczony, jak powiedziałem, i zdesperowany. Wczoraj, w San Francisco, rozwaliłem dom. Wiesz, co mi potem powiedzieli? Nie? Nigdy nie walcz z facetem, który jest brzydszy od ciebie, bo nie ma nic do stracenia.

- Więc postaw ten kanister - powiedział Ian ostrożnie. - Podobam się sobie.

- Nie, dzięki. Nie mogę tracić czasu - machnął i oblał mu benzyną nogawki spodni oraz buty.

Cooley odskoczył, ale trochę za późno. Everett wziął kanister i podszedł do drzwi samochodu od strony kierowcy.

- W aucie jest zapalniczka. Natychmiast wyjeżdżam, Cooley, zanim doprowadzę cię do stanu, że będziesz pasował do tego miasta. Czy wydajecie wersję „Playboya” dla ludzi bez stóp?

Jan stał zupełnie oguszony.

- Jesteście martwi, Chaos.

- Prawdopodobnie, gdybym tu pozostał, miałoby rację. Ale to normalne w tym miejscu. Wy wszyscy jesteście już martwi. - Wyjął zapalniczkę, nie doczekał jeszcze gorąco; nie miało to jednak znaczenia - na jej widok Cooley uciekł do swego samochodu. Zawarte w benzynie chemikalia paliły zapewne jego kostki nawet bez ognia.

Mężczyzna z wolem odważył się wystąpić przed Everetta z mandatem. Najwyraźniej desperacko pragnął swej nagrody. Nawet ucieszył się, wyciągając przed siebie powiewający mandat. Everett wyrwał mu papier, a facet przezornie wycofał się i zlał z tłumem.

- Wybrałcie niewłaściwego człowieka - stwierdził Everett. - Chyba nie słyszałyście o nowym prawie, dotyczącym wy-

padków zaniechania przez gwiazdy rządu postępowania według wzorców komiksowych bohaterów.

Wziął mandat i poszedł za Cooleyem do jego auta.

- Na co się gapicie? - krzyknął do zgromadzonych. - Wystawiajcie mu mandaty!

Cooley zatrzasnął drzwiczki i chwycił za telefon. Everett chlusnął benzyną na samochód, ale zaraz dał spokój. Naprawdę potrzebował paliwa. Wcisnął mandaty pod wycieraczkę przedniej szyby. Cooley uruchomił silnik.

- Oto wasza gwiazda rządu - powiedział Everett. Tłum mrknął i cofnął się.

- Musiał być całe miasto uczynić brzydkim, żeby stać się pięknym - Everett zaniósł kanister do

swego auta. - Powinnicie wsadzić sobie mandaty w wasze dupy. Ale nigdy nie będziecie...

Przerwał. To w końcu nie była ich wina.

Cooley odjechał. Everett wszedł do samochodu Edie i wcisnął na miejsce zapalniczkę. Czuł się wyczerpany, ale wcale się nie trzęsł, jakby jego tłuszcz wchłonił całą złościę, jakby był teraz wystarczająco wielki, aby absorbować podobne uczucia.

Siedzieli patrzyli tępo to na odjeżdżającego Cooleya, to na Everetta siedzącego w samochodzie lub na Melindę, która stała w drzwiach bloku.

Everett wysiadł i zamachał ramionami.

- Idźcie do domu - zawołał. - Nie mam dla was żadnych zastępczych bohaterów. Jestem tylko grubym niechlujem, wyjeżdżającym z miasta.

Kiedy zgromadzeni rozproszyli się z wolna, wlał resztę paliwa do zbiornika, a potem poszedł na górę i znalazł Edie. Pakował srebra do pudełka po cygarach.

- Zostaw je - powiedziała. - Weźmiemy to, co jest w aucie. Czas jechać.

Nie sprzeczał się z nim. Najwyraźniej Melinda powiedziała jej o pojawieniu się Cooleya.

Pięć minut zabrakło im usadowienia się w samochodzie; pięć minut, które zdawały się całą godziną. Ale znajdowali się w pobliżu granicy miasta i wydostali z niego nie niepokojeni przez nikogo. Kiedy wjechali na autostradę, Everett rozpędził auto do siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Przeładowane kombi protestowało, ale nie zwracało na to uwagi. Po godzinie zwolnił do sześćdziesięciu.

Edie pełniła funkcję pilota. Mapa, którą rozłożył, była równie wielka jak ona sama. Dave, ze względu na swój ogon, musiał przyzwyczaić się do siedzenia bokiem. Jechali na północ. Everettowi roiło się, że może znaleźć dom, który kiedyś opuścił, ten nad jeziorem.

Stanęli, bo wszyscy odczuwali potrzebę udania się w krzaki, ale lunch zjedli w samochodzie. Ray i Dave byli zbyt zhipnotyzowani jazdą, aby narzekać czy biec ze sobą. Everett wiedział, że przez dłuższy czas nie wolno mu się zatrzymywać, ale po upływie pierwszego dnia jazdy nie powinno to mieć już znaczenia.

Kiedy zapadła noc, zjechał z autostrady w czerdek pustkowia, na zakurzoną, gruntową drogę i powiódł ich pomiędzy drzewa, w stronę wzgórza. Był niejasno przekonany, że jego burkliwość nie zjednuje mu przyjaciół, ale nie dbał o to. Później będzie mnóstwo czasu na dyplomację, a teraz musiał się przespać. Poszedł do tyłu auta i wyładowawszy ich majątek na ziemię, zrobił sobie miejsce do spania. Wszedł do czerodka, zwinął swoje ogromne ciało w tej ciasnej przestrzeni, po czym zapadł szybko w głęboki sen.

Do labiryntu zbliżył się od strony nieba. Był gruby jak Kellogg, stwierdził, ale latał niczym sterowiec, powietrzny wieloryb. Poszybował w dół, do korytarzy labiryntu i wylądował tak miękko, że jego stopy ledwie naruszyły kurz.

Tam, gdzie osiadł, znajdował się sam, ale widział namalowane na cecianach strzażki i poszedł wzdłuż nich, a znalazł zagubionego wewnątrz człowieka. To nie był ten mężczyzna, który mieszka tu wcześniej. To był Ilford.

Zamknięte oczy, wysuszone i sapie cicho cicho, utrzymywane pionowo w fotelu na kórkach. Wokół niego walał się stos pozbawionych etykiet konserw oraz wyblakłych od słońca i pomarszczonych od deszczu czasopism.

Srowadzę go tutaj, pomyślał Everett. Moja groźba się spełniła.

Stał teraz pod wznoszącym się pośrodkowym słońcem sparaliżowany i milczący, patrząc na mężczyznę w fotelu. Nie miał odwagi go obudzić.

Nagle posłyszał dochodzące zza rogu labiryntu zgrzytanie i trzeszczenie przekładni, więc odwrócił się.

W pole jego widzenia wczapał teleewangelista; cięgnął za sobą strzępy gumowych podeszew, a jego broszury rozsypały się na ziemię. Na ekranie widniała twarz Cale'a. Robot zignorował Everetta i zbliżył się do mężczyzny na wózku.

- Cale? - zawołał Everett.

Chyba nie usłyszał. Podszedł od tyłu do wózka i ujął jego rączki w skorodowane palce, a potem przechylił fotel i popchnął go przed siebie. Ilford spał nadal - nieporuszony, obojętny.

Robot pchnął wózek przez skrzyżowanie korytarzy, na którym stał Everett, a potem za róg. Jego zachowanie niewłaściwie nie było pozbawione troski, a nawet opiekuńczości. Everettowi przyszło na myśl, że robot opiekował się Ilfordem ze względu na niego.

Teraz, jakby cokolwiek zostało postanowione, jego podobne do sterowca ciało wzniosło się ponad labirynt, w ocelopające niebo. Widział z góry teleewangelistę pchającego fotel na kórkach, cierpliwie przemierzającego krótkie korytarze.

Unosząc się, Everett ujrzał w labiryncie cokolwiek innego, zadziwiającego. Zmienił kurs i od roboty poślizgnął się w stronę tego drugiego człowieka. Zniżył lot i wylądował między cecianami.

Drugim zagubionym był Cooley.

I znowu Everett stał się niewidzialny; opasły duch w korytarzu. Cooley miał przesuwać przez ramię marynarkę, a kołnierze koszuli rozpięty, ale nadal się pocił. Skierował kroki w jedną stronę, potem stanął, zmarszczył czoło i zaczął skradać się z powrotem, w kierunku rozwidlenia. Spojrzał w górę, a potem przez Everetta, najwyraźniej nie zauważając go, szukając drogi ucieczki z labiryntu.

- Cooley! - zawołał Everett.

- Nie usłyszysz mnie - odezwał się jakiegoś za nim.

Odwrócił się i ujrzał Kellogga. Grubas wyszedł kaczkochodnym chodem zza rogu i stał, szczerząc zęby na powitanie.

Jak Kellogg przewidział, Cooley nie odpowiedział. Wędrował dalej, nerwowo zaglądając za

za³omy œcian, usi³uj¹c znaleŸæ wyjœcie. Po chwili znikn¹³ z pola widzenia, pozostawiaj¹c Kellogga i Everetta.

- Witaj, pielgrzymie - powiedzia³ Kellogg i wyj¹³ cygaro z ust. - Wygl¹da na to, Ÿe nadal masz nieco ambiwalentny stosunek do grawitacji.

- O co ci chodzi?

Kellogg podszed³ do niego i poklepa³ go po brzuchu. Jego rêka przesz³a przez Everetta jak przez ducha.

- Rozmiar w porz¹dku, ale brak wagi - stwierdzi³. - Nie najlepsza recepta.

- Nie widz¹ mnie.

- W samej rzeczy.

- Ale to ja ich tutaj sprowadzi³em. Moja moc roœnie.

- Sprowadzi³eœ nas wszystkich - zgodzi³ siê Kellogg. - To twój sen.

- Do czego to zmierza? - spyta³ Everett. Kellogg wsadzi³ z powrotem cygaro w zêby i wykrzywi³ siê, zaginaj¹c palce jak szpony.

- RrrewanŸ! - warkn¹³. - Ale nie moŸesz tego zrobiæ. Doprowadzi³eœ swego konia do rzeki, kowboju.

- Co?

- Sta³eœ siê niepodatny na ciosy, stary - Kellogg ponownie przeci¹gn¹³ d³oñ przez Ÿo³¹dek Everetta. - Bezcielesny.

Razem wlecieli w górê, niczym dwa sterówce, poza labirynt.

- Nie chcê rewanŸu - powiedzia³ Everett. Kellogg wzruszy³ ramionami.

- Jak sobie Ÿyczysz - wyci¹gn¹³ siê do ty³u i za³oŸy³ nogê na nogê, jakby spoczywa³ w leŸaku, a nie balansowa³ w powietrzu.

- Chcê ich odes³aæ do domu.

- Znajd¹ siê tam. MoŸe nawet bêd¹ pamiêtaæ, Ÿe tu byli, ale to niewaŸne.

- Wsadzi³em Ilforda do inwalidzkiego wózka. Spowodowa³em, Ÿe jest chory tak, jak prawdopodobnie chory by³ Cale.

- NieŸle mu siê to da³o we znaki. Ale to nie musi tak trwaæ, jeŸeli tego nie chcesz.

- Myœla³em, Ÿe Cale go zabije.

- Taaa... - Kellogg strzepn¹³ popió³ z cygara; spad³ na dó³, do labiryntu. - Byæ moŸe nie doceni³eœ si³y uk³adu ojciec-syn. Zwi¹zku w ogólnoci, Chaos. To ca³kiem silna wiêŸ.

- Jak ty i ja.

- No, taaa... ChociaŸ nie chcia³em byæ tym, który to powie; przynajmniej raz.

- Czy ja w ogóle kiedykolwiek wydosta³em siê z twojego snu? Sk¹d ty tyle wiesz?

- Nie bardziej niŸ ja wydosta³em siê kiedykolwiek z twoich, ch³opcze. Ale to jest sprawa, której

nie zrozumiesz.

Polecili tak wysoko, że labirynt zmniejszy³ się do plamy cienia w otoczeniu wysypisk oemiec i oraz autostrad.

- Cooley i Ilford się nie lic¹ - stwierdzi³ Everett, po chwili zastanowienia. - Musia³em tylko zabrac^æ Edie. I zrobi³em to.

- To ta dama z dwoma brzd¹cami? Everett przytakn¹³.

- Chcesz się ożeni^æ? Ty, Chaos-samotnik?

- S¹dzê, że tak. Kellogg wyszczerzy³ zêby.

- To st¹d ten nowy brzuch - powiedzia³ i siêgn¹³, by ponownie go po nim poklepa^æ. - Jeste^æ w ci¹ły.

Tym razem, kiedy go dotkn¹³, t³uszcz Everetta okaza³ się materialny.

- Chyba przyjmujesz realn¹ strukturê.

Everett nie odpowiedzia³. Labirynt znikn¹³ im ju¹ z oczu.

- Rodzina to najlepszy typ OSR - stwierdzi³ Kellogg. - Gratulacje.

- OSR?

- Ograniczona Subiektywna Rzeczywisto^æ, nie pamiętasz? Mycê, że ty zawsze bêdziesz Panem Zapominalskim.

- Pamiętam - odpar³ Everett.

- Doprawdy? Czas zmienia ludzi. - Kellogg skrêci³ nagle w prawo.

- Dobra, ³apiê tutaj samolot. Zobaczymy się póŹniej. Nie bierz ¹adnych z³otych zegarów, stary.

I odp³yn¹³ w chmury.

Everett zosta³ sam. Dryfowa³ i mycê³: odrzucam rewan¹, odrzucam moj¹ moc.

Ale jest co^æ, co powinienem zmienia^æ. Rodzinê. Ich cia³a. I spad³.

By³ ranek. Edie i Dave siedzieli na zewn¹trz, przy ma³ym ognisku. Everett s³ysza³ Melindê i Raya, sprzecaj¹cych się na oerdkowych siedzeniach, ale kiedy dŹwign¹³ się w górê, umilkli.

Edie nie by³a ju¹ ma³a. Przepad³ te¹ ogon Dave'a. Everett wytaszczy³ na zewn¹trz swoje cielsko.

- Chaos - powita³a go Edie. Podesz³a do niego.

- Twój sen z ostatniej nocy by³ o nas. I spójrz, sny odmieni³y nas do poprzedniej postaci.

Nie odpowiedzia³. Jego g³owa by³a zamulona snem.

- Chcesz ceniadanie? - spyta³a.

Skin¹³ g³ow¹. Wziê³a go za ramiê. Melinda i Ray wyszli

z auta. Ray wróci³ do normalnych rozmiarów, a Melinda zosta³a pozbawiona sierceci.

- Hej - powiedzia³a dziewczynka. - Nadal jeste^æ gruby.

- S¹dzê, że o sobie zapomnia³ - podsunê³a Edie; ucemiechnê³a się do niego niecemia³o. - To nie

ma znaczenia.

- No tak, aleja chcê z powrotem swoje futro - powiedzia³a Melinda. - To wa¿ne.
- Przepraszam - rzek³ Everett.
- Ty kutasie, powinieneœ by³ najpierw nas zapytaæ - stwierdzi³a ma³a.
- Melinda - upomnia³a j¹ Edie.
- Mam racjê - upiera³a siê dziewczynka.
- Zrobi³ najlepiej, jak móg³. Prawda, Chaos?
- Popracujê nad tym - odpar³. - Bêdzie mnóstwo innych snów. Zwrócê ci twoje futro.
- Dzieci w nocy - za³da³a Melinda.
- Masz - powiedzia³a Edie. Da³a mu kromkê z d¿emem i plastikowy kubek z herbat¹.
- A ja chcê z powrotem swój ogon - powiedzia³ Dave cicho.
- Ty nie chcesz ogona - stwierdzi³a Edie. - Ty chcesz byæ po prostu taki, jak Melinda.
- Nie, naprawdê chcê go z powrotem.
- Lubi³ swój ogon - popar³a go Melinda.
- No có¿, niektórzy z nas s¹ wdziêczni za to, co wyœni³eœ - rzek³a Edie. - Prawda, Ray?
- Taaa... pewnie.
- A wiêc, dziêkujemy. I za to, ¿e siê stara³eœ.
- Okay - stwierdzi³. - Nie ma za co.

Tego ranka, ju¿ w drodze, z dziećmi zajêtymi na tylnym siedzeniu gr¹, powiedzia³ Edie wszystko, co sam wiedzia³. Potrz¹snê³a g³ow¹.

- To, czego siê obawiasz, nigdy siê nie zdarzy.
- Dlaczego tak mówisz?

- Nigdy nie stworzysz œwiata potworów ani nie zamkniesz siê w jakiejœ fantazji dlatego, ¿e my tu jesteœmy. Tak jak wtedy, kiedy wyœni³eœ siê ponownie w tym kinie, ale Melinda posz³a i znalaz³a ciê tam. Ona to pamiêta, Chaos. To naprawdê by³a ona.

- Wiêc?
- Wiêc jesteœmy w tym z tob¹. Wewn¹trz twoich snów. Wpuszczasz tam ludzi.
- Hej, Chaos - odezwa³a siê Melinda z tylnego fotela. - Mówicie o tym?
- O czym? - spotka³ jej wzrok we wstecznym lusterku. Wyci¹gnê³a swoje pozbawione w³osów

ramiê i utkwi³a wzrok w obiekcie.

- Patrzcie - powiedzia³ Ray, wygl¹daj¹c przez okno po stronie pasażera.
- Wow! - zdumia³ siê Dave.
- Co to jest? - spyta³a Edie.

Everett przegi¹³ swoje wielkie cia³o i opuœci³ g³owê poni¿ej ramion, aby zobaczyæ, co pokazywa³ Ray. Coœ w powietrzu. Lataj¹cy obiekt, pozbawiony œmig³a helikopter, jak ten z lotu z

Vance'em. Trudny do zauważenia na oclepiającym niebie, zniżają się, dostosowując własną prędkość do ich szybkości.

Niepokojący widok. Everett skoncentrował się na drodze.